

DONNA LEON

CICHO, WE ŚNIE

Przełożyła Julita Wroniak

NOIR SUR BLANC

Wydanie drugie

Tytuł oryginału Quietly in Their Sleep

Copyright © 1997 by Donna Leon and by Diogenes Verlag AG Zürich All rights reserved

For the Polish edition Copyright © 2009, Noir sur Blanc, Warszawa All rights reserved

ISBN 978-83-7392-304-1

E sempre bene

Il sospettare un poco, in questo mondo.

Odrobina podejrzliwości

na tym świecie nigdy nie zaszkodzi.

libretto opery *Così fan tutte* Mozarta

Rozdział I

Brunetti siedział w fotelu, kontemplując swoje buty. Oparte na wyciągniętej dolnej szufladzie biurka, łypały na niego z jawnym wyrzutem, każdy czterema parami metalowych oczek okalających dziurki na sznurowadła. Przez ostatnie pół godziny komisarz sprawiedliwie dzielił czas i uwagę między drewnianą armadio stojącą przy ścianie na końcu gabinetu i własne obuwie. Kiedy róg szuflady zaczynał go uwierać w stopę, Brunetti odwrotnie krzyżował nogi; zmieniało to układ oczek, lecz nie łagodziło ani ich krytycznych spojrzeń, ani doskwierającej mu nudy.

Vice-questore Giuseppe Patta od dwóch tygodni przebywał w Tajlandii, dokąd wyjechał — jak żartowali pracownicy komendy — na drugi miesiąc miodowy, pozostawiając Brunettiemu wyłączny nadzór nad ściganiem przestępców w Wenecji. Wyglądało jednak na to, że wszyscy przestępcy — z wyjątkiem pospolitych kieszonkowców i drobnych włamywaczy — odlecieli z Pattą, gdyż w mieście nie wydarzyło się nic istotnego, odkąd wsiadł do samolotu wraz z małżonką, która niedawno zdecydowała się na powrót do wspólnego gniazdka, a zapewne i łóżka,

choć o tym akurat Brunetti wolał nie myśleć. Jedyną ciekawą kradzież odnotowano u jubilera na Campo San Maurizio. Przed dwoma dniami weszła do sklepu elegancko ubrana para z wózkiem dziecięcym; młody ojciec, kraś- niejąc z dumy, oznajmił, że pragnie kupić żonie pierścionek z brylantem. Speszona, ale też zaróżowiona z dumy kobieta przymierzyła kilka, po czym — z trzykaratowym kamieniem na palcu — spytała, czy może wyjść ze sklepu, żeby obejrzeć swój potencjalny nabytek w świetle dziennym. Nastąpiło to, czego można było oczekiwać: wyszła, uśmiechnęła się promiennie, widząc, jak czysty brylant iskrzy się w

słońcu, i szczęśliwa zamachała przez szybę do męża; ten wsunął głowę pod daszek wózka, żeby poprawić becik, po czym — posyłając właścicielowi nieśmiały uśmiech — dołączył do żony. Następnie oboje oddalili się pośpiesznie, zostawiając w sklepie wózek z plastikową lalką, tak ustawiony, żeby blokował drzwi i utrudniał pogoń.

Ale ta pomysłowa kradzież była wydarzeniem jednostkowym, nic więc dziwnego, że Brunetti się nudził. Poza tym czuł się trochę zagubiony, gdyż nie był pewien, co mu bardziej odpowiada: pozycja szefa i obowiązek przekopywania się przez góry papierów czy wolność, jaką się cieszył na swoim poprzednim stanowisku komisarza. Co prawda, teraz z tą wolnością też nie miałby co począć.

Uniósł głowę, kiedy rozległo się pukanie, po czym przywołał na twarz uśmiech, gdy drzwi się uchyliły i po raz pierwszy tego dnia zobaczył sekretarkę Patty, która najwyraźniej potraktowała wyjazd vice-questore jako przyzwolenie na rozpoczęcie pracy o dziesiątej, a nie o ósmej trzydzieści.

Buon giorno, commissario — powiedziała signorina Elettra, rozciągając w uśmiechu pomalowane szminką usta.

Czerwień szminki i biel zębów natychmiast skojarzyły się Brunettiemu z kolorami gelato all' amarena. W dodatku sekretarka miała na sobie bluzkę w szkarłatno-białe paski, potęgujące to wrażenie. Weszła do gabinetu i usunęła się na bok, żeby zrobić miejsce dla osoby, która jej towarzyszyła. Brunetti ujrzał obcą młodą kobietę w tandetnym, sztywnym kostiumie z szarego poliestru, ze spódnicą, na przekór aktualnej modzie, sięgającą niemal butów na płaskim obcasie. Zauważył jeszcze, że kobieta ścisła niezręcznie w obu dłoniach torebkę z plastiku imitującego skórę. Po chwili skierował wzrok na sekretarkę.

— Commissario, ta pani chciałaby z panem mówić.

— Słucham — rzekł, ponownie przenosząc spojrzenie na obcą kobietę, niezbyt ciekaw, co ma mu do powiedzenia.

Ale potem uderzyła go gładkość jej policzka, a kiedy poruszyła głowę, żeby rozejrzeć się po gabinecie, zwrócił uwagę na kształtne linie jej szczęki i szyi.

— Słucham — powtórzył, tym razem z większym zainteresowaniem.

Petentka wyczuła zmianę w jego tonie. Popatrzyła na komisarza z leciutkim uśmiechem, a wówczas jej twarz wydała mu się dziwnie znajoma, chociaż zarazem był pewien, że widzi tę kobietę po raz pierwszy w życiu. Przyszło mu do głowy, że może jest córką jednego z jego przy-

13

jaciół, a on, Brunetti, dopatruje się w jej twarzy wyłącznie jakiegoś rodzinnego podobieństwa.

— Tak, signorina? — spytał, podnosząc się i wskazując fotel po drugiej stronie biurka.

Kobieta rzuciła okiem na sekretarkę. Ta natychmiast posłała jej ciepły, przyjazny uśmiech, jakim zwykle starała się dodać otuchy zestresowanym interesantom, po czym oznajmiła, że musi wracać do pracy, i zostawiła ich samych.

Kobieta podeszła do fotela i usiadła, obciągając spódnicę, żeby jej nie wygnieść. Choć była szczupła, poruszała się bez wdzięku, jakby zawsze nosiła tylko solidne buty na płaskim obcasie.

Brunetti wiedział z doświadczenia, że w takich sytuacjach najlepiej nic nie mówić, tylko cierpliwie czekać, nadawszy twarzy wyraz spokoju i zainteresowania. Tak też zrobił, świadom, iż jego milczenie prędzej czy później skłoni osobę siedzącą naprzeciw do przerwania przedłużającej się ciszy. Czekając, zerknął na kobietę raz i drugi; próbował odgadnąć, dlaczego wydaje mu się znajoma. Może jest podobna do kogoś, kogo zna, a może pracuje w sklepie, który zdarzało mu się odwiedzać — czasami trudno kogoś skojarzyć, gdy się go widzi w zupełnie nowych okolicznościach. Pomyślał, że jeśli pracuje w sklepie, na

pewno nie jest to żaden elegancki butik; świadczył o tym jej brzydki sztywny kostium, który wyszedł z mody przed dziesięciu laty, chłopięca fryzura, która w gruncie rzeczy sprowadzała się do krótko i byle jak obciętych włosów, oraz brak makijażu. Ale kiedy spojrzął na nieznajomą po raz trzeci, nagle zdał sobie sprawę, że jej strój stanowi poniekąd przebranie, którym stara się zamaskować urodę. Miała bowiem ciemne, szeroko rozstawione oczy, o rzęsach tak długich i gęstych, że nie potrzebowały tuszu. Wargi blade, ale pełne i ponętne. Na określenie kształtu jej prostego, wąskiego nosa potrafił znaleźć tylko jedno słowo: szlachetny. Krzywo obcięta grzywka przysłaniała czoło, szerokie i gładkie. Jednakże odkrycie, że siedząca przed nim kobieta jest piękna, w najmniejszym stopniu nie ułatwiło mu ustalenia jej tożsamości. Dlatego zaskoczyło go pytanie:

— Nie poznaje mnie pan, prawda, commissario?

Głos też brzmiał znajomo. Brunetti próbował sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej słyszał, ale nie był w stanie; wiedział jedynie, że nie na komendzie ani nie w związku z którąkolwiek ze spraw, jakie prowadził.

— Nie, signorina. Bardzo mi przykro. Wiem tylko, że już panią widziałem, i daję głowę, że nie było to tutaj.

Uśmiechnął się przepaszająco, jakby liczył na jej wyrozumiałość; kłopoty z pamięcią to w końcu ludzka rzecz.

— Sądzę, że większość osób, z którymi styka się pan poza pracą, nie ma powodu tu bywać — powiedziała kobieta i odwzajemniła uśmiech, żeby wiedział, iż nie ma do niego pretensji.

— Rzeczywiście, niewielu moich przyjaciół przychodzi na komendę z własnej woli, a jeszcze żadnego nie trzeba było doprowadzać tu siłą. — Brunetti znów się uśmiechnął, chcąc pokazać, że nie traktuje swojego miejsca pracy ze śmiertelną powagą. — Na szczęście. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z policją.

Kobieta rozejrzała się po gabinecie, jakby w obawie, że może ją tu spotkać coś złego.

— Podobnie jak większość ludzi.

— Tak, chyba rzeczywiście — przyznała, po czym zerknęła na swoje dłonie i wymamrotała cicho: — Imadło lata.

— Słucham? — spytał Brunetti, zaskoczony tą nieoczekiwaną wypowiedzią; przemknęło mu przez myśl, że jego rozmówczyni jest niespełna rozumu.

— Immacolata. Znał mnie pan jako Suor'Immacolata- tę — powiedziała, unosząc głowę i posyłając mu ten sam łagodny uśmiech, który dotychczas widywał pod białym krochmalonym kornetem.

Wreszcie znał rozwiązanie zagadki; to, kim była, tłumaczyło również jej fryzurę, niemodny strój i ruchy pozbawione kobiecego wdzięku. Brunetti świadom był jej urody, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy w prywatnym domu opieki, w którym od lat przebywała jego matka, ale śluby złożone przez Suor'Immacolatę oraz długi habit stanowiący ich widoczny dowód czyniły z niej tabu. Komisarz patrzył i reagował na nią nie jak mężczyzna, który chce nacieszyć oko widokiem atrakcyjnej kobiety, lecz jak esteta podziwiający piękny kwiat lub obraz. Dopiero teraz, wyzwolona z habitu i postrzegana bez obyczajowych uwarunkowań, jej uroda ujawniła mu się w pełni; niemodny strój i sztywność ruchów nie były w stanie niczego ukryć.

Suor'Immacolata zniknęła z domu opieki mniej więcej przed rokiem. Brunetti, poruszony rozpaczą matki, nieszczęśliwej z powodu nagłego odejścia osoby, która odnosiła się do niej najzyczliwiej z całego personelu, zdołał się dowiedzieć jedynie tyle, że młoda zakonnica została przeniesiona do innego ośrodka prowadzonego przez siostry. Teraz dziesiątki pytań cisnęły mu się na usta, ale odrzucił je wszystkie jako niewłaściwe. Najważniejsze, że miał ją przed sobą: sama na pewno wiele mu wyjaśni.

— Nie mogę wrócić na Sycylię — oświadczyła nagle. — Moja rodzina by nie zrozumiała.

Jej dłonie puściły torebkę i splotły się ze sobą, jakby jedna u drugiej szukały pocieszenia. Ponieważ go nie znalazły, spoczęły na udach. W następnej chwili, jakby spłoszone bijącym z nich ciepłem, znów zacisnęły się na znajomych sztywnych uchwytach niezgrabnego rekwizytu.

— Kiedy... — zaczął Brunetti, lecz nie bardzo wiedział, jak najdelikatniej sformułować pytanie. — Jak dawno...

— Przed trzema tygodniami. Ze względu na rodzinę pozostałam tutaj.

— W Wenecji?

— Tak, bo tu mnie przeniesiono. Tyle że mieszkam nie w samym mieście, ale na Lido. Wynajęłam pokój wpensione.

Przyszło mu do głowy, że może potrzebuje pieniędzy. Jeśli tak, z radością udzieli jej finansowego wsparcia, a nawet będzie poczytywał sobie za zaszczyt, że zwróciła się właśnie do niego; dług za wieloletnią troskliwą opiekę nad matką i tak był nie do spłacenia.

— Mam pracę — rzekła, czytając w jego myślach.

— Tak?

— Zatrudniłam się w prywatnej klinice na Lido.

— Jako pielęgniarka?

— Nie, w pralni. — Uśmiechnęła się, kiedy zerknął na jej dłonie. — Całą pracę wykonują teraz maszyny, com- missario. Nie trzeba już nosić koszy z bielizną nad rzekę i bić prześcieradłem o kamienie.

Roześmiał się; po części była to reakcja na jej słowa, a po części próba pokrycia własnego zmieszania. Atmosfera jednak na tyle się rozładowała, że bez skrępowania oświadczył:

— Wystąpienie z zakonu nie mogło być łatwą decyzją. Naprawdę bardzo mi przykro...

Kiedys dodałby jej tytuł zakonny i imię, SuorTmmaco- lata, ale teraz nie wiedział, jak się do niej zwracać. Zrzuciwszy habit, utraciła imię, pod jakim ją znał. A była to zapewne najmniejsza ze strat, które musiała ponieść.

— Nazywam się Maria. Maria Testa. — Podobnie jak śpiewak, który milknie i wsłuchuje się w wibrujący w powietrzu dźwięk oznaczający zmianę rejestru, tak i ona zrobiła pauzę, żeby uchwycić echo swojego nazwiska. — Chociaż nie wiem, czy już mam prawo tak się przedstawiać.

— Dlaczego?

— Z zakonu nie można po prostu sobie odejść. Sekularyzacja, czyli pełny powrót do stanu świeckiego, to długotrwały i skomplikowany proces. Znacznie dłuższy niż desakralizacja kościoła. Nikogo nie puszczają od ręki.

— Prawdopodobnie chcą mieć pewność, że odchodząca osoba też ją ma — rzekł Brunetti. — To znaczy: pewność, że postępuje słusznie.

— Tak. To trwa wiele miesięcy, nawet całe lata. Żądają opinii od ludzi mogących zaświadczyć, że jest się zdolnym do podjęcia decyzji.

— I z tym do mnie przyszłaś? Po moją opinię?

Machnęła ręką, odrzucając jego ofertę, a zarazem demonstrując, że ślub posłuszeństwa przestał dla niej cokolwiek znaczyć.

— Nie, nic takiego nie jest mi potrzebne. Zerwałam z zakonem na zawsze. Koniec.

— Rozumiem — powiedział Brunetti, choć nic nie rozumiał.

Wbiła w niego spojrzenie oczu tak szczerych i niewiarygodnie pięknych, że poczuł przelotną zawiść wobec mężczyzny, w którego objęciach Maria zerwie ślub czystości.

— Przyszłam w związku z casa di cura. Z powodu tego, co tam widziałam.

Serce Brunettiego zabiło mocniej; zapragnął natychmiast znaleźć się u boku matki i chronić ją przed wszelkim niebezpieczeństwem, jakie mogło jej zagrażać.

— Nie, nie, commissario, nie chodzi o pańską matkę. Jej na pewno nie spotka nic złego. — Urwała stropiona, uzmysłowivszy sobie dwuznaczność swoich słów: matkę komisarza już

spotkało najgorsze, co może spotkać starego człowieka; teraz czekała ją wyłącznie śmierć. — Przepraszam — dodała i znów umilkła.

Brunetti patrzył na nią zakłopotany, nie bardzo wiedząc, co właściwie chciała mu powiedzieć ani jak powinien ją o to spytać. Przypomnił sobie ostatnią popołudniową wizytę u matki i nikłą nadzieję, że może tym razem spotka dawno niewidzianą Suor'Immacolatę, jedyną osobę potrafiącą zrozumieć boleść, która wypełniała jego duszę, ilekroć odwiedzał dom opieki. Ale zamiast ślicznej Sycylijki napotkał w holu skwaśniałą Suor'Eleanorę, dla której złożone przed laty śluby oznaczały już tylko ubóstwo umysłu, czystość posadzek i posłuszeństwo wobec rygorystycznie pojmowanych szpitalnych przepisów. Myśl, że jego matka znajduje się pod opieką tej kobiety, doprowadzała go do furii jako syna, a świadomość, iż ta właśnie casa di cura uchodzi za jedną z najlepszych w kraju, zawstydziała jako obywatela.

Głos kobiety wyrwał go z zadumy; nie usłyszał jednak, co powiedziała.

— Przepraszam, suora — rzekł, łapiąc się na tym, że siłą nawyku zwrócił się do niej tak, jak to czynił w domu opieki. — Zamyśliłem się.

— Mówię o casa di cura tu, w Wenecji, gdzie pracowałam jeszcze trzy tygodnie temu — powtórzyła, ignorując fakt, że posłużył się jej zakonnym tytułem. — Ale nie tylko stamtąd odeszłam, commissario. Porzuciłam zakon, pozostawiłam wszystko. Żeby zacząć... — urwała i skierowała wzrok w stronę widocznej za oknem fasady kościoła San Lorenzo, jakby tam szukała określenia drogi, którą od niedawna kroczyła — ...żeby zacząć nowe życie. — Uśmiechnęła się blado. — La Vita Nuova — dodała nieco lżejszym tonem, świadoma, jak melodramatycznie musiały zabrzmieć jej słowa. — Czytałam La Vita Nuova w szkole, lecz nie bardzo pamiętam treść. — Ściągnęła brwi i spojrzała pytająco na Brunettiego.

Komisarz wciąż nie wiedział, do czego Maria Testa zmierza; najpierw wspomniała o jakimś zagrożeniu, teraz chciała mówić o Dancem.

— Ja też czytałem ten utwór w szkole, ale chyba byłem za młody, żeby go zrozumieć. Zresztą zawsze wołałem La Divina Commedia. Zwłaszcza Czyścic.

— Naprawdę? — Jej zdziwienie wydało mu się szczere; z drugiej strony mogło być tylko próbą odwleczenia chwili, w której będzie musiała wyjawic powód swojej wizyty. — Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś lubił właśnie tę część. Dlaczego?

Brunetti pozwolił sobie na uśmiech.

— Wiem, wiem, ponieważ jestem policjantem, wszyscy sądzą, że powinienem najbardziej cenić Piekło. Złoczyńcy zostają ukarani; każdego z nich spotyka to, na co zasłużył w oczach Dancego. Ale ta część nigdy mi się nie podobała; odrzucała mnie ostateczność wyroków, całe to straszliwe cierpienie. W dodatku mające trwać wiecznie.

Siedziała cicho, wpatrzona w twarz rozmówcy, z uwagą słuchając jego słów.

— Wolę Czyścic, bo dla tych, którzy tam przebywają, istnieje możliwość odmiany. Dla innych, bez względu na to, czy są w niebie, czy w piekle, nie zmieni się już nic. Pozostaną tam, gdzie są. Na zawsze, po wsze czasy.

— Wierzy pan w to? — zapytała.

Brunetti od razu pojął, że nie chodzi jej o literaturę.

— Nie.

— W ogóle?

— Chcesz wiedzieć, czy wierzę w istnienie nieba albo piekła?

Maria Testa skinęła głową; komisarzowi przemknęło przez myśl, że zapewne pozostałość religijnych przesądów nie pozwoliła jej zadać pytania, które wyrażałoby wątpliwość co do jednego z podstawowych dogmatów wiary.

— Nie — odparł.

— Nie ma nic?

— Nie ma nic.

— Posepna wizja — oznajmiła po długim milczeniu.

Jak to robił wielokrotnie przy okazji podobnych rozmów, odkąd uzmysłowił sobie, że właśnie takie ma poglądy, Brunetti wzruszył ramionami.

— Kiedyś się przekonamy — rzekła. Z jej tonu nie przebijała ani nagana, ani sarkazm, jedynie głęboka nadzieja.

Komisarz miał ochotę znów wzruszyć ramionami, bo podobnie jak dziecko rezygnuje z zabawek, kiedy z nich wyrasta, tak on zrezygnował z wdawania się w dyskusje o sprawach wiary przed laty, jeszcze jako student, zniecierpliwiony czczymi rozważaniami i ciekaw otwierającego się przed nim dorosłego życia. Ale rzut oka na młodą kobietę uzmysłowił mu, że pod wieloma względami Maria Testa jest jak pisklą, które ledwo wykuło się z jaja; dopiero stoi na progu *vita nuova*, więc zadawanie sobie tego rodzaju pytań, rzecz niewyobrazalna parę miesięcy temu, jest dla niej czymś niezwykle istotnym i aktualnym.

— Może masz rację — zgodził się.

Zareagowała gwałtownie.

— Proszę nie traktować mnie z pobłażaniem, commissario. Straciłam powołanie, ale nie rozum.

Postanowił jej nie przeproszać i nie wracać do przypadkowej dyskusji teologicznej. Przesunął jakiś dokument z jednej strony biurka na drugą, cofnął nieco fotel, założył nogę na nogę.

— Więc porozmawiajmy o tym, dobrze? — rzekł.

— O czym?

— O straconym powołaniu. A raczej o miejscu, w którym je straciłaś.

— O domu opieki?

Brunetti skinął głową.

— Tak. Możesz mi coś o nim opowiedzieć?

— Oczywiście. To San Leonardo Casa di Cura. W pobliżu szpitala Giustiniani. Część personelu to zakonnice z naszego zgromadzenia.

Siedziała ze złączonymi kolanami, trzymając stopy płasko na podłodze, jedną obok drugiej. Po chwili, jakby z pewnym trudem, otworzyła torbę i wyjęła złożoną kartkę papieru; rozprostowawszy ją, spojrzała na zapisaną stronę.

— W ciągu ostatniego roku — zaczęła drżącym głosem — umarło tam pięć osób.

Obróciła kartkę i położyła ją przed komisarzem. Zobaczył, że jest to lista nazwisk.

— Właśnie ci? — spytał. Potwierdziła.

— Zapisalam ich nazwiska i imiona, wiek, przyczynę zgonu.

Wis Ponownie spojrzał na kartkę; rzeczywiście zawierała takie informacje. Figurowały na niej nazwiska trzech kobiet i dwóch mężczyzn. Przypomniał sobie, że czytał dane statystyczne, z których wynikało, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn; w przypadku kobiet zmarłych w domu opieki to się nie potwierdziło. Jedna miała sześćdziesiąt kilka lat, pozostałe dwie nieco ponad siedemdziesiąt. Obaj mężczyźni byli starsi. Przyczyną zgonu, jak to u ludzi w tym wieku, okazały się wylewy, zawały, zapalenie płuc.

Komisarz podniósł wzrok.

— Mario, dlaczego dajesz mi tę listę?

Chociaż musiała być przygotowana na to pytanie, dopiero po chwili udzieliła odpowiedzi.

— Bo jest pan jedyną osobą, która może w tej sprawie coś zrobić.

Brunetti czekał, licząc, że Maria wyjaśni, o co właściwie jej chodzi, ale ponieważ milczała, w końcu zapytał:

— Co masz na myśli, mówiąc „w tej sprawie”?

— Nie jestem pewna, co spowodowało ich śmierć.

Podniósł kartkę i zamachał nią nad biurkiem.

— Przyczyny zgonu są przecież podane.

Skinęła głową.

— Wiem, ale mogą nie być prawdziwe. Czy może pan sprawdzić, na co faktycznie zmarli? Brunetti nawet nie musiał się zastanawiać: w kwestii ekshumacji prawo było zupełnie jasne.

— Nie, chyba że miałbym nakaz sądowy albo rodzina zmarłego wystąpiłaby z takim wnioskiem.

— Aha. Nie orientowałam się. Żyłam... Od tak dawna żyłam w oderwaniu od świata, że nie wiem, jak się załatwia różne rzeczy, jaka jest procedura... — Po chwili milczenia dodała: — A może nigdy tego nie wiedziałam.

— Jak długo byłaś w zakonie?

— Dwanaście lat. Wstąpiłam, kiedy miałam piętnaście. — Jeśli nawet spostrzegła zdziwienie malujące się na twarzy komisarza, nie dała tego po sobie poznać. — To kawał czasu, wiem.

— Ale nie żyłaś w całkowitym oderwaniu od świata, prawda? W końcu musiałaś chodzić do szkoły pielęgniarstwa, skoro uzyskałaś dyplom.

— Nie, nie mam dyplomu — rzekła, wyprowadzając go z błędu. — Nie jestem pielęgniarką, a w każdym razie nie skończyłam żadnej szkoły. Po prostu siostry stwierdziły, że mam wyjątkowy...

Nagle urwała. Brunetti domyślił się, że nie przywykła mówić o sobie coś pozytywnego, chwalić się jakimś talentem lub umiejętnością. Dokończyła dopiero po chwili, ująwszy swoje myśli w takie słowa, aby nie wyglądało na to, że stawia się za wzór czy próbuje wywyżżyć.

— W zakonie uznano, że najwięcej pożytku przyniosę, służąc pomocą starszym ludziom, więc wyznaczono mi pracę w domu opieki.

— Długo tam pracowałaś?

— Sześć lat w Dolo, potem rok w San Leonardo.

Brunetti szybko obliczył, że Suor Tmmacolata miała dwadzieścia lat, kiedy pojawiła się w domu opieki, w której przebywała jego matka; była zatem w tym wieku, w którym większość kobiet studiuje lub idzie do pracy, zachuje się, rodzi dzieci. Pomyślał o tym, ile można osiągnąć w ciągu siedmiu lat, o tym, do czego doszły jej rówieśniczki, i o tym, jak ona żyła, wśród wrzasków szaleńców, zapachów moczu i kału. Gdyby wyznawał jakąś religię, wierzył w istnienie jakiejś wyższej istoty, może wówczas znalazłby pociechę w myśli, że za te stracone lata, lata upokorzeń i wyrzeczeń, spotka ją w innym świecie wspaniała nagroda. Ale tak nie było.

Położył kartkę przed sobą na biurku, wygładził ją brzegiem dłoni i spytał:

— Co było niezwykłego w śmierci tych ludzi?

Odpowiedź, której po krótkim wahaniu mu udzieliła, zadziwiła go.

— Nic. Zwykle co kilka miesięcy ktoś umiera; czasem, zwłaszcza po świętach, w niedługim czasie umiera kilkoro pensjonariuszy.

Spokój, z jakim Brunetti zadał kolejne pytanie, wynikał z wieloletniej praktyki w przesłuchiowaniu świadków, zarówno gadatliwych, jak i takich, których sam musiał ciągnąć za język.

— Więc dlaczego sporządziłaś tę listę?

— Dwie kobiety były wdowami, trzecia nigdy nie wyszła za mąż. Jednego z mężczyzn nikt nie odwiedzał.

Spojrzała na komisarza, czekając na kolejne pytanie, ale on postanowił milczeć. Choć siedząca przed nim kobieta nie nosiła już białego habitu zakonnego, wciąż miała mentalność zakonnicy. Musiała stoczyć wewnętrzną walkę, aby złamać przykazanie: nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Dawniej pojmowała to jako zalecenie, aby na wszelki wypadek nie wypowiadać się źle o nikim, nawet o najgorszym grzeszniku.

— Słyszałam — powiedziała w końcu, zniżając głos prawie do szeptu — jak dwie z nich wspominały, że nie zapomną o casa di cura w swoim testamencie.

Umilkła i wbiła wzrok w dłonie, które puściły torebkę i zacisnęły się jedna na drugiej w kurczowym, niemal śmiertelnym uścisku.

— I nie zapomniały?

Potrząsnęła głową, ale nic nie powiedziała.

— Mario — Brunetti również zniżył głos — czy to znaczy, że nie zapomniały, czy że ty nie wiesz?

— Że ja nie wiem — odparła, nie podnosząc oczu. — Ale obie, i signorina da Pre, i signora Cristanti, twierdziły, że mają zamiar coś zostawić.

— Co dokładnie mówiły?

— Kiedyś, jakiś rok temu, signorina da Pre powiedziała po mszy... Gdy nabożeństwo odprawia Padre Pio, kapelan domów opieki, nie zbiera się datków na tacę... To znaczy, kiedy odprawiał... — Uniosła drżącą dłoń do skroni, jakby szukała otuchy w obecności kornetu, lecz gdy go nie znalazła, gdy dotknęła jedynie włosów, szybko cofnęła rękę. — W każdym razie kiedy odprowadzałam staruszkę do jej pokoju, ona powiedziała, że to nie ma znaczenia, iż nie zbierano datków, bo po jej śmierci wszyscy i fcpjt się dowiedzą, jaka była szczodra.

— pytałaś, co ma na myśli? m f, jje. Wydało mi się to oczywiste. Że swoje oszczęd- - a przynajmniej ich część, zapisała w testamencie w opieki. ;M co?

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem.

— Po jakim czasie od tego zdarzenia umarła?

— Po trzech miesiącach.

— Mówiła jeszcze komuś o swoim zapisie?

— Nie wiem. W ogóle mało z kim rozmawiała.

— A ta druga kobieta?

— Signora Cristanti. Ona z kolei nigdy nie kryła swoich zamiarów. Twierdziła, że chce zostawić pieniądze tym, którzy byli dla niej dobrzy, i powtarzała to każdemu. Ale... ale nie sądzę, żeby zrobiła taki zapis. Przynajmniej nie wtedy, kiedy ją znałam.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nie była w pełni władz umysłowych. Zdarzały się dni, że zachowywała się zupełnie normalnie, ale zwykle mówiła od rzeczy; wydawało jej się, że znów jest małą dziewczynką, prosiła, żeby ją zabrać to tu, to tam. — Po chwili dodała suchym, beznamiętnym tonem: — W tym wieku to bardzo częste.

— Wracanie do przeszłości? — spytał Brunetti.

— Tak. Biedactwa. Dla nich przeszłość jest lepsza od terażniejszości. Każda przeszłość.

Brunettiemu przypomniała się ostatnia wizyta u matki; czym prędzej odepchnął od siebie to wspomnienie.

— I co się z nią stało?

— Z panią Cristanti?

— Tak.

— Umarła na zawał jakieś cztery miesiące temu.

— Gdzie?

— Tam. W casa di cura.

— Gdzie doznała zawału? W swoim pokoju czy we wspólnej sali, na oczach ludzi? Nawet w myślach nie nazwał ich „świadkami”.

— Umarła cicho. We śnie.

— Rozumiem — powiedział Brunetti. Dopiero po dłuższej chwili spytał: — Mario, co dokładnie ta lista oznacza? Czy uważasz, że powód zgonu wymienionych na niej osób jest inny? Inny, niż podano?

Zdziwiło go zaskoczenie malujące się na jej twarzy. Skoro zdecydowała się złożyć mu wizytę, chyba musiała mieć świadomość, jakie wnioski może wyciągnąć.

— Inny, niż podano? — powtórzyła, wyraźnie próbując zyskać na czasie.

Nie zareagował.

— Signora Cristanti nigdy wcześniej nie chorowała na serce — oznajmiła w końcu.

— A pozostałe osoby?

— Signor Lerini cierpiał od lat na chorobę wieńcową, ale poza tym nic mu nie dolegało.

Brunetti znów popatrzył na listę.

— A ta trzecia kobieta, signora Galasso? Czy miała jakieś kłopoty zdrowotne?

i Jego rozmówczyni, zamiast odpowiedzieć, zaczęła prze- Wać palcem po brzegu torebki, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Mario. — Komisarz zawiesił głos. Odczekał, dopó- JS**® umosła głowy. — Wiem, że mówienie fałszywego IPWectwa przeciw bliźniemu to ciężki grzech...

29

Spojrzała na niego zdumiona, jakby sam diabeł powołał się na Biblię.

— ...ale troska o słabych i bezbronnych to nasz obowiązek. Nie pamiętał, czy Biblia mówi coś na ten temat; jeśli nie, to powinna.

Kobieta nie odezwała się.

— Rozumiesz, co mówię, Mario? — spytał, a ponieważ wciąż milczała, postanowił inaczej sformułować pytanie: — Zgadzasz się z tym?

— Oczywiście, że tak — odparła z rozdrażnieniem. — A jeśli nie mam racji? A jeśli wszystkiemu winna jest moja wyobraźnia? A jeśli tych ludzi nie spotkało nic złego?

— Gdybyś uważała, że nie masz racji, nie byłoby cię tutaj. I na pewno nie byłabyś ubrana tak jak teraz.

Nagle Brunettiemu przemknęło przez myśl, że jego słowa mogą zostać niewłaściwie odczytane, potraktowane jako krytyka stroju, jemu zaś chodziło wyłącznie o decyzję zdjęcia habitu, czyli opuszczenia zakonu.

Odsunął kartkę w róg biurka, dając tym samym znak, że chwilowo odkłada na bok sprawę zmarłych pensjonariuszy, po czym spytał:

— Kiedy postanowiłaś odejść z zakonu?

— Po rozmowie z matką przełożoną — odpowiedziała natychmiast, jakby spodziewała się tego pytania, a jednak głos załamał się jej z emocji. — Wcześniej zwróciłam się z tym do Padre Pio, mojego spowiednika.

— Możesz mi powtórzyć, co im mówiłaś?

Brunetti od tak dawna nie miał nic wspólnego z Kościołem, jego obyczajami i celebrą, że aczkolwiek pamiętał o istnieniu tajemnicy spowiedzi, nie orientował się dokładnie, czego i kogo dotyczy ani jaką karę pociąga za sobą jej złamanie.

— Tak, chyba tak.

— Czy to ten sam ksiądz, który odprawia msze dla pensjonariuszy?

— Tak. Należy do naszego zgromadzenia. Nie mieszka jednak w domu opieki, tylko przychodzi dwa razy w tygodniu.

— A gdzie mieszka?

— W siedzibie zakonu. Tu, w Wenecji. W poprzednim domu opieki też był moim spowiednikiem.

Brunetti zauważył, że na pytania nie związane bezpośrednio ze zgonami Maria Testa odpowiada bardziej ochoczo, z mniejszym ociąganiem.

— Co mu powiedziałaś? — spytał.

Przez moment milczała; Brunetti uznał, że usiłuje sobie przypomnieć przebieg rozmowy ze spowiednikiem.

— Opowiedziałam mu o zgonach — oznajmiła, po czym znów umilkła, nie patrząc komisarzowi w oczy.

— A wspominałaś, co signorina da Pre i signora Cri-stanti mówiły o pieniądzach? O tym, co zamierzały z nimi zrobić? — spytał, zorientowawszy się, że sama z siebie nic więcej nie wyjawia.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Byłam tak przejęta ich śmiercią, że całkiem zapomniałam.

— Jak zareagował Padre Pio?

Ponownie wbiła wzrok w komisarza.

— Oświadczył, że nie rozumie, dlaczego śmierć tych ludzi nie daje mi spokoju. Więc zaczęłam mu wyjaśniać. Wymieniłam nazwiska zmarłych, streściłam ich historie choroby, powiedziałam, że niemal wszyscy cieszyli się dobrym zdrowiem, a potem nagle umarli. Padre Pio wysłuchał mnie uważnie, po czym spytał, czy jestem pewna tego, co mówię. — Gwoli wyjaśnienia dodała beznamytnym tonem: — Ponieważ pochodzę z Sycylii, ludzie zwykle z góry zakładają, że jestem głupia. Albo że kłamie.

Brunetti zerknął na nią, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie kierowała tej uwagi do niego, urażona jego słowami albo zachowaniem, lecz nic na to nie wskazywało.

— Po prostu nie był w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć — kontynuowała.

— A kiedy upierałam się, że to nienormalne, aby tyle osób zmarło w tak krótkim czasie, spytał, czy jestem świadoma ryzyka, na jakie się narażam. Dodał, że mogę być winna grzechu oszczerstwa. Kiedy powiedziałam, że zdaję sobie z tego sprawę, polecił mi się modlić.

— I co wtedy?

— Powiedziałam, że już się modliłam, że modliłam się przez wiele dni. Spytał, czy rozumiem, co sugeruję swoimi słowami. Iaką straszną rzecz. — Urwała, po czym rzuciła jakby w formie komentarza: — Był zszokowany. Chyba nie mieściło mu się w głowie, że coś takiego może się dziać w domu opieki. Padre Pio to naprawdę dobry człowiek, ale całkowicie oderwany od świata.

Brunetti miał ochotę się uśmiechnąć, słysząc taką opinię z ust kogoś, kto spędził w zakonie dwanaście lat, ale powściągnął wesołość.

— Co było potem?

— Powiedziałam siostrze, że chcę mówić z matką przełożoną.

— I co, doszło do waszej rozmowy?

— Dopiero po dwóch dniach, ale owszem, spotkała się ze mną, wieczorem po niesporach. Powtórzyła jej to samo, co mówiłam na spowiedzi: że starzy pensjonariusze umierają. Była kompletnie zaskoczona, co mnie ucieszyło, bo oznaczało, że Padre Pio zachował moje słowa w tajemnicy. Niby wiedziałam, że będzie milczał, ale z drugiej strony to, co mu wyznałam, było tak straszne... — Umilkła.

— No i? — ponaglił ją Brunetti.

— Matka przełożona nie chciała mnie słuchać. Oznajmiła stanowczo, że nie dopuści do siebie kłamstw, że takie nieodpowiedzialne oskarżenia mogą zaszkodzić naszemu zakonowi.

— Hm...

— Przypomniała mi mój ślub posłuszeństwa i poleciła, żebym przez miesiąc z nikim nie rozmawiała.

— To znaczy, że przez miesiąc w ogóle do nikogo nie wolno ci się było odezwać?

— Tak.

— A twoja praca? Przecież musiałaś rozmawiać z pensjonariuszami.

— Nie widywałam ich.

— Jak to?

— Zgodnie z decyzją matki przełożonej mogłam przebywać tylko w swojej celi albo w kaplicy.

— Przez miesiąc?

— Dwa.

— Co?

— Przez dwa — powtórzyła. — Po miesiącu przyszła do mnie do celi i zapytała, czy modlitwy oraz medytacja pomogły mi odnaleźć właściwą ścieżkę. Odparłam zgodnie z prawdą, że modliłam się i medytowałam, ale to nie uśmierzyło mojego niepokoju. Nie chciała ze mną rozmawiać. Jedynie przedłużyła mi okres milczenia.

— Podporządkowałaś się?

Maria Testa skinęła głową.

— I co dalej?

— Modliłam się przez kolejny tydzień i nagle zaczęłam rozmyślać o tym, co usłyszałam z ust tych dwóch staruszek. Przypomniało mi się, co mówiły o swoich planach dotyczących pieniędzy. Wcześniej nie dopuszczałam do siebie złych myśli, a teraz nie mogłam opanować ich natłoku.

Brunettiemu przyszło do głowy, że dwa miesiące życia w odosobnieniu i nieodzywiania się do kogokolwiek to aż nadto długi okres, żeby dobrze sobie wszystko przemyśleć.

— Co się wydarzyło pod koniec drugiego miesiąca? — spytał.

— Matka przełożona znów przyszła do mojej celi i spytała, czy odzyskałam rozum. Odparłam, że tak, bo chyba rzeczywiście odzyskałam.

Na jej ustach znów zagościł smutny, trochę niepewny uśmiech.

— A potem?

— Potem odeszłam.

— Tak po prostu? — zapytał zdumiony komisarz, zastanawiając się, jak rozwiązała kwestie praktyczne: potrzebowała przecież ubrania, pieniędzy, środka transportu. Uderzyło go, że identycznych rzeczy potrzebuje człowiek świeżo zwolniony z więzienia.

— Wyszłam tego samego popołudnia wraz z grupą ludzi, którzy w porze odwiedzin byli u swoich bliskich. Nikomu nie wydało się to dziwne, nikt mi się nie przyglądał. Zagadnęłam jedną z kobiet, gdzie mogę kupić normalne ubranie. Miałam tylko siedemnaście tysięcy lirów...

Ponownie umilkła, więc Brunetti spytał:

— Co ci powiedziała?

— Jej ojciec był jednym z moich podopiecznych, toteż znałyśmy się dość dobrze. Wraz z mężem zaprosiła mnie do siebie na kolację. Nie miałam gdzie się podziać, więc pojechałam z nimi. Na Lido.

— I?

— Kiedy płynęliśmy przez lagunę, zdradziłam im, że postanowiłam odejść z zakonu, ale nie wspomniałam o przyczynach swojej decyzji. Zresztą nie byłam ich pewna i, prawdę mówiąc, nadal nie jestem. Nigdy przecież nie zamierzałam oczerniać domu opieki ani mojego zakonu. W tej chwili chyba też tego nie robię?

Brunetti potrząsnął głową, choć tak naprawdę nie znał odpowiedzi na to pytanie.

— Chciałam tylko powiadomić matkę przełożoną o zgonach staruszków; wydawało mi się dziwne, że nagle zmarło aż tylu.

— Czytałem, że starzy ludzie czasem umierają seriami bez żadnego powodu — oznajmił komisarz takim tonem, jakby prowadzili zdawkową rozmowę.

— Wiem. Zwykle następuje to po jakichś ważniejszych świętach.

— Czy coś podobnego nie mogło mieć miejsca w tym przypadku?

Oczy Marii Testy rozbłysły, przypuszczalnie gniewem.

— Mogło, oczywiście. Ale w takim razie dlaczego matka przełożona nakazała mi milczenie?

— Powód mógł być znacznie mniej dramatyczny, Mario.

— Słucham?

— Może po prostu chciała dać ci czas na dokładne przemyślenie wszystkiego. A przy okazji sprawdzić, jak silny jest twój ślub posłuszeństwa. Nie znam się na tym, ale przypuszczam, że w zakonach przykłada się do tego dużą wagę.

Nie odpowiedziała.

— Sądzisz, że taka ewentualność wchodzi w grę? — spytał po chwili, a gdy wciąż uporczywie milczała, postanowił nie drażnić dalej tematu. — No dobrze, powiedz, co działo się później, kiedy dotarłaś na Lido.

— Moi gospodarze byli dla mnie bardzo mili. Po kolacji kobieta dała mi trochę swoich ubrań. — Wskazała ręką spódnicę, którą miała na sobie. — Mieszkałam u nich przez pierwszy tydzień, a potem z ich pomocą znalazłam pracę w prywatnej klinice.

— Nie musiałaś pokazywać żadnych dokumentów, żeby cię zatrudniono?

Potrząsnęła głową.

— Nie. W klinice skakali z radości, że zgłosił się ktoś do pracy w pralni, i o nic mnie nie pytali. Ale napisałam list do urzędu miejskiego w moim rodzinnym mieście, żeby przysłano mi odpis aktu urodzenia i carta d'identita. Skoro wróciłam do życia świeckiego, pewnie będą mi potrzebne.

— Pod jaki adres mają ci je przysłać? Do kliniki?

— Nie, do domu tych ludzi, którzy się mną zajęli — odparła, ale musiała słyszeć troskę w głosie komisarza, bo spytał: — Czy to istotne?

Potrząsnął szybko głową, żeby rozwiać jej niepokój.

— Nie, nie. Pytałem z ciekawości. Trudno przewidzieć, ile mogą potrwać takie sprawy. — Było to nieudolne kłamstwo, ale miał nadzieję, że Maria, która obracała się latami w zamkniętym świecie, przyjmie je za dobrą monetę. — Kontaktujesz się z kimkolwiek z casa di cura albo z zakonu?

— Nie. Z nikim.

— Wiedzą, co się z tobą dzieje, odkąd od nich odeszłaś?

Pokręciła głową.

— Nie sędzę. Skąd mieliby wiedzieć?

?— Ci ludzie z Lido nikomu nic nie mówili?

— Prosiłam ich, żeby nie wspominali o mnie słowem. Myślę, że mogę na nich polegać. Dlaczego pan pyta?

Uznał, że powinien chociaż częściowo wyjawić jej przyczynę swoich obaw.

— Jeśli twoje oskarżenia... — zaczął, ale nagle zdał sobie sprawę, że niesłusznie nazywa oskarżeniem to, co usłyszał, bo przecież nie powiedziała mu niczego, co wykluczałoby zwykły zbieg okoliczności. — Z różnych względów uważam... — zaczął ponownie — że byłoby najrozsądniej, gdybyś nie kontaktowała się z nikim z casa di cura. — Uderzyło go, że sam nie bardzo wie, kogo ma na myśli, radząc Marii, by powstrzymała się od kontaktów z personelem domu opieki. — Czy z tego, co signorina da Pre i signora Cristanti mówiły o pieniądzech, domyśliłaś się, komu konkretnie zamierzają je zostawić?

— Zastanawiałam się nad tym — odparła cicho Maria Testa. — I wołałabym nie wypowiadać się na ten temat.

— Posłuchaj, Mario. Skoro zdecydowałaś się tu przyjść, musisz powiedzieć mi wszystko.

Skinęła powoli głową, jakby słowa komisarza trafiły jej do przekonania, ale spełnienie jego prośby było dla niej czymś zbyt trudnym i przykrym.

— Mogły zostawić pieniądze albo casa di cura, albo imiennie dyrektorowi. Ewentualnie zakonowi.

— Jak się nazywa dyrektor?
— Doktor Messini, Fabio Messini.
— Czy jeszcze komuś mogły imiennie coś zapisać?
Przez chwilę dumiała nad odpowiedzią.
— Może kapelanowi. Padre Pio jest dobry dla pensjonariuszy, wiele osób bardzo go lubi.
Ale nie sądzę, żeby przyjął cokolwiek.
— A matce przełożonej?
— Nie. Nam, kobietom, zakon zabrania posiadania czegokolwiek.
Brunetti przysunął sobie kartkę.
— Znasz nazwisko kapelana?
— Cavaletti.
— Co ci o nim wiadomo?
— Nic oprócz tego, że przychodzi dwa razy w tygodniu spowiadać pensjonariuszy.
Odwiedza też poważnie chorych, żeby udzielić im ostatniego namaszczenia. Poza konfesjonalem niewiele miałam okazji, żeby z nim rozmawiać. — Umilkła, po czym dodała:
— Ostatni raz widziałam go dwudziestego lutego, w dniu święta patronki matki przełożonej.
Raptem jej usta się ściagnęły, a oczy zwięzły w szparki, jakby przeszył ją nagły ból.
Brunetti poderwał się z miejsca, przestraszony, że kobieta zaraz zemdleje. Otworzyła jednak oczy i powstrzymała go ruchem ręki.
— Czy to nie dziwne, że pamiętam, kiedy wypada jej święto? — Spojrzała w bok, potem znów na komisarza. — Nie pamiętam daty swoich urodzin. Pamiętam tylko, kiedy jest święto Immacolata Concezione. Ósmego grudnia.
Potrzęsła głową; nie wiedział, ze smutkiem czy z niedowierzaniem.
— To zupełnie tak, jakby część mojej osoby została wykreślona i nie istniała przez te wszystkie lata. Naprawdę nie pamiętam, kiedy są moje urodziny.
— Może powinnaś odąd świętować dzień, w którym opuściłaś zakon — powiedział Brunetti, uśmiechając się łagodnie.
Przymknawszy powieki, uniosła rękę i potarła nią czoło.
— La Vita Nuova — powiedziała tak cicho, jakby mówiła do siebie.
Nagle, bez żadnego uprzedzenia, wstała.
— Chciałabym już pójść, commissario.
Ponieważ spojrzenie Marii było znacznie mniej spokojne od głosu, Brunetti nie próbował jej powstrzymać.
— Dobrze, oczywiście. Czy mogłabyś mi tylko powiedzieć, jak się nazywa pensjona, w której teraz mieszkasz?
— La Pergola.
— Na Lido?
— Tak.
— A ludzie, którzy ci pomogli?
— Po co panu ich nazwisko? — spytała z przestachem.
— Po prostu lubię wszystko wiedzieć — odparł zgodnie z prawdą.
— Sassi. Vittorio Sassi i jego żona. Mieszkają przy via Morosini pod numerem jedenastym.
— Dziękuję — powiedział Brunetti, powierzając te dane swojej pamięci.
Kiedy Maria Testa ruszyła w kierunku drzwi, komisarz miał wrażenie, że za moment się odwróci i spyta go, co zamierza zrobić z listą nazwisk, którą od niej uzyskał. Nic takiego jednak się nie stało. Obszedł pośpiesznie biurko, chcąc jej otworzyć drzwi, ale nie zdążył. Sama nacisnęła klamkę, po czym spojrzała na niego i z powagą opuściła gabinet.

Rozdział 2

Brunetti ponownie wbił wzrok w buty, lecz nie powrócił do rozważań o błahych kwestiach. Jego myślami, niczym potężne bóstwo, zawładnęła matka, której umysł kilka lat temu podjął

wędrówkę po niezbadanej krainie szaleństwa. Obawy o jej bezpieczeństwo furkotały w głowie komisarza jak skrzydła podrywających się do lotu ptaków, choć miał świadomość, że tak naprawdę matka będzie bezpieczna dopiero wtedy, gdy stanie się to, co stać się musi. To, czego jako syn nie potrafił jej życzyć, a co jako człowiek uważał za najlepsze wyjście. Wbrew woli zaczął rozpamiętywać wydarzenia ostatnich sześciu lat, obracając je w myślach niczym paciorki jakiegoś potwornego różańca.

Nagłym, gwałtownym kopnięciem zatrzaskał szufladę i poderwał się z fotela. Suor'Immacolata — wciąż nie umiał myśleć o niej jako o Marii Teście — zapewniła go, że matce nic nie grozi. Zresztą nie dostarczyła mu żadnych dowodów wskazujących na to, aby komukolwiek coś groziło. Starzy ludzie umierają, a śmierć często jest wyzwoleniem zarówno dla nich samych, jak i dla ich bliskich. Tak też będzie, kiedy...

Wrócił do biurka, wziął listę nazwisk i przebiegł ją wzrokiem. Zaczął się zastanawiać, jak najprościej można by się dowiedzieć czegoś więcej o osobach, które na niej figurowały, o tym, jak żyły i jak umarły. Suor'Immacolata zapisała przy każdym nazwisku datę śmierci. Zatem najpierw należało uzyskać kopie aktów zgonu z urzędu miejskiego — to pierwszy krok na wiodącej przez labirynty biurokracji krętej ścieżce, która z czasem, miał nadzieję, doprowadzi go do testamentów zmarłych. Nic na siłę; jego ciekawość musi być lekka jak puch, pytania delikatne jak muśnięcia kocich wąsów. Usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mówił byleż zakonnicy, że jest komisarzem policji. Może wspomniał o tym podczas jednego z długich popołudni, kiedy matka pozwalała mu się trzymać za rękę — a pozwalała tylko wtedy, gdy w pokoju przebywała jej ulubiona siostra. Ponieważ staruszka potrafiła nie odzywać się godzinami, jedynie nucąc pod nosem jakąś melodię, on i Suor'Immacolata mogli albo też milczeć, albo prowadzić rozmowę. Jeśli dobrze pamiętał, młoda kobieta nigdy nie mówiła nic o sobie, zupełnie jakby habit, który przywdziała, pozbawił ją osobowości. Zapewne wówczas, szukając tematów, żeby jakoś wypełnić te dłużeńce się, bolesne godziny, powiedział jej, czym się zajmuje. Ona zaś najwyraźniej zapamiętała jego słowa i dlatego przysłała do niego po roku ze swoją opowieścią i swoim lękiem.

Wiele lat temu Brunetti nie wierzył, że ludzie zdolni są do pewnych czynów. Uważał — albo przynajmniej wmawiał to sobie — że ludzka nikczemność i okrucieństwo mają granice. Stopniowo, w miarę jak stykał się z coraz straszliwszymi zbrodniami i przekonywał, do czego mogą posunąć się niektórzy, byleby tylko zaspokoić swoje żądze — głównie tę najbardziej pospolitą, lecz i najsilniej oddziaływającą, czyli chciwość — wyzbywał się iluzji. Doszło wreszcie do tego, że w walce z przestępczością czuł się czasami jak ów szalony irlandzki król o trudnym do wymówienia imieniu, który, doprowadzony do furii nieposłuszeństwem morza, zaczął siec mieczem fale przypływu.

Zatem już go nie dziwiło, że ktoś może mordować staruszki i starców dla pieniędzy. Zastanawiała go jednak praktyczna strona tego przedsięwzięcia, gdyż po pierwsze, zabójca nie miał żadnej gwarancji, że ofiara rzeczywiście coś mu zapisała, a po drugie, ryzyko wykrycia było stosunkowo duże.

Lata uprawiania zawodu policjanta nauczyły Brunettiego, że trop, którym warto podążać, bo daje najlepsze rezultaty, to zawsze trop pieniędzy. Początek był oczywisty, gdyż ślad prowadził od osoby, której ich pozbawiono siłą bądź podstępem. Cała sztuka polegała na tym, by ustalić, gdzie się kończył, albowiem zgodnie ze starą zasadą: Cui bono? — wiódł do przestępcy.

Jeśli Suor'Immacolata miała rację — bo, rzecz jasna, mogła się mylić w swoich podejrzeniach — należało się dowiedzieć, na kim trop się urywa, czyli uzyskać wgląd do testamentów pozostawionych przez osoby wymienione na liście.

Kiedy Brunetti wyszedł z gabinetu, signorina Elettra siedziała przy biurku i pracowała na komputerze, choć się spodziewał, że korzystając z nieobecności Patty, będzie czytała gazetę lub rozwiązywała krzyżówkę.

— Signorina, co pani wiadomo o testamentach? — spytał.

— To, że jeszcze nie sporządziłam własnego — odparła z niefrasobliwością osoby, która dopiero nieznacznie przekroczyła trzydziestkę.

I obyś żyła wiecznie — pomyślał Brunetti, odwzajemniając jej uśmiech, po chwili jednak przybrał poważny wyraz twarzy.

— Ale co pani ogólnie o nich wiadomo?

Zorientowawszy się, że komisarz nie żartuje, odwróciła się na fotelu obrotowym i wbiła wzrok w zwierzchnika, czekając na dalszy ciąg.

— Chciałbym poznać treść testamentów pięciu osób, które zmarły tego roku w domu opieki San Leonardo.

— Czy te osoby były mieszkańcami Wenecji?

— Nie wiem. Czy to ma znaczenie?

— Testamenty są ujawniane przez notariusza, który je sporządził; miejsce zgonu nie ma znaczenia. Ale jeśli te osoby sporządziły testamenty u notariusza w Wenecji, wystarczy, że poda mi pan jego nazwisko; bez trudu uzyskam odpisy.

— A jeśli nie znam?

— To komplikuje sprawę.

— Bardzo?

Elettra uśmiechnęła się szeroko.

— Mógłby pan, commissario, skontaktować się ze spadkobiercami i o wszystko ich wypytać. Ponieważ pan tego nie robi, domyślam się, że wolałby pan, aby nikt o niczym nie wiedział — oznajmiła, posyłając mu kolejny uśmiech. — W każdym razie w centralnym biurze notarialnym deponuje się kopie. Z dotarciem do nich nie powinno być problemu, gdyż archiwa biura zostały skomputeryzowane przed dwoma laty. Co innego, jeśli testamenty sporządził notariusz w jakimś małym paese, gdzie w ogóle nie słyszano o komputerach. Wówczas mogą być trudności.

— Innymi słowy, jeśli testamenty zostały sporządzone tutaj, może pani zdobyć dla mnie kopie?

— Pewnie.

— Jak?

Patrząc na spódnicę, strzepnęła z niej niewidoczny pyłek.

— Obawiam się, że to nielegalne — rzekła.

— Co jest nielegalne?

— Sposób, w jaki zamierzam je zdobyć.

— Dlaczego?

— Nie wiem, czy dostatecznie pan się w tym orientuje, commissario, ani czy potrafię to jasno wytłumaczyć, ale są metody rozpracowywania kodów, które umożliwiają dostęp do praktycznie wszystkich informacji. Akta takich instytucji publicznych jak urząd miejski są słabo zabezpieczone. Kiedy już zna się kod, można buszować po nich do woli, zupełnie jakby... jakby urzędnicy wyszli do domu, zostawiając otwarte drzwi i zapalone światła.

— Tak jest we wszystkich instytucjach rządowych? — spytał zaniepokojony Brunetti.

— Chyba wolałby pan nie wiedzieć — odparła sekretarka, tym razem bez cienia uśmiechu.

— Jak łatwo jest wyszukiwać informacje?

— To zależy od umiejętności osoby, która ich szuka.

— A jakie są pani umiejętności, signorina?

Na jej wargach pojawił się ledwo widoczny uśmiech.

— Bez komentarza, commissario.

Przez chwilę Brunetti wpatrywał się w delikatne rysy jej twarzy, po raz pierwszy zauważając maleńkie kurze łapki w kącikach oczu, charakterystyczne dla osób, które często się uśmiechają; trudno mu było uwierzyć, że ma przed sobą osobę, która nie tylko ma przestępcze umiejętności, ale jeszcze zamierza się nimi posłużyć. Zapominając jednak o policyjnej przysiędze, spytał ponownie:

— Czyli jeśli zmarli byli mieszkańcami Wenecji, może pani zdobyć potrzebne mi dane, tak?

— Oczywiście. — Elettra najwyraźniej walczyła sama ze sobą, na próżno się starając, żeby w jej głosie nie było słyhać dumy. — Chodzi panu o dane z centralnego biura notarialnego, prawda, commissario? — upewniła się.

Skinął głową, rozbawiony tonem wyższości, z jakim była pracownica Banca d'Italia zawsze wymawiała nazwy instytucji rządowych.

— Po obiedzie będą czekały na pana nazwiska głównych spadkobierców. Zdobycie kopii potrwa dzień lub dwa.

Młode, atrakcyjne kobiety mogą nawet popisywać się bezkarnie — pomyślał Brunetti.

— To świetnie, signorina. Dziękuję.

Wręczył jej listę, którą otrzymał od byłej zakonnicy, po czym wrócił do gabinetu Patty. Usiadłszy za biurkiem, wlepił wzrok w leżącą na blacie kartkę z imionami i nazwiskami dwóch ludzi. Doktor Fabio Messini i Padre Pio Cavalletti. Nigdy wcześniej nie słyszał o żadnym z nich, ale w takim mieście jak Wenecja, gdzie wszyscy mają dziesiątki krewnych i setki znajomych, dowiedzenie się czegoś o kimkolwiek nie nastęrczało specjalnych trudności.

Połączył się z salą, w której urzędowali mundurowi policjanci.

— Vianello, mozesz przyjść do mnie na chwilę?
I przyprowadź Miottiego.

Czekając na policjantów, zaczął kreślić znaczki pod nazwiskami na kartce; dopiero kiedy Vianello z Miottim stanęli w drzwiach gabinetu, zdał sobie sprawę, że narysował rząd krzyży. Odłożył długopis i wskazał policjantom krzesła.

Kiedy Vianello usiadł, poły jego rozpiętej kurtki mundurowej rozchyliły się i Brunetti spostrzegł, że sierżant znacznie zeszczupłał przez zimę.

— Jesteś na diecie, Vianello?

— Nie, commissario — odparł sierżant, zdziwiony, że Brunetti cokolwiek zauważył. — Zacząłem ćwiczyć.

— Słucham?

Brunetti, dla którego myśl o wysiłku fizycznym była czymś odstręczającym, nie krył zaskoczenia.

— Zacząłem ćwiczyć — powtórzył Vianello. — Po pracy spędzam pół godziny na siłowni.

— I co tam robisz?

— Ćwiczę.

— Jak często?

— Kiedy tylko mogę — odparł sierżant, nieco stropiony tym przesłuchaniem.

— To znaczy?

— Trzy, cztery razy w tygodniu.

Miotti bez słowa asystował przy tej dziwnej rozmowie i tylko obracał głowę, spoglądając to na komisarza, to na sierżanta. Czy tak powinna wyglądać walka z przestępczością?

— Ćwiczysz, tak?

— Tak, commissario. Ćwiczę — powiedział Vianello z niespodziewanym naciskiem.

Perwersyjna ciekawość nie pozwoliła Brunettiemu na przerwanie indagacji. Pochylił się i dotykając łokciami biurka, podparł ręką brodę.

— Ale jak? Biegasz w miejscu? Wspinasz się po linie?

— Nie — odparł z powagą sierżant. — Ćwiczę na przyrządach.

— Na jakich przyrządach?

— Na przyrządach do ćwiczeń.

Brunetti skierował wzrok na Miottiego, licząc, że ten, jako młody mężczyzna, lepiej to wszystko rozumie i zdoła mu wyjaśnić, o czym Vianello mówi. Ale Miotti, który właśnie z powodu młodego wieku nie miał problemów ani z tuszą, ani z kondycją, umknął spojrzeniem w bok.

— No, w każdym razie świetnie wyglądasz — orzekł komisarz, kiedy w końcu dotarło do niego, że nie zdoła wydusić z Vianella bardziej szczegółowych informacji.

— Dziękuję, commissario. Może pan również powinien kiedyś zajrzeć na siłownię.

Brunetti wciągnął brzuch, wyprostował plecy i wreszcie wrócił do spraw zawodowych.

— Miotti, twój brat jest zakonnikiem, prawda?

— Tak — odpowiedział policjant, najwyraźniej zdziwiony, że komisarz o tym wie.

— Do jakiego należy zakonu?

— Do dominikanów.

— Tu, w Wenecji?

— Nie, commissario. Po czterech latach w Wenecji wysłano go do Novary. Od trzech lat uczy tam w szkole dla chłopców.

— Jesteście w kontakcie?

— Tak, commissario. Raz w tygodniu rozmawiamy przez telefon, a widujemy się trzy lub cztery razy w roku.

— Świetnie. Kiedy następnym razem będziecie rozmawiać, chciałbym, żebyś go o coś spytał.

— O co, commissario? — Miotti wyjął z kieszeni munduru notes i długopis.

Służbistość młodego policjanta sprawiła Brunettiemu niekłamana przyjemność.

— Co wie o Padre Pio Cavalettim, który należy do zakonu Świętego Krzyża tu, w Wenecji.

Brunetti zobaczył, że Vianello unosi brwi; sierżant jednak nic nie powiedział, tylko dalej w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

— Czy chodzi o jakieś konkretne informacje? — spytał Miotti.

— Nie, po prostu dowiedz się, co mu wiadomo o tym księdzu.

— Czy... czy może mi pan powiedzieć o nim coś więcej? Coś, co mógłbym powtórzyć bratu?

— Padre Pio jest kapłanem casa di cura mieszczącej się w pobliżu Ospedale Giustiniani. To wszystko, co wiem.

Miotti zapisał informację. Ponieważ długo wpatrywał się w notes, Brunetti spytał:

— Czyżbyś słyszał to nazwisko?

Policjant uniósł głowę.

— Nie, proszę pana. Nie mam styczności ze znajomymi brata spośród kleru.

— Z jakiegoś konkretnego powodu? — zainteresował się Brunetti, reagując nie tyle na słowa Miottiego, ile na ton jego głosu.

Młody policjant potrząsnął szybko głową, po czym utkwiał spojrzenie w notesie i zaczął coś poprawiać w zapiskach. Brunetti popatrzył pytająco na Vianella; ten wzruszył nieznacznie ramionami. Brunetti uniósł lekko brwi i wskazał oczami na Miottiego; Vianello od razu odgadł, o co komisarzowi chodzi: żeby spróbował rozszyfrować powody powściągliwości młodszego kolegi. Dał znak, że rozumie.

— Coś jeszcze, commissario? — spytał Vianello.

— Chcę porozmawiać z kilkoma osobami, ale ich nazwiska będę znał dopiero po południu — rzekł Brunetti, mając na myśli spadkobierców, których dane obiecała mu zdobyć signorina Elettra.

— Mam pójść z panem? — upewnił się sierżant.

Brunetti skinął głową.

— Tak. Spotkajmy się o czwartej. — Wybrał tę godzinę, żeby bez pośpiechu wrócić z obiadu. — Na razie to wszystko. Dziękuję wam.

— Zjrzyj po pana do gabinetu — rzekł Yianello.

Miotti pierwszy ruszył do drzwi. Sierżant wskazał na niego brodą i zmrużył oko, zapewniając w ten sposób Brunet - tiego, że jeśli istnieją jakieś powody, dla których młody policjant woli nie zadawać się z księżmi i zakonnikami zaprzyjaźnionymi z bratem, wkrótce komisarz się o tym dowie.

Kiedy wyszli z gabinetu, Brunetti wyjął z szuflady książkę telefoniczną instytucji i otworzył ją na wykazie lekarzy. Żaden Messini tam nie figurował, więc komisarz sięgnął po spis telefonów mieszkańców Wenecji. Znalazł trzech abonentów o tym nazwisku; jeden miał na imię Fabio, a przy jego nazwisku widniał skrót „dr”. Mieszkał w dzielnicy Dor- soduro. Brunetti zapisał numer telefonu i adres, po czym podniósł słuchawkę i wykręcił z pamięci inny numer.

Po trzecim dzwonku odezwał się gruby męski głos.

— Alló?

— Ciao, Lele — powiedział Brunetti, rozpoznając malarza. — Dzwonię, bo chcę cię spytać o jednego z twoich sąsiadów, doktora Fabia Messiniego.

Wystarczyło, że ktoś mieszkał w Dorsoduro, by Lele Bortoluzzi, którego rodzina osiedliła się w Wenecji w czasach wypraw krzyżowych, wiedział o nim niemal wszystko.

— To ten z afganką?

— Chodzi ci o żonę czy psa? — spytał ze śmiechem Brunetti.

— Jeśli to ten, którego mam na myśli, jego żona pochodzi z Rzymu, natomiast suka jest rasy afgan. Piękna, pełna gracji istota. Zresztą żona też. Obie mijają moją galerię przynajmniej raz dziennie.

— Messini, który mnie interesuje, jest dyrektorem domu opieki przy Ospedale Giustiniani.

— Jak również tego, w którym przebywa Regina, prawda? — spytał Lele, który naprawdę wszystko wiedział.

— Tak.

— Jak ona się miewa, Guido?

Lele Bortoluzzi, zaledwie kilka lat młodszy od matki komisarza, znał ją całe życie i był jednym z najbliższych przyjaciół jej męża.

— Bez zmian, Lele.

— Niech Bóg ma ją w opiece, Guido. Tak mi jej strasznie żal.

Brunetti tylko westchnął, bo cóż mógł powiedzieć? Po czym spytał:

— Co wiesz o Messinim?

— Jeśli dobrze pamiętam, zaczął od otwarcia ambulatorio. To było jakieś dwadzieścia lat temu. Potem ożenił się z tą rzymianką, Claudią, i za pieniądze jej rodziny założył pierwszą casa di cura. Wtedy zrezygnował z prywatnej praktyki, w każdym razie tak mi się zdaje. Teraz jest dyrektorem czterech czy pięciu domów opieki.

— Znasz go?

— Nie. Czasem go widuję, ale niezbyt często. Znacznie rzadziej niż jego żonę.

— Więc skąd wiesz, że to właśnie jego żona? — spytał Brunetti.

— W ciągu paru lat kupiła ode mnie kilka obrazów. Lubię ją. To inteligentna kobieta,

— I ma dobry gust w sprawach sztuki?

W słuchawce rozległ się głośny śmiech.

— Skromność nie pozwala mi potwierdzić, Guido.

— Czy krążą o nim jakieś plotki? O nim lub o nich?

Lele milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie rzekł:

— Nie, nie przypominam sobie, żebym cokolwiek słyszał. Ale jeśli chcesz, mogę popytać.

— Tylko po cichu. Tak, żeby nikt się niczego nie domyślił — poprosił Brunetti, wiedząc, że ta uwaga jest zbyteczna.

— Będę bardzo dyskretny — obiecał malarz.

— Dzięki, Lele.

— To nie ma nic wspólnego z Regina, co?

— Nie, absolutnie nie.

— To dobrze. Twoja matka była wspaniałą kobietą, Guido — oznajmił Bortolluzi, po czym, jakby nagle zorientował się, że użył czasu przeszłego, dodał szybko: — Zadzwoń, jak się czegoś dowiem.

— Będę ci wdzięczny, Lele.

Brunetti miał wielką ochotę jeszcze raz przypomnieć malarzowi o konieczności zachowania dyskrecji, ale ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że ktoś, kto potrafi się utrzymać na weneckim rynku antyków i sztuki, musi być bardziej przebiegły od lisa. Pożegnał się więc i odłożył słuchawkę.

Brakowało jeszcze sporo do dwunastej, ale czuł, że nie zdoła się dłużej oprzeć kuszącemu zapachowi wiosny, która od tygodnia przypuszczała szturm na miasto. Zresztą był teraz sam sobie szefem, toteż mógł po prostu wstać i wyjść, nie oglądając się na nikogo. Uznał, że nie ma sensu odrywać od pracy Elettry, aby poinformować ją, dokąd się udaje; pewnie była w trakcie dokonywania przestępstwa komputerowego. Żeby nie zwiększać swojego współdziałania w zbrodni i — co ważniejsze — nie przeszkadzać sekretarce, minął ją bez słowa i wkrótce znalazł się na ulicy. Ruszył w stronę mostu Rialto i domu.

Rano, kiedy wychodził do pracy, było zimno i wilgotno, ale w ciągu kilku godzin tak bardzo się ociepliło, że wręcz dokuczało mu gorąco. Rozpiął płaszcz, schował do kieszeni szalik, lecz mimo to czuł, że się poci. Wełniany garnitur grzał go niemiłosiernie, a poza tym nagle pojawiła się w jego głowie natarcywa myśl, że spodnie i marynarka są ciasniejsze niż na początku zimy. Zbliżywszy się do mostu Rialto, energicznie przyspieszył kroku i wbiegł na schody. Po chwili jednak zabrakło mu tchu; musiał zwolnić. Na szczycie mostu zatrzymał się i popatrzył w lewo, w kierunku Piazza San Marco i Pałacu Dożów widocznych na drugim końcu długiego łuku, którym Canal Grandę opływał dzielnicę. Słońce iskrzyło się na powierzchni wody, na której kołysały się mewy o czarnych łebkach — chyba pierwsze w tym roku.

Odzyskawszy oddech, Brunetti ruszył w dół z mostu; było tak pięknie, że wyjątkowo nie przeszkadzał mu ani tłok na ulicach, ani widok kłębiących się wszędzie turystów. Kiedy dotarł do straganów z warzywami i owocami, zobaczył, że pojawiły się już szparagi; miał nadzieję, iż zdoła namówić na nie Paolę. Ale rzut oka na cenę uświadomił mu, że nie ma na to szans, przynajmniej przez najbliższy tydzień; potem szparagi zaleją rynek i cena spadnie o połowę. Szedł wolnym krokiem, spoglądając na warzywa i umieszczone obok ceny, co pewien czas wymieniając pozdrowienia ze znajomymi sprzedawcami. Charakterystyczne liście na ostatnim straganie po prawej przyciągnęły jego uwagę, podszedł więc bliżej, żeby sprawdzić, czy się nie myli.

— To puntarelle? — spytał zdziwiony, że widzi ją na targu o tej porze roku.

— Tak, w dodatku najlepsza na całym Rialto — zapewnił go sprzedawca, mężczyzna o czerwonej twarzy wytrawnego bibosza. — Sześć tysięcy za kilogram. Taniocha.

Brunetti nie zamierzał reagować na tak oczywisty nonsens. Kiedy był chłopcem, kilogram puntarelle kosztował zaledwie kilkaset lirów, a mimo to nie cieszyła się popularnością; zwykle kupowali ją na karmę ci, którzy nielegalnie hodowali w mieście króliki, trzymając je na podwórkach lub w ogródkach koło domu.

— Poproszę pół kilo — rzekł, wyjmując z kieszeni kilka banknotów.

Sprzedawca pochylił się nad stosami warzyw i wziął wielką garść wonnych zielonych liści. Niczym prestidigitator wyczarował nie wiadomo skąd arkusz brunatnego papieru, rzucił go na

wagę, na nim położył puntarelle, po czym uniósł liście razem z papierem i sprawnie zawinał, tworząc zgrabną paczuszkę. Cisnął ją na tekturowe pudełko z równymi rządkiem młodych cukinii i wyciągnął rękę po pieniądze. Brunetti wręczył mu trzy banknoty tysiąc- lirowe i nie prosząc o plastikową torebkę, ruszył dalej.

Przy wmurowanym zegarze skierował się w lewo, w stronę San Aponal i domu. Po chwili, pod wpływem impulsu, skręcił w pierwszą przecznicę z prawej i wszedł do Do Mori, gdzie zamówił kanapkę z prosciutto oraz kieliszek chardonnay, żeby splukać słony smak wędliny.

Kiedy kilka minut później, zdyszany po pokonaniu ponad dziewięćdziesięciu schodów, otworzył drzwi mieszkania, powitała go miła nozdrzom i sercu mieszanka zapachów, kojarząca się z ogniskiem domowym, rodziną, radością.

— Paola, jesteś już?! — zawołał, choć oszalałmiający zapach czosnku i cebuli nie pozostawiał wątpliwości, że żona wróciła z pracy.

Głośne si! z kuchni wskazało mu drogę. Położył na stole zawinięte w papier liście, po czym podszedł do żony, żeby ją pocałować, a przy okazji rzucić okiem na patelnię.

Żółte i czerwone paski papryki dusiły się w gęstym sosie pomidorowym, znad którego unosił się aromat kielbasy.

— Robisz tagliatelle? — spytał Brunetti; był to jego ulubiony makaron.

Paola uśmiechnęła się i pochyliła, żeby zamieszać sos.

— Oczywiście — rzekła, po czym spojrzawszy na stół, zobaczyła paczuszkę. — Co to?

— Puntarelle. Pomyślałem, że mogłabyś zrobić tę sałatkę z anchois.

— Świetny pomysł! — ucieszyła się. — Puntarelle o tej porze roku... Gdzie ją kupiłeś?

— U tego gościa, co bije żonę.

— Słucham? — spytała zaskoczona.

— Ostatni stragan po prawej, idąc w stronę targu rybnego. Facet z czerwonym nosem.

— Biję żonę?

— Trzy razy przywożono go na komendę. Ale żona, kiedy trzeźwieje, zawsze wycofuje oskarżenie.

Brunetti obserwował Paolę, kiedy odtwarzała w myślach rozmieszczenie straganów na targu warzywnym.

— To ta w futrze z nerek? — zapytała.

— Tak.

— Nie miałam pojęcia, że mąż ją tłucze.

Brunetti wzruszył ramionami.

— Nic nie możesz na to poradzić?

— Nie. To nie nasza sprawa — odparł, ucinając rozmowę, ponieważ był głodny, a wiedział, że dyskusja tylko odwlecze posiłek.

Zdjął płaszcz, potem marynarkę, obie rzeczy rzucił na krzesło, po czym podszedł do lodówki po butelkę wina. Obchodząc Paolę, żeby sięgnąć do szafki po kieliszek, szepnął:

— Pachnie wspaniale.

— Uważasz, że to naprawdę nie jest sprawa policji? — Ton Paoli dowodził, że znalazła sobie nowy cel w życiu.

— Tak uważam. Żona musiałaby oficjalnie złożyć denuncja. Ale nigdy nie chciała tego zrobić.

— Może się go boi.

— Paolo, posłuchaj — rzekł Brunetti, żałując, że jednak nie udało mu się uniknąć dyskusji. — Baba jest dwa razy większa od męża, waży ze sto kilo. Gdyby chciała, mogłaby go jedną ręką wyrzucić przez okno. Ale...

— Ale co?

— Po prostu nie chce! Kłóć się, w którymś momencie dochodzi do rękoczynów, więc ona dzwoni do nas.

Napełnił kieliszek i pociągnął łyk wina, mając nadzieję, że już wyczerpali temat. Paola nie zamierzała jednak ustąpić tak łatwo.

— I co potem? — zapytała.

— Jedziemy, zgarniamy faceta, zawozimy go na komendę i trzymamy przez noc. Rano przychodzi po niego żona. Zdarza się to mniej więcej raz na pół roku, ale jeszcze nigdy nie miała poważniejszych obrażeń, a poza tym chętnie zabiera go z powrotem do domu.

Paola przez chwilę dumiała, w końcu wzruszyła ramionami.

— Dziwne, nie?

— Pewnie, że dziwne — potwierdził Brunetti, zadowolony z takiego obrotu rzeczy, gdyż długoletnie doświadczenie mówiło mu, że Paola wreszcie uznała dyskusję za zamkniętą.

Schylając się po płaszcz i marynarkę, które zamierzał wynieść do przedpokoju, zauważył na stole jasnobrązową kopertę. Wyciągnął po nią rękę.

— Świadeństwo Chiary?

— Aha — mruknęła Paola, soląc wodę w garnku, który stał na tylnym palniku.

— I jakie ma wyniki? Dobrze?

— Świetne, z wyjątkiem jednego przedmiotu.

— Wuefu? — spytał zdezorientowany, bo odkąd sześć lat temu córka wysforowała się na czoło klasy, zawsze otrzymywała same oceny celujące. Ale ponieważ tak samo jak on nie znosiła wysiłku fizycznego, gimnastyka była jedynym przedmiotem, z którego teoretycznie mogła otrzymać gorszy stopień.

Otworzył kopertę, wyjął świadeństwo i przebiegł wzrokiem rubryki.

— Z religii? — To go zaskoczyło. — Z religii? — powtórzył.

Ponieważ Paola milczała, zaczął czytać uwagę nauczyciela, wyjaśniającą, dlaczego córka otrzymała tak niską ocenę.

— „Zadaje zbyt wiele pytań”? „Zakłóca porządek”? — przeczytał. — O co tu chodzi? — zapytał, wymachując świadeństwem.

— Musisz ją spytać, kiedy wróci do domu — rzekła Paola.

— Jeszcze jej nie ma?

Przestraszył się: może Chiara wie, że świadeństwo nadeszło, i błąka się po mieście, chcąc odwlec powrót do domu? Ale spojrzął na zegarek i przekonał się, że wciąż jest wcześnie; córka powinna przyjść dopiero za kwadrans.

Paola, która nakrywała do stołu, trąciła go lekko biodrem, żeby zszedł jej z drogi.

— Mówiła ci coś o tym? — spytał Brunetti, ustępując na bok.

— Właściwie nie. Wspomniała, że nie lubi księdza, ale nie tłumaczyła dlaczego. Powinam ją była spytać.

— Jakiego rodzaju to ksiądz? — Przyniósł krzesło i usiadł przy stole.

— Co znaczy „jakiego rodzaju”?

59

— Zwyczajny czy członek jakiegoś zakonu?

— Chyba zwyczajny, z kościoła obok szkoły.

— Z San Polo?

— Tak.

Rozmawiając z żoną, przeczytał uwagi pozostałych nauczycieli, którzy zgodnie chwalili inteligencję i pracowitość Chiary. Matematyk napisał, że jest „wyjątkowo zdolną uczennicą z prawdziwym talentem do matematyki”, a nauczycielka włoskiego posłużyła się przymiotnikiem „wykwintny” dla określenia stylu jej wypracowań. W żadnej opinii nie było nie tylko słowa nagany, ale nawet najdrobniejszego przejawu jakże powszechnej wśród nauczycieli tendencji do deprecjonowania wysokich ocen surowymi ostrzeżeniami na przyszłość, aby młodej osobie nie przewróciło się w głowie od pochwał.

— Nie rozumiem tego. — Wsunął pagella z powrotem do koperty i rzucił na stół, po czym przez chwilę zastanawiał się, jak najrzęczniejszym sformułować pytanie. — Nie rozmawiałaś z nią na temat religii, co?

Bliżsi i dalsi przyjaciele oraz znajomi mogli mieć różne opinie na temat Paoli, ale wszyscy, którzy ją znali, byli zgodni co do jednego: że jest mangiapreti, czyli „księżo-żercą”. Furia jej antyklerykalnych wystąpień nadal zdumiewała Brunettiego, mimo że w innych sprawach po tylu latach małżeństwa żonie rzadko zdarzało się go zaskoczyć. Postępowanie Kościoła — to właśnie był temat, który działał na nią jak płachta na byka, niemal za każdym razem wywołując jej sprzeciw i gniew.

— Przecież obiecałam — rzekła, odwracając się do niego. Brunettiego zawsze dziwiło, że Paola tak łatwo uległa prośbom rodziców i teściów, żeby ochrzcić dzieci i posyłać je na lekcje religii. „Tak, Kościół to część kultury Zachodu” — przyznała im rację tonem, w którym pobrzmiwała gorzka ironia. Dzieci, nie w ciemnię bite, szybko się zorientowały, że lepiej nie kierować do matki pytań o dogmaty wiary, choć równocześnie zdawały sobie sprawę, że w dziedzinie historii Kościoła i sporów teologicznych jest wręcz chodzącą encyklopedią. O ile jednak jej wyjaśnienia dotyczące przesłanek herezji ariańskiej mogły służyć za przykład naukowego obiektywizmu, o tyle potępienie Kościoła za kilkaset lat rzezi, które nastąpiły w wyniku zwycięstwa ortodoksyjnych przeciwników aleksandryjskiego kapłana, było — mówiąc łagodnie — bardzo emocjonalne.

Przez te wszystkie lata Paola dzielnie dotrzymywała słowa i w obecności dzieci nigdy nie wypowiadała się otwarcie ani przeciwko chrześcijaństwu, ani w ogóle jakiegokolwiek religii. Tak więc źródłem niechęci Chiary do religii, jeśli właśnie niechęć była powodem „zakłócania porządku”, nie mogło być nic, co usłyszała od matki.

Na dźwięk otwierających się drzwi oboje spojrzeli w stronę korytarza, ale w progu pojawił się Raffi, nie Chiara.

— Ciao, mamma! Ciao, papa! — zawołał chłopak, po czym udał się do swojego pokoju, żeby zostawić podręczniki.

Po chwili wszedł do kuchni. Kiedy schylił się, żeby cmoknąć w policzek Paolę, Brunetti, który wciąż siedział przy stole, a więc widział go z nieco innej perspektywy niż zwykle, nagle zdał sobie sprawę, że syn urosł przez zimę. Raffi chwycił przykrywkę patelni i zobaczywszy, co pod nią bulgocze, znów pocałował matkę.

— Umieram z głodu, mamma. Kiedy będziemy jedli?

— Jak tylko zjawi się twoja siostra — odparła Paola, zmniejszając ogień pod garnkiem z wodą, która właśnie zaczęła wrzeć.

Raffi podciągnął rękaw i spojrzął na zegarek.

— Dobrze wiesz, że zawsze przychodzi o tej samej porze. Równo za siedem minut stanie w drzwiach, więc już teraz możesz wrzucić makaron.

Wziął ze stołu paczkę paluszków, rozerwał celofan i wyjął trzy cienkie grissini. Wszystkie trzy wsunął sobie do ust i zaczął chrupać, tak jak królik chrupie długie żdźbła trawy. Kiedy nic z nich nie zostało, wyciągnął kolejne trzy i zjadł w ten sam sposób.

— Proszę cię, mamma. Jestem głodny jak pies, a zaraz muszę lecieć do Massima, bo chcemy się razem uczyć fizyki.

Paola postawiła na stole półmisek z pieczonymi plastrami oberżyny, po czym nagle skinęła głową na znak, że się zgadza, i ostrożnie wrzuciła do wrzątku paski świeżo przyrządzonego makaronu.

Brunetti wyjął z koperty świadectwo Chiary i podał je synowi.

— Wiesz coś o tym?

Dopiero w ostatnich latach, kiedy zakończył się w jego życiu okres fascynacji marksizmem, świadectwa Raffiego zaczęła cechować ta sama monotonna doskonałość, do której zdążyła

przyzwyczajaić rodziców Chiara, lecz nawet wówczas, gdy szkolna kariera chłopca przechodziła największe upadki, Raffi zawsze dumny był z wyników siostry.

Obejrzał świadectwo i bez słowa oddał je ojcu.

— No i co? — spytał Brunetti.

— „Zakłóca porządek”. Ha! — Chłopak zaśmiał się i zamilkł.

Paola, mieszając makaron, kilka razy uderzyła gniewnie łyżką o garnek.

— Wiesz coś o tym? — powtórzył Brunetti.

— Właściwie to nie. — Raffi wyraźnie nie miał ochoty mówić nic więcej, ale po chwili, nie mogąc znieść pełnej wyczekiwania ciszy, jaka zapadła po jego słowach, dodał nieco urażonym tonem: — Mama tylko się wścieknie...

— A niby dlaczego? — spytała Paola, siląc się na uśmiech.

— Bo... — zaczął Raffi, ale przerwał mu zgrzyt obracanego w drzwiach klucza. — No, przyszła winowajczyni — rzekł z ulgą i nalał sobie szklankę wody mineralnej.

Wszyscy troje zwrócili oczy w stronę korytarza i w milczeniu obserwowali Chiare. Wiesząc kurtkę, upuściła książki, potem zebrała je z podłogi i położyła na krześle. Następnie ruszyła do kuchni, ale widząc zasepione miny rodziców i brata, zatrzymała się w drzwiach.

— Ktoś umarł? — spytała zupełnie poważnie.

Paola kucnęła i wyjęła z szafki durszlak. Wstawiła go do zlewu, po czym wylała wrzątek z makaronem. Chiara Przez cały ten czas stała w progu kuchni.

— Co się stało? — ponowiła pytanie.

Ponieważ Paola była zajęta przerzucaniem makaronu do dużej miski i mieszaniem go z sosem, odpowiedzi córce musiał udzielić Brunetti.

— Przyszło twoje świadectwo. Chiara lekko się stropiła.

— Aha — powiedziała tylko, po czym obeszła ojca i usiadła przy stole.

Zaczynając od Raffiego, Paola nałożyła każdemu na talerz kopiastą porcję makaronu. Następnie wszystkie porcje szczerze posypała tartym parmezanem i zaczęła jeść. Mąż i dzieci poszli w jej ślady.

— Chodzi o religię? — zapytała po kilku minutach Chiara, podając matce pusty talerz.

— Tak — odparła Paola i nałożyła córce dokładkę. — Dostałaś bardzo kiepski stopień.

— Jak kiepski?

— Trójkę.

Chiara skrzywiła się boleśnie.

— Domyślasz się dlaczego? — spytał Brunetti. Zasłonił dłońmi talerz na znak, że nie chce już więcej,

więc Paola dołożyła resztę makaronu Raffiemu.

— Nie — odparła Chiara i znów uniosła widelec.

— Nie uczysz się? — spytała Paola.

— Czego? Tego idiotycznego katechizmu? Na to wystarczy jedno popołudnie.

— Więc w czym problem? — dopytywał się Brunetti. Raffi wziął bułkę z koszyka stojącego na środku stołu, przełamał ją i zaczął zgarniać sos z talerza.

— Chodzi o Don Luciana? — Popatrzył na siostrę.

Chiara skinęła głową. Odłożyła widelec i zerknęła w stronę kuchenki, ciekawa, co jeszcze będzie na obiad.

— Znasz tego Don Luciana? — zainteresował się Brunetti, mierząc syna wzrokiem.

Raffi wywrócił oczy do nieba.

— Chryste, kto go nie zna?! — Po chwili ponownie zwrócił się do siostry: — Spowiadałaś się kiedyś u niego?

Dziewczyna potrząsnęła głową, ale nic nie powiedziała.

Paola wstała od stołu i zebrała talerze, na których jedli makaron. Następnie podeszła do kuchenki, otworzyła piecyk i wyjęła naczynie żaroodporne z cołoletta milanesa. Udekorowała danie ćwiartkami cytryny i postawiła na stole. Podczas gdy Brunetti nakładał sobie dwa kotlety, ona sięgnęła do półmiska po oberzynę. Cały czas milczała.

— Nie jest dobrym spowiednikiem? — spytał Brunetti syna, widząc, że Paola nie zamierza wtrącać się do rozmowy.

— Dzieciaki go nie lubią — powiedział Raffi, też biorąc dwa kotlety.

— Dlaczego?

Raffi zerknął szybko na Chiare, która ledwo dostrzegalnie poruszyła głową, po czym znów skupiła się na jedzeniu. Nie uszło to uwagi rodziców.

Brunetti odłożył widelec. Chiara patrzyła w talerz, a Raffi na Paolę, która nadał siedziała bez słowa.

— Mam tego dość — oświadczył Brunetti znacznie bardziej gniewnym tonem, niż zamierzał. — Chcę wiedzieć, co się dzieje i co przed nami ukrywacie.

Z Raffiego, który świadomie unikał patrzenia mu w oczy, przeniósł wzrok na Chiare i stwierdził, że córka oblała się ciemnym rumieńcem.

— Chiaro, czy Raffi może nam powiedzieć, co wie? — spytał łagodniej.

Ze spojrzeniem utkwionym w talerz skinęła głową.

Raffi, naśladując ojca, też odłożył widelec.

— To nic wielkiego, papa. — Uśmiechnął się.

Brunetti nie odezwał się, a Paola milczała, jakby była niemową.

— Chodzi o to, co mówi dzieciakom. Kiedy na spowiedzi wspominają... o tych rzeczach.

— O tych rzeczach? — powtórzył Brunetti.

— No wiesz, papa. O tym, co robią, kiedy są podnieceni. Brunetti wreszcie pojął.

— Co im mówi Don Luciano?

— Każe wszystko opisywać. Dokładnie, ze szczegółami.

Raffi ni to zarechotał, ni to zakasłał, po czym zamilkł.

Brunetti spojrzał na Chiare i zobaczył, że zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

— Rozumiem — powiedział.

— To naprawdę żalosalne — dodał po chwili Raffi.

— Tobie też kazał opowiadać?

— O nie, ja już od lat nie chodzę do spowiedzi. Ale młodszym chłopcom każe.

— I dziewczynkom też — szepnęła Chiara tak cicho, że Brunetti wolał jej o nic nie pytać.

Zwrócił się więc znów do syna:

— Ale tylko każe opowiadać, tak? Sam nic nie robi?

— O niczym nie wiem, papa. Don Luciano uczył mnie religii trzy lata temu; jedyne, co go obchodziło, to katechizm. Kazał nam go wkuwać na blachę, a potem odpytywał. Ale dziewczynom mówił przykre rzeczy. Nadal tak postępuje? Co, Chiaro?

Chiara przyznała, że tak.

— Czy ktoś ma ochotę na jeszcze jednego kotleta? — zapytała zupełnie normalnym tonem Paola.

Odpowiedziały jej dwa potrząśnięcia głową i jedno chrząknięcie, co uznała za przyzwolenie na zebranie naczyń ze stołu. Tego dnia nie przygotowała sałatki; na deser planowała podać tylko owoce. Teraz jednak odwinęła z papieru pudełko stojące na kuchennym blacie i wyjęła z niego tort ze świeżymi owocami oraz bitą śmietaną; zamierzała zabrać go na uczelnię, żeby poczęstować kolegów po spotkaniu na wydziale, ale pomyślała, że uraczy ich kiedy indziej.

— Chiaro, kochanie, podaj talerzyki — powiedziała do córki, wyjmując z szuflady srebrną łyżeczkę.

Porcje, które ukroiła, były — przynajmniej zdaniem Brunetti — tak duże, że u każdego mogły wywołać wstrząs insulinowy, ale słodkie ciasto w połączeniu z gorzką kawą, a potem rozmowa o pierwszym prawdziwym dniu wiosny zdołały w znacznej mierze przywrócić dobry nastrój. Po skończonym posiłku Paola zajęła się zmywaniem naczyń, a Brunetti postanowił poczytać gazetę. Chia- ra znikła w swoim pokoju, a Raffi poszedł do przyjaciela uczyć się fizyki.

Chociaż ani Brunetti, ani Paola nie podjęli na nowo wątku Don Luciana, oboje mieli świadomość, że nie jest to temat zamknięty.

Rozdział 3

Wracając na komendę, Brunetti wziął płaszcz, ale go nie włożył, tylko zarzucił na ramiona. Szedł najedzony, radując się pięknym, ciepłym dniem. Przeszkadzał mu nieco ucisk garnituru, ale pocieszał się, że to kwestia pogody; po prostu upał sprawiał, że bardziej odczuwał napór grubej, wełnianej materii. Zresztą w zimie każdy przybiera na wadze kilogram czy dwa — i dobrze, zwiększa to bowiem odporność organizmu na choroby i przeziębienia.

Schodząc z mostu Rialto, zobaczył vaporetto numer osiemdziesiąt dwa przybijający do embarcadero po prawej, więc rzucił się biegiem i zdołał wskoczyć na pokład, zanim łódź wypłynęła na środek Canal Grandę. Przeszedł na prawą burtę, ale pozostał na zewnątrz, żeby rozkoszować się wiatrem i widokiem migotliwej wody. Przy Calle Tie- polo wyteżył wzrok, mając nadzieję, że w wąskiej uliczce zdoła wypatrzeć balustradę swojego tarasu. Nie udało się, toteż po chwili znów skierował spojrzenie na wodę.

Często zastanawiał się, jak musiało wyglądać życie w Wenecji w czasach, gdy Serenissima była republiką, a tę •Mną trasę, którą on teraz płynął, pokonywało się z pomocą *fioseł, w ciszy niezakłócanej warkotem silników i wyciem syren, jedynie przy wtórze okrzyków ouie! i miarowego skrzypienia dulek. Jak wiele się zmieniło! Współcześni kupcy w odległych portach kontaktowali się nie za pośrednictwem listów wożonych na galeonach o strzelistych masztach, lecz rozmawiając przez ohydne telefonini. Wszędzie czuło się woń spalin i fabrycznych wyziewów nadciągających od lądu; morskie wiatry nie były w stanie oczyścić powietrza w mieście. Jedyne, co się nie zmieniło, to ponad- tysiącletnia sława miasta jako stolicy cheiwości i korupcji. Brunetti westchnął. Czy wołałby, aby Wenecja była mniej dumna ze swojej złej reputacji? Denerwowało go, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Początkowo zamierzał wysiąść na przystanku San Sa- muele i przejść spacerkiem aż do Piazza San Marco, ale powstrzymała go myśl o tłumach, które zachęczone wspaniałą pogodą wyległy na ulice. Dopłynął więc łodzią do San Zaccaria, tam wysiadł i zawrócił w stronę komendy, do której dotarł tuż po trzeciej, jeden z pierwszych.

Stwierdził, że podczas jego nieobecności przybyło papierów na biurku, zupełnie jakby się same rozmnożyły. Si- gnorina Elettra, zanim wyszła z pracy, zostawiła mu obiecaną listę głównych spadkobierców zmarłych, których nazwiska podała Suor'Immacolata, a raczej — jak się poprawił w myślach — Maria Testa. Na schludnie przepisanej na maszynie liście figurowały również adresy i numery telefonów. Przebiegłszy je wzrokiem, Brunetti przekonał się, że tylko troje spadkobierców mieszka w Wenecji. Czwarty adres okazał się turyński; szóstka wymieniona w ostatnim testamencie była rozsiana po innych miastach.

Na oddzielnej kartce signorina Elettra skreśliła wiadomość, że nazajutrz po południu powinna mieć kopie testamentów.

Komisarzowi przemknęło przez myśl, że mógłby zadzwonić do weneckich spadkobierców i umówić się z nimi na spotkanie, ale zrezygnował z tego pomysłu. Niezapowiedziana wizyta zawsze daje policji przewagę, toteż usiadłszy w fotelu, obmyślił najdogodniejszą trasę, która pozwoliłaby w ciągu jednego popołudnia kolejno odwiedzić wszystkich. Wiedział z długoletniej praktyki, że bez względu na to, czy ktoś jest winny, czy nie, element zaskoczenia sprawia, iż człowiek rzadziej mija się z prawdą.

Schowawszy listę do kieszeni, pochylił się nad urzędowymi dokumentami leżącymi na biurku i pogrążył w lekturze. Po przeczytaniu drugiego pisma wyprostował się, przysunął stos bliżej i dopiero wtedy zaczął studiować następne. Nudna treść, ciepło panujące w gabinecie i pełny żołądek sprawiły, że kilka minut później dłonie opadły mu na kolana, a broda na pierś. Po pewnym czasie ze snu wyrwał go hałas zatrząskiwanych z impetem drzwi na korytarzu. Poderwał głowę, potarł ręką twarz i zamarzył o kawie. Nagle ujrzał stojącego w progu Vianella i zdał sobie sprawę, że kiedy drzemał, drzwi cały czas były szeroko otwarte.

?— Witam, sierżancie — powiedział z uśmiechem, który świadczył o tym, że on, Guido Brunetti, znakomicie nad wszystkim panuje. — O co chodzi?

— Miałem wstąpić po pana, commissario. Jest kwadrans po czwartej.

— Tak późno? — zdziwił się, rzucając okiem na zegarek.

— Zaglądałem wcześniej, ale był pan zajęty. — Via- nello zrobił wymowną pauzę, po czym dodał: — Motorówka już czeka.

— Rozmawiałeś z Miottim? — spytał Brunetti, kiedy schodzili po schodach.

— Tak, commissario. Potwierdziły się moje przypuszczenia.

— Jego brat jest gejem, prawda?

Ze zdumienia Vianello przystanął w pół kroku.

— Jak się pan tego domyślił?

— Miotti wydawał mi się dziwnie spięty, kiedy mówił, że nie utrzymuje kontaktów ze znajomymi brata ze sfer kościelnych. Pomyślałem sobie, że w takie zmieszanie mogła go wprawić jedynie orientacja seksualna brata. W końcu nie oszukujmy się, Miotti nigdy nie miał zbyt postępowych poglądów. — Komisarz umilkł, a po chwili dodał: — Zresztą to żadna nowina, że księża bywają gejami.

— Byłoby bardziej dziwne, gdyby nimi nie bywali. — Vianello ponownie ruszył w dół. — Ale zawsze pan powtarzał, że Miotti jest dobrym policjantem.

— Nie trzeba mieć otwartego umysłu, żeby być dobrym policjantem.

— Istotnie — zgodził się sierżant.

Kiedy wyszli z budynku komendy Montisi, pilot policyjnej motorówki, czekał na pokładzie. Wszystko lśniło w słońcu: mosiężne części osprzętu, metalowa oznaka na kołnierzu pilota, młode zielone liście winorośli budzącej się do życia po drugiej stronie kanału, pusta butelka po winie dryfująca na powierzchni roziskrzzonej wody. Vianello nie wytrzymał: rozpostarł szeroko ramiona i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Montisi wbił w niego zdumione spojrzenie. Zakłopotany swoim nagłym wybuchem radości, Vianello próbował udawać, że tylko się przeciąga po wielogodzinnej pracy przy biurku, ale kiedy tuż nad powierzchnią wody przeleciała para zakochanych jerzyków, zrezygnował z maskarady.

— Jest wiosna! — zawołał wesoło, po czym wskoczył do motorówki i z rozmachem klepnął Montisiego w ramię.

— Czyżby to ćwiczenia na siłowni dawały ci tyle energii? — zapytał Brunetti, wchodząc na pokład.

Montisi, który widocznie nie miał dotąd pojęcia o najnowszym hobby sierżanta, spojrział na niego z wyraźnym niesmakiem, po czym włączył silnik i skierował łódź w górę wąskiego kanału.

Vianello, nie zniechęcony reakcją pilota, pozostał na pokładzie, natomiast Brunetti zszedł do kajuty. Zdjął plan miasta z półki wiszącej na jednej ze ścian i sprawdził adresy z listy. Przez chwilę obserwował przez okno obu mężczyzn; młodego sierżanta, cieszącego się z wiosny jak nastolatek, oraz pilota, który z ponurą miną patrzył prosto przed siebie, kiedy wypływali z kanału na Bacino San Marco. Vianello położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny i wskazał na żaglówkę z wysokim masztem, która mknęła chyżo, z żaglami wyдутymi niczym policzki samego boga wiatrów. Skinąwszy brodą, Montisi ponownie wbił

wzrok w przestrzeń przed sobą. Vianello zaś odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się tak głośno, że słycać go było w kajucie.

Radość rozpierająca Vianello działała jak magnes; Brunetti poczuł, że nie ma siły dłużej się opierać, i wyszedł z kajuty. W tym momencie motorówką zakolebała fala, którą zostawił za sobą prom płynący na Lido. Komisarz stracił równowagę i poleciał w stronę niskiej burty. Vianello — błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał go za rękaw, ratując przed wpadnięciem do wody.

— Odradzałbym kąpiel — rzekł, puszczając Brunetti — tego dopiero wtedy, gdy motorówka przestała się kołysać.

— Boisz się, że utonę? — spytał komisarz.

— Mógłby pan złapać cholere — wtrącił Montisi.

— Cholere? — Brunetti parsknął śmiechem, pewny, że po raz pierwszy w jego obecności pilot zdobył się na żart; woda nie była zbyt czysta, ale bez przesady.

Montisi popatrzył na niego ze śmiertelną powagą.

— Tak, cholere — potwierdził.

Kiedy skupił uwagę na sterze, Vianello z Brunettim, niczym para psotnych uczniaków, wymienili spojrzenia; komisarz miał wrażenie, że sierżant z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

— Kiedy byłem chłopcem, kąpałem się przed domem — kontynuował Montisi. — Po prostu wskakiwałem do Canale di Cannaregio. Widać było dno, ryby, kraby. A teraz woda jest zamulona i pływają w niej gówna.

Vianello z Brunettim znów wymienili spojrzenia.

— Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby jeść złowione tu ryby — dodał pilot.

Ubiegłego roku we Włoszech rzeczywiście zanotowano przypadki cholery, ale nie w Wenecji, tylko na południu, gdzie sporadyczne zachorowania zawsze się zdarzały. Brunetti pamiętał, że władze sanitarne zamknęły targ rybny w Bari i ostrzegały tamtejszą ludność przed spożywaniem ryb, choć z równym skutkiem mogłyby mówić krowom, żeby nie skubały trawy. Jesienne deszcze i wywołane przez nie powodzie zepchnęły informacje o cholere ze szpał gazet ogólnokrajowych, Brunetti jednak całkiem serio się zastanawiał, czy coś takiego jest możliwe na północy i czy rzeczywiście nie powinno się unikać wszelkich ryb i owoców morza pochodzących z coraz bardziej zanieczyszczonych wód Adriatyku.

Kiedy łódź zatrzymała się w przystani gondoli na lewo od Palazzo Dario, Vianello złapał koniec zwiniętej cumy i wyskoczył na pomost. Odchylając się mocno do tyłu, przyciągnął do niego motorówkę, żeby Brunetti mógł bez trudu wysiąść.

— Mam czekać, commissario? — spytał Montisi.

— Nie, nie warto. Nie wiem, ile czasu nam to zajmie. Możesz wracać.

Montisi przyłożył leniwie palce do daszka czapki; było to coś pośredniego między salutowaniem a gestem pożegnalnym. Następnie wrzucił wsteczny bieg, wycofał łódź na środek kanału i odpłynął, nie oglądając się więcej na swoich pasażerów.

— Dokąd najpierw idziemy? — spytał sierżant.

— Dorsoduro siedemset dwadzieścia trzy. To blisko Kolekcji Guggenheima, po lewej.

Ruszyli przed siebie wąską calle i na najbliższym rogu skręcili w prawo. Brunetti wciąż marzył o kawie, ale ku jego zdziwieniu nigdzie w pobliżu nie było baru.

Z naprzeciwka szedł starszy mężczyzna z psem na smyczy; żeby mogli się minąć w ciasnej uliczce, Vianello cofnął się za Brunettiego.

— Myśli pan, że woda faktycznie jest aż tak zanieczyszczona? — zapytał sierżant, któremu słowa Montisiego nie dawały spokoju.

— Tak myślę.

— A przecież niektórzy wciąż pływają w Canale della Giudecca.

— Kiedy?

— W święto Redentore.
— Wtedy są pijani — uciał dyskusję Brunetti.
Sierżant wzruszył ramionami. Po chwili obaj przystanęli.
— To chyba tu — oznajmił komisarz, wyjmując z kieszeni listę. — Da Pre — powiedział i przebiegł wzrokiem nazwiska wygrawerowane na mosiężnych tabliczkach, które były umieszczone w dwóch równych rzędach na lewo od drzwi.
— Co to za jeden?
— Na imię ma Ludovico. Signorina da Pre uczyniła go swoim spadkobiercą. To wszystko, co wiem. Może być jej kuzynem, bratem, bratankiem.
— Ile miała lat?
— Siedemdziesiąt dwa — odparł Brunetti, przypominając sobie informacje zapisane na kartce przez Marię Testę.
— Na co zmarła?
— Na zawał.
— Czy są podstawy, aby podejrzewać, że ten człowiek... — Vianello wskazał głową na właściwą tabliczkę — ...miał coś wspólnego z jej śmiercią?
— Pozostawiła mu mieszkanie i ponad pół miliarda lirów.
— Uważa pan, że to dostateczny powód?
— Jeśli mieszkanie jest ładne, czemu nie? Sam byłbym gotów kogoś zabić, żeby zdobyć odpowiednie — rzekł Brunetti, który niedawno się dowiedział, że w jego budynku konieczna jest wymiana dachu, a udział w kosztach przypadający na jeden lokal wyniesie dziewięć milionów lirów.
Vianello, który nic nie wiedział o dachu, popatrzył na zwierzchnika jakoś dziwnie.
Brunetti zadzwonił do drzwi. Ponieważ nie było żadnej reakcji, po chwili znów nacisnął przycisk i tym razem dłużej nie odrywał palca. Zerknąwszy na Vianella, wzruszył ramionami i wydobył z kieszeni listę, żeby sprawdzić następny adres. Zamierzali odejść w stronę Akademii, kiedy głośnik nad mosiężnymi tabliczkami nagle ożył.
— Kto tam?
Głos był cienki, gderliwy i bezpłciowy, jak zwykle u starszych osób, więc Brunetti nie wiedział, czy ma do czynienia z kobietą, czy z mężczyzną i jak wobec tego powinien się zwracać.
— Czy pod tym adresem mieszka ktoś z rodziny da Pre? — spytał w końcu.
— Tak. O co chodzi?
Komisarz przedstawił się.
— Jest ze mną również sierżant Vianello. Chcielibyśmy wyjaśnić parę spraw związanych z postępowaniem spadkowym po śmierci panny da Pre — oznajmił.
Osoba na górze o nic więcej nie pytała. Rozległ się trzask zwalniający blokadę i komisarz z sierżantem wkroczyli na obszerny dziedziniec z porośniętą winoroślą studnią na środku. Jedyne schody znajdowały się w korytarzu po lewej. Gdy weszli na drugie piętro, w otwartych drzwiach czekał na nich chyba najmniejszy mężczyzna, jakiego Brunetti kiedykolwiek widział.
Chociaż ani komisarz, ani sierżant nie byli specjalnie wysocy, czuli się jak wielkoludy w porównaniu z człowieczkiem, który niemal nikł w oczach, w miarę jak się do niego zbliżali.
— Signor da Pre? — upewnił się Brunetti.
— Tak — potwierdził mężczyzna, wychodząc za próg i wyciągając na powitanie dłoń nie większą od dłoni dziecka.
Brunetti nie musiał się schylać, aby ją ująć, tylko dlatego, że da Pre podniósł rękę prawie na wysokość swojego ramienia. Uścisk mężczyzny był mocny, a jego spojrzenie, kiedy skierował oczy w górę, wyraziste i wnikliwe. Twarz miał przeraźliwie wąską, tak wąską, że przywodziła na myśl ostrze noża. Wiek lub długotrwały ból wyrzeźbiły głębokie bruzdy po

obu stronach ust oraz zawiesiły ciemne wory pod oczami. Brunetti nie potrafił określić wieku gospodarza: człowieczek mógł liczyć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat.

Widok munduru sprawił, że da Pre nie podał ręki Vianellowi, lecz jedynie skinął głową w jego kierunku. Następnie cofnął się w głąb mieszkania i otworzył szerzej drzwi, żeby wpuścić gości.

— Permesso — mruknęli kolejno, wchodząc za nim do holu.

Da Pre zamknął drzwi.

— Tędy, proszę — rzekł, ruszając przodem.

Dopiero teraz Brunetti spostrzegł, że mężczyzna jest garbaty: po lewej stronie pleców, na wysokości łopatki, marynarka mocno się wybrzuszała. Chociaż da Pre nie kulał, przy każdym kroku jego ciało przechylało się w bok, jakby ściana po lewej była magnezem, a on sam workiem metalowych wiórów.

Wprowadził ich do salonu, którego okna wychodziły na dwie strony. Po lewej widać było dachy, po prawej zasłonięte żaluzjami okna budynku stojącego naprzeciwko przy tej samej wąskiej calle. Kolejną ścianę niemal w całości zajmowały dwie ogromne szafy. Nie mniej monumentalne były pozostałe meble: sześćosobowa kanapa z wysokim oparciem, cztery rzeźbione fotele — hiszpańskiej roboty, sądząc po ornamentach na podłokietnikach — oraz olbrzymi kredens florencki, na którego blacie leżało mnóstwo jakichś Białych przedmiotów. Brunetti ledwo rzucił na nie okiem.

Da Pre wspiął się na jeden z wielkich foteli i ruchem głowy wskazał gościom, żeby również zajęli miejsca.

Usiadłszy, Brunetti przekonał się, że jego nogi ledwo sięgają drewnianych klepek; przenosząc zaś wzrok w prawo, ujrzał, że stopy gospodarza wiszą mniej więcej w połowie między siedzeniem a podłogą. Jednakże surowość malująca się na obliczu mężczyzny sprawiała, że ta niezgodność proporcji bynajmniej nie wydawała się śmieszna.

— A więc twierdzi pan, że coś jest nie w porządku z testamentem mojej siostry? — zapytał oziębło gospodarz.

— Nie, signor da Pre — odparł Brunetti. — Źle mnie pan zrozumiał. Nasza wizyta nie jest związana bezpośrednio z testamentem pańskiej siostry ani z tym, jak rozporządziła swoim majątkiem. Interesuje nas jej śmierć, a dokładniej: przyczyna jej śmierci.

— Trzeba było od razu tak mówić! — zawołał da Pre tonem znacznie serdeczniejszym, lecz wciąż niebudzącym sympatii komisarza.

— Czy to tabakierki? — wtrącił Vianello, wstając z fotela i podchodząc do kredensu.

— Słucham? — spytał ostro gospodarz.

— To tabakierki, prawda? — Vianello pochylił się nad blatem, by lepiej widzieć leżące na nim niewielkie przedmioty.

— Dlaczego pan pyta? — W głosie gospodarza pojawiła się ciekawość.

— Zbierał je mój stryj Luigi, który mieszkał w Trieście. Gdy byłem małym chłopcem, uwielbiałem go odwiedzać. Pokazywał mi je, pozwalał brać do ręki... — Aby rozwiać podejrzenia, że zamierza uczynić coś tak nieodpowiedzialnego, sierżant splótł ręce na plecach. Chwilę później wskazał jedną z tabakierek, pilnując się, żeby jego palec dzieliła od niej odległość co najmniej dziesięciu centymetrów. — Ta jest holenderska?

— Która? — Da Pre zsunął się z fotela i podszedł do sierżanta. Ponieważ czubkiem głowy ledwo wystawał nad blat, musiał wspiąć się na palce, żeby dojrzeć leżący w tylnym rzędzie przedmiot, którym zainteresował się Vianello. — Tak, pochodzi z Delft. Osiemnasty wiek.

— A ta? — Sierżant wskazał inną tabakierkę, nadal niczego nie dotykając. — Bawarska?

— Znakomicie — pochwalił da Pre.

Podniósł pudełeczko i wręczył je sierżantowi, który ostrożnie nadstawił obie dłonie.

Vianello obrócił tabakierkę i popatrzył na jej spód.

— Tak, tu jest znak wytwórcy — powiedział, zwracając tabakierkę gospodarzowi. — Istne cacko, prawda? — dodał ze szczerym podziwem w głosie. — Stryj byłby nią zachwycony, a szczególnie podobałoby mu się to, że ma dwie przegródki.

Podczas gdy sierżant i gospodarz, z pochylonymi głowami, studiowali tabakierki, Brunetti rozglądał się po salonie. Trzy obrazy pochodziły z siedemnastego wieku; były to jednak niedobre obrazy, w dodatku z najgorszego okresu w malarstwie: dwa z nich przedstawiały rzeź jeleni, jeden rzeź dzików. Zbyt wiele było na nich krwi, martwe zwierzęta zaś utrwalono w przesadnie wyszukanych, nienaturalnych pozach. Pozostałe obrazy na ścianach przedstawiały sceny biblijne, ale też nadmiernie spływały krwią, dla odmiany ludzką. Brunetti podniósł wzrok na sufit ozdobiony bogatą stiukową rozetą; z jej środka zwisał żyrandol z Murano, na który składało się kilkaset szklanych kwiatków o pastelowych płatkach.

Sierżant i gospodarz kucali teraz przy otwartych drzwiach po prawej stronie kredensu. Półki w jego środkowej części najwyraźniej również wypełnione były setkami tabakierek. Brunetti miał wrażenie, że się dusi w tym dziwnym, odpowiednim dla olbrzymów salonie, w którym — wraz ze swoimi emaliowanymi pamiątkami po minionej epoce — zamknął się jeden malutki człowieczek. Tylko one, te drobne cudeńka, były wielkości, jaką powinno mieć wszystko, czym się otaczał.

Mężczyźni podnieśli się z kucek. Da Pre zamknął kredens i z wprawą wskoczył z powrotem na fotel. Vianello jeszcze chwilę patrzył z podziwem na tabakierki ułożone na blacie, po czym i on zajął swoje poprzednie miejsce.

Brunetti wbił wzrok w gospodarza, po raz pierwszy pozwalając sobie na uśmiech. Da Pre odwzajemnił go i spoglądając na Vianella, rzekł:

— Nie wiedziałem, że tacy ludzie pracują w policji.

Brunetti też nie miał o tym pojęcia, ale nie przeszkodziło mu to oświadczyć:

— Owszem, nasz sierżant znany jest w komendzie z zamiłowania do tabakierek.

— Tabakierki stanowią istotną część kultury europejskiej — oświadczył da Pre, wychwyciwszy w głosie komisarza nutę ironii, z jaką profani traktują prawdziwych zapaleńców. — Najlepsi rzemieślnicy Europy poświęcali ich produkcji lata, a nawet całe dziesięciolecia. Żaden inny podarunek tak dobrze nie wyrażał uznania. Mozart, Haydn...

Wzruszenie sprawiło, że małemu człowieczkowi zabrakło słów; umilkł, dramatycznym gestem wyrzucając rękę w kierunku zastawionego kredensu.

— Niestety, nie potrafi pan tego zrozumieć, commissario — rzekł Vianello, który słuchając w milczeniu da Pre, kiwał z aprobatą głową.

Brunetti przyznał mu w myślach rację; nie wiedział, czym sobie zasłużył na to, żeby mieć za pomocnika tak inteligentnego policjanta, umiającego bez trudu rozbroić najbardziej wrogo nastawionych świadków.

— Signore, czy pańska siostra podzielała pańską pasję? — spytał Vianello.

Trafił w dziesiątkę. Mały człowieczek kopnął gniewnie podpórkę fotela.

— Nie, w ogóle nie interesowały jej tabakierki.

Sierżant pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Ani nic innego — dodał po chwili da Pre, zachęcony jego reakcją.

— Nic jej nie interesowało? — spytał z troską Vianello.

— Nic. Jeśli nie liczyć jej entuzjazmu dla księży... — Z tonu da Pre jasno wynikało, że dla odmiany jego entuzjazm mogłoby wywołać jedynie złożenie podpisu na dekreście skazującym wszystkich księży na ścięcie.

Vianello potrząsnął głową, jakby nie znał większego niebezpieczeństwa, zwłaszcza dla kobiety, niż dostać się w ręce kleru.

— Chyba nic im nie zapisała, co? — spytał pełnym oburzenia głosem, po czym zaraz dodał: — Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

— Niech pan nie przeprasza, sierzancie. Zdradzę panu, że robili, co mogli, ale nie dostali ani lira. — Na twarzy da Pre pojawił się chytry uśmieszek. — Nie zdołali nic uszczknąć ze spadku.

Vianello z wyraźnym zadowoleniem przyjął wiadomość, że rozmówcy udało się zapobiec tragedii. Gotów poznać całą historię jego triumfu, położył łokieć na poręczy i podparł brodę dłonią.

Mały człowieczek usadowił się głębiej w fotelu. Teraz nogi już nawet nie dyndały mu w powietrzu, po prostu leżały na siedzeniu.

— Siostra zawsze miała słabość do religii — rzekł. — Wzięło się to stąd, że rodzice posłali ją do szkoły klasztornej. Pewnie dlatego nigdy nie wyszła za mąż.

Brunetti zerknął na ręce da Pre, zaciśnięte na poręczach fotela; nie zauważył obrączki.

— Nie układało się między nami — oświadczył szczerze gospodarz. — Ją interesowała religia. A mnie sztuka.

Czyli emaliowane tabakierki — pomyślał Brunetti.

— Kiedy rodzice umarli, pozostawili nam to mieszkanie. Ale nie mogliśmy przecież mieszkać razem.

Vianello skinął głową na znak, że świetnie rozumie, jak ciężko jest żyć pod jednym dachem z kobietą.

— Więc odsprzedałem jej swoją połowę... było to dwadzieścia trzy lata temu... i kupiłem mniejsze mieszkanie. Potrzebowałem pieniędzy, żeby powiększać swoją kolekcję.

Vianello znów skinął ze zrozumieniem głową: sztuka wymaga wyrzeczeń.

— Ale trzy lata temu Augusta upadła i złamała biodro. Ponieważ kość nie chciała się zrosnąć, siostrze nie pozostało nic innego, jak tylko zamieszkać w casa di cura. — Na moment urwał, dumając nad nieuchronnością losu, który sprawia, że prędzej czy później każdy wymaga opieki. — Zaproponowała, żebym się tu wprowadził i pilnował jej mieszkania, jednakże odmówiłem. Sądziłem, że za jakiś czas wydobrzeje, a wtedy musiałbym się wyprowadzić. Nie potrafiłbym żyć z dala od swoich zbiorów, a nie chciałem ich przenosić z miejsca na miejsce. To zbyt ryzykowne, coś mogłoby się stłuc. — Na samą myśl o katastrofie zacisnął mocniej palce na poręczy fotela.

Brunetti przyłapał się na tym, że też zaczyna kiwać ze zrozumieniem głową, jakby w miarę słuchania opowieści gospodarza dał się wciągnąć w jego obłąkany świat, w którym pęknięte wieczko było większym nieszczęściem od złamanego biodra.

— Potem, kiedy umarła, uczyniła mnie swoim głównym spadkobiercą, ale im, księżom, chciała zostawić sto milionów. Dopisała ten punkt do testamentu, kiedy już była w casa di cura,

— Co pan zrobił? — spytał Vianello.

— Poszedłem do adwokata — odparł da Pre. — A on polecił mi złożyć oświadczenie, że w ostatnich miesiącach życia, bo właśnie wtedy sporządziła ten zapis, Augusta nie była w pełni władz umysłowych.

— I?

— Wszystko zakończyło się pomyślnie — oznajmił z wyraźną dumą gospodarz. — Moje wyjaśnienia przekonały sędziów, bo przecież Augusta rzeczywiście zachowała się jak idiotka.

— Więc pan wszystko odziedziczył? — zapytał Brunetti.

— Oczywiście. Poza mną siostra nie miała żadnej bliskiej rodziny.

— Naprawdę była nie w pełni władz umysłowych? — zainteresował się Vianello.

Da Pre spojrział na sierżanta.

— Ależ oczywiście, że nie! Miała jasny umysł do samego końca. Ale ten zapis uczyniła w przypływie szaleństwa.

Brunettiemu niespecjalnie trafiła do przekonania argumentacja brata zmarłej, ale zamiast się spierać, zapytał tylko:

— Czy w casa di cura wiedziano o zapisie pańskiej siostry?

— Co pan ma na myśli?

W oczach da Pre błysnęła podejrzliwość.

— Czy ktokolwiek stamtąd pytał pana o testament albo protestował, kiedy zakwestionował pan zapis?

— Jakiś ksiądz zadzwonił do mnie przed pogrzebem i powiedział, że chciałby wygłosić kazanie podczas nabożeństwa żałobnego. Poinformowałem go, że nie będzie żadnych kazań. Augusta zostawiła w testamencie rozporządzenie co do swojego pochówku; zażyczyła sobie nabożeństwa, więc na to nie mogłem nic poradzić. Ale ponieważ nie wspomniała słowem o kazaniu, postanowiłem powstrzymać klechę przed gładzeniem o innym świecie, w którym wszystkie szczęśliwe duszyczki znów się spotykają — Da Pre uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. — Jeden z nich przyszedł na pogrzeb. Duży, gruby jegomość. Podszedł do mnie i powiedział, że śmierć Augusty to wielka strata dla jej braci i siostr w Chrystusie. — Ton, którym wypowiadał te słowa, wręcz ociekał sarkazmem. — A potem zaczął tokować o tym, jaką mieli w Auguście szczodłą przyjaciółkę, jaką była hojna dla zakonu, i tak dalej.

Da Pre umilkł; wzrok miał rozmarzony, jakby z największą przyjemnością wspominał to wydarzenie.

— I co mu pan odpowiedział? — spytał wreszcie Via- nello.

— Oświadczyłem, że jej hojność poszła do ziemi razem z nią.

Vianello i Brunetti nie skomentowali jego wypowiedzi. Dopiero po chwili komisarz zapytał:

— Nie próbowali się odwoływać?

— Od decyzji sądu? — spytał gospodarz.

Brunetti skinął głową.

— Nie. — Da Pre zamyślił się na moment, po czym rzekł: — Pomylili się, sądząc, że skoro ona wpadła w ich macki, to jej forsa również im się dostanie.

— Powiada pan: „wpadła w ich macki”. Czy to znaczy, że ona sama kiedykolwiek o tym wspomniała?

— Słucham?

— Czy mówiła panu, że chcą, aby im coś zapisała?

— Czy mówiła mi...?

— Tak. Czy mówiła panu, że podczas jej pobytu w casa di cura naciskano na nią, aby uzupełniła testament o zapis dla księży?

— Nie rozmawialiśmy — odparł gospodarz.

Brunetti nie bardzo wiedział, jak to zinterpretować, ale po chwili da Pre sam wyjaśnił:

— Z poczucia obowiązku odwiedzałem siostrę raz w miesiącu, więcej czasu nie mogłem jej poświęcić, ale właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. Przynosiłem jej pocztę; same pisma religijne i prośby o wsparcie. Pytałem, jak się czuje. Ale nie mieliśmy żadnych wspólnych tematów, więc szybko wychodziłem.

— Rozumiem — rzekł Brunetti, podnosząc się z miejsca.

Signorina da Pre spędziła trzy lata w casa di cura, a jej bratu, któremu zapisała cały swój majątek, nie chciało się pofatygować do niej z wizytą częściej niż raz w miesiącu, bo taki był zajęty swoimi tabakierkami!

— O co właściwie chodzi? Czyżby jednak chcieli się odwołać?

Da Pre zamierzał coś jeszcze powiedzieć, powstrzymał się jednak, a uśmiech, który nagle zagościł na jego twarzy, przysłonił dłonią.

— Nie, signore, w każdym razie nic nam nie wiadomo na ten temat — odparł komisarz. — Prawdę mówiąc, interesuje nas ktoś, kto pracował w casa di cura.

— Wobec tego nie mogę panom pomóc. Nie znam nikogo z personelu.

Sierżant wstał i podszedł do Brunettiego. W przeciwieństwie do Vianella, który zainteresowaniem tabakierkami potrafił zaskarbić sobie sympatię małego człowieczka, komisarz nawet nie starał się ukryć niechęci do gospodarza.

Da Pre bez słowa zsunął się z fotela, wyprowadził obu mężczyzn z salonu i powiódł długim korytarzem do drzwi. Tam Vianello uściśnął wyciągniętą ku górze rękę i podziękował serdecznie za możliwość obejrzenia przepięknej kolekcji. Brunetti też uściśnął dłoń małego człowieczka, ale za nic mu nie dziękował i pierwszy wyszedł na klatkę schodową.

Rozdział 4

— Wredna mała kreatura, wredna mała kreatura — mamrotał Vianello, kiedy schodzili na dziedziniec.

Na dworze było teraz chłodniej, zupełnie jakby da Pre ukradł ciepło dnia.

— Co za obrzydliwy typ! — Sierżant nie przestawał się gorączkować. — Wydaje mu się, że te pudełka do niego należą. Idiota!

— Co takiego, sierzancie? — spytał Brunetti, nie bardzo śledząc tok myśli podwładnego.

— Kretyn uważa, że jest właścicielem tych głupich tabakierek.

— Sądziłem, że ci się podobają.

— A skądże! Na sam widok tabakierek robi mi się niedobrze. Mój stryj też miał ich pełno; kiedyśmy go odwiedzali, musiałem je w kółko oglądać. Był taki sam jak da Pre; wciąż je tylko kupował i uważał, że do niego należą.

— A nie należały? — Brunetti przystanął, żeby lepiej słyszeć sierżanta.

— Należały. — Vianello też się zatrzymał. — To znaczy: zapłacił za nie, miał wszystkie kwity, mógł zrobić z tabakierkami, co tylko chciał. Ale czy cokolwiek tak napraw - dę i do końca jest nasze? — zapytał, patrząc komisarzowi w oczy.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Proszę się tylko zastanowić, commissario. Kupujemy różne rzeczy. Nosimy je, wieszamy na ścianie albo siadamy na nich, ale przecież ktoś może je nam ukraść. Albo zniszczyć. — Vianello potrząsnął głową, zły na samego siebie, że nie potrafi jasno wytłumaczyć czegoś, co wydawało mu się oczywiste. — Weźmy na przykład da Pre. Po jego śmierci ktoś inny stanie się właścicielem tych idiotycznych pudełek, a potem ktoś następny i następny. Przedmioty są trwalsze niż my, dlatego głupotą jest wierzyć, że do nas należą. A przypisywanie im tak wielkiej wagi to po prostu grzech.

Brunetti wiedział, że Vianello jest nie mniejszym bezbożnikiem od niego i ma równie negatywny stosunek do religii, za jedyną świętość uznając rodzinę i więzy krwi, toteż zdziwił się, że sierżant ocenia coś w kategoriach grzechu.

— Poza tym jak mógł odwiedzać siostrę tylko raz w miesiącu, kiedy przez trzy lata przebywała w takim miejscu? — Z tonu pytania niemal wynikało, że Vianello rzeczywiście spodziewa się sensownej odpowiedzi.

— Warunki w prywatnych domach opieki raczej nie są złe — oświadczył Brunetti, siląc się na obojętność.

Chłód w jego głosie sprawił, że Vianello natychmiast sobie przypomniał, że matka komisarza też przebywa w casa di cura.

— Nie chodziło mi o warunki, tylko o to, że w żadnym szpitalu ani lecznicy człowiek nie czuje się jak w domu — rzekł pośpiesznie, po czym umilkł, świadom, że to wyjaśnienie niczego nie zmienia. — Powinien był częściej odwiedzać siostrę. Na pewno doskwierała jej samotność.

— Zwykle personel jest dość liczny.

Brunetti ruszył z miejsca; przy Campo San Vio skręcili w lewo.

— Personel to nie to samo co rodzina — powiedział sierżant, głęboko przekonany, że obecność bliskich ma znacznie większe walory terapeutyczne niż najbardziej fachowa opieka płatnych specjalistów.

Może Vianello miał rację, ale nie było to zagadnienie, które komisarz chciał roztrząsać w tym momencie lub w ogóle w najbliższej przyszłości.

— Dokąd teraz? — spytał sierżant, wreszcie ucinając bolesny dla komisarza wątek.

— Chyba tutaj. — Brunetti skreślił w wąską calle odchodzącą od nabrzeża.

Gdyby uprzedzili o swojej wizycie i ktoś ich niecierpliwie oczekiwał, stojąc przy domofonie, reakcja na dzwonek nie mogłaby być szybsza. Blokada masywnych drzwi zwolniła się natychmiast, jak tylko Brunetti oznajmił, że przyszli wyjaśnić pewne kwestie związane z postępowaniem spadkowym po hrabim Egidiu Crivonim. Pokonali dwie kondygnacje schodów, potem jeszcze dwie; Brunetti zwrócił uwagę, że na każdym piętrze znajduje się tylko jedna para drzwi, co oznaczało, że wszystkie mieszkania w budynku są ogromne, a lokatorzy niezmiernie bogaci.

Kiedy dotarli na ostatnie piętro, drzwi otworzył mężczyzna w czarnym garniturze. Brunetti zorientował się, że to ktoś ze służby, po sposobie, w jaki tamten skłonił głowę, żeby ich przywitać, oraz po jego wstrzemięźliwym zachowaniu; nie pomylił się, albowiem nieznanemu zaraz poprosił go o płaszcz, a następnie oznajmił, że la contessa przyjmie ich w gabinecie. Na moment znikł za najbliższymi drzwiami. Chwilę później pojawił się ponownie, już bez płaszcza. Miał piwne oczy i złoty krzyżyk w lewej klapie marynarki — to wszystko, co Brunetti zdążył spostrzec, zanim kamerdyner obrócił się plecami, żeby zaprowadzić gości do hrabiny.

Po obu stronach długiego holu wisiały portrety, malowane w różnych stylach i w różnych stuleciach. Chociaż komisarz wiedział, że w minionych wiekach zawsze przyjmowano do portretu sztywne, poważne pozy, przodkowie hrabiego wydali mu się wyjątkowo posepni — posepni i niezadowoleni, jakby uważali, że zamiast tracić czas na tak próżne i doczesne zajęcia jak pozowanie, powinni walczyć z dzikusami i nawracać pogan. Kobiety miały takie miny, jakby uważały, że ich wkładem w walkę jest znaczne życie; mężczyźni zdawali się bardziej wierzyć w siłę oręża.

Kamerdyner przystanął przed drzwiami na końcu holu, zastukał raz, po czym je otworzył, nie czekając na reakcję z wnętrza gabinetu. Przytrzymał drzwi, kiedy Brunetti z Vianellem przekraczali próg, po czym zamknął je cicho za nimi.

Brunettiemu od razu przypomniały się słowa Dantego:

Loch był bezdenny, mgławcy, czarnosiny; Żrenice moje, wysłane na zwiady, Niczego dobyć nie mogły z głębiny!

Pomieszczenie, do którego weszli, było tak mroczne, że czuli się niemal jak Dante zstępujący do piekła — jakby pożegnali się z blaskiem dnia, słońcem i radością. Wysokie okna na jednej ze ścian skrywały ciemnobrunatne aksamitne zasłony o odcieniu kojarzącym się nie tyle z sepją, ile z barwą zakrzepłej krwi. Sączące się przez nie nikłe światło padało na grzbiety oprawnych w skórę tomów, które wypełniały szczelnie półki zajmujące całą powierzchnię pozostałych ścian, od podłogi po sufit. Parkiet był drewniany, ułożony nie ze zwyczajnych klepek, lecz z kwadratowych kostek.

W rogu gabinetu, za masywnym biurkiem zavalonym książkami i stosami papierów, siedziała czarno odziana tęga niewiasta. Surowość jej stroju i twarzy sprawiła, że siłą kontrastu wystrój pomieszczenia wydał się niemal wesoły i przytulny.

— O co chodzi?

Nawet nie spytała, kim są. Przypuszczalnie uznała mundur Vianella za dostateczne wyjaśnienie.

Z dała Brunetti nie umiał ocenić wieku hrabiny, ale sądząc po jej głosie, głębokim i władcym, musiała być osobą nie pierwszej młodości, może nawet dość posuniętą w latach. Ruszył przez parkiet i zatrzymał się dopiero kilka metrów przed biurkiem.

— Contessa... — zaczął.

— Pytałam, o co chodzi — przerwała mu.

Brunetti uśmiechnął się.

— Contessa, nie zamierzam zabierać pani cennego czasu. Wiem, że jest pani szalenie zajęta osobą. Moja teściowa często wspomina pani działalność i nie może się nadziwić, skąd czerpie pani energię, aby tak aktywnie wspierać dzieło naszej Świętej Matki Kościoła — oznajmił, specjalnie zmieniając tembr głosu, aby ostatnie słowa zabrzmiały z należytą czcią.

— A kimże jest pańska teściowa, co? — burknęła hrabina takim tonem, jakby spodziewała się usłyszeć, że jej szwaczką.

Brunetti postarał się, by jego odpowiedź, niczym pocisk rewolwerowy, trafiła ją idealnie między blisko osadzone oczy.

— To contessa Falier.

— Donatella Falier? — zapytała, nieudolnie próbując ukryć zdumienie.

Brunetti udał, że niczego nie dostrzega.

— Tak — potwierdził. — Chyba nie dalej jak tydzień temu wychwalała prowadzoną przez panią akcję.

— Kampanię na rzecz zakazu sprzedaży środków antykoncepcyjnych w aptekach? — spytała kobieta, sama dostarczając mu informacji.

— Otóż to! — rzekł z aprobującym skinieniem głowy i uśmiechnął się.

Hrabina Crivoni wstała i wyszła zza biurka, wyciągając do niego rękę. Teraz, gdy już wiedziała, że jest spowinowacony z jedną z najlepiej urodzonych kobiet w mieście, była gotowa normalnie się z nim przywitać. W pozycji stojącej prezentowała się jeszcze bardziej okazale, niż kiedy siedziała: była wyższa od komisarza i ważyła co najmniej dwadzieścia kilo więcej niż on. Jednakże masy przydawały jej nie mięśnie i jędrne, nabite ciało zdrowej tęgiej osoby, lecz tłuszcz o konsystencji drżącej galarety, świadczący o tym, iż niewiasta prowadzi wyjątkowo mało ruchliwy tryb życia. Liczne podbródki zwisały jej na gors czarnej sukni, sięgając niemal ogromnych piersi, ciasno opiętych wełnianą materią. Brunetti miał wrażenie, że hrabina rozděła swoje ciało do tak potężnych rozmiarów, nie zaznawszy nawet odrobiny tej przyjemności, jaką zwykle daje ludziom obżarstwo.

— Więc jest pan mężem Paoli, tak? — W miarę jak się do niego zbliżała, cierpka woń niemytego ciała stawała się coraz intensywniejsza.

— Tak, contessa. Guido Brunetti. — Z nabożną czcią ujął wyciągniętą dłoń, jakby to był relikwiarz z drzazgą Krzyża Świętego, i pochylił się nad nią nisko, niemal muskając ją wargami. — To dla mnie wielki zaszczyt — oświadczył, prostując się. Miał nadzieję, że jego słowa brzmiały przekonująco. — Pani pozwoli... sierżant Vianello, mój asystent.

Vianello skłonił się uniżenie, z miną równie poważną co komisarz; zachowywał się, jakby on, prosty policjant, był tak przytłoczony świetnością gospodyni, że z wrażenia zabrakło mu słów.

Contessa ledwo na niego spojrzała.

— Proszę, niech pan siada, dottor Brunetti — powiedziała, wskazując tłustą dłonią krzesło z twardym oparciem stojące przed biurkiem.

Brunetti zastosował się do jej polecenia, lecz zanim spoczął, odwrócił się i wskazał Vianellowi inne krzesło, bliżej drzwi, jakby uważał, że tam, z dala od blasku bijącego od dostojnej hrabiny, jest dla niego właściwsze miejsce.

Hrabina wróciła za biurko i powoli opadła na fotel. Przesunęła w prawo jakieś papiery i podniosła oczy na Brunettiego.

— Stefano powtórzył mi, że ma pan zastrzeżenia do postępowania spadkowego po moim mężu, tak?

— Nie, contessa, nie mam żadnych zastrzeżeń — odparł Brunetti, uśmiechając się uspokajająco.

Czekała bez słowa na wyjaśnienie, więc ponownie się uśmiechnęła i improwizując, zaczął wyłuszczać cel swojej wizyty.

— Jak pani wie, przestępczość w naszym kraju ciągle wzrasta.
Skinęła głową.

— Odnoszę wrażenie, że nic nie jest już święte i nikt nie może czuć się bezpieczny, bo przestępcy nie zawahają się przed niczym, aby oszustwem lub podstępem wyłudzić pieniądze od ludzi, którym dobry Bóg nie poskąpił majątku.

Hrabina ze smutkiem znów pokiwała głową.

— W ostatnim okresie coraz więcej łajdaków żeruje na zaufaniu ludzi starszych; próbuje ich omotać i wykorzystać.

Hrabina uniosła dłoń o grubych palcach.

— Przyszedł mnie pan ostrzec? Czy coś mi grozi?

— Nie, contessa. Pani może spać spokojnie. Chcemy się jedynie upewnić, czy pani świętej pamięci mąż... — Brunetti dwukrotnie potrząsnął smutno głową, jakby dla wyrażenia żalu, że ludzie tak cnotliwi odchodzą z tego świata — ...nie padł ofiarą haniebnego podstępu.

— To znaczy, że Egidio został okradziony? Oszukany? Nie bardzo rozumiem, do czego pan właściwie zmierza. — Pochyliła się, opierając piersi na blacie biurka.

— W takim razie, za pani przyzwoleniem, będę mówił wprost. Próbujemy ustalić, czy żadni oszuści nie wywarli wpływu na hrabiego, aby przed śmiercią sporządził na ich korzyść zapis w testamencie. Innymi słowy, czy nikt niepowołany nie uszczknął części majątku należnego prawowitym spadkobiercom.

Grubaska milczała.

— Czy coś takiego mogło mieć miejsce, contessa?

— Skąd się biorą pańskie podejrzenia?

— Nazwisko hrabiego wypłynęło przypadkowo w związku z pewnym śledztwem, które prowadzimy.

— Dotyczącym wyłudzenia pieniędzy?

— Nie, czegoś całkiem innego. Ale zamiast wszczynać urzędowe dochodzenie, chciałem — ze względu na szacunek, jakim nazwisko Crivoni powszechnie się cieszy — odwiedzić panią osobiście i zorientować się, czy są podstawy do jakichkolwiek podejrzeń.

— Czego pan oczekuje ode mnie?

— Zapewnienia, że żaden z punktów testamentu pani męża nie wzbudzał wątpliwości.

— Wątpliwości?

— Tak. Czy nie było zapisu na korzyść kogoś, kto nie należał do kręgu bliskich przyjaciół?

Pokręciła przecząco głową.

— Na korzyść kogoś spoza rodziny?

Znów pokręciła głową, w dodatku tak energicznie, że zakolebały się jej podbródki.

— A może pieniądze otrzymała jakaś organizacja?

Tym razem Brunetti dojrzał błysk w jej oczach.

— Co pan ma na myśli, mówiąc „organizacja”? — zapytała hrabina.

— Niektórzy naciągacze udają, że zbierają pieniądze na szlachetne cele. Znamy przypadki oszukanych, którzy byli pewni, że wspomagają szpitale dziecięce w Rumunii oraz hospicja kierowane przez Matkę Teresę — wyjaśnił Brunetti, po czym dodał tonem świętego oburzenia: — To skandal! Podłość!

Spojrzenie, jakie hrabina mu posłała, świadczyło o tym, że doskonale rozumie jego odczucia.

— Na szczęście nic takiego się nie zdarzyło — oznajmiła. — Mąż pozostawił cały swój majątek najbliższej rodzinie, tak jak powinien to uczynić człowiek prawy. Nie było żadnych dziwnych zapisów. Żadna niepowołana osoba nic nie otrzymała.

Ponieważ Vianello znajdował się na linii wzroku hrabiny, pozwolił sobie na energiczne skinienie, wyrażające uznanie dla rozsądku zmarłego.

— Bardzo mnie pani uspokoiła — rzekł Brunetti, wstając. — Bałem się, że człowiek tak znany ze swej hojności jak hrabia mógł paść ofiarą tych sprytnych naciągaczy. Teraz jednak jestem przekonany, że możemy pominąć jego nazwisko w naszym dochodzeniu. — Na moment umilkł, po czym kontynuował, niemal ze wzruszeniem w głosie: — Jako urzędnik państwowy cieszę się tak korzystnym obrotem rzeczy, ale pragnę panią zapewnić też jako osoba prywatna, że wynik naszej rozmowy sprawia mi nieklamana przyjemność.

Odwrócił się do Vianella i dał mu znak, aby również wstał. Kiedy ponownie spojrzął na hrabinę, ta zdążyła już opuścić miejsce za biurkiem i teraz góra mięsa sunęła w jego stronę.

— Czy może mi pan, dottore, zdradzić coś więcej na temat waszego dochodzenia?

— Niestety, contessa, ale skoro wiem, że pani mąż nie miał kontaktów z tymi ludźmi, poinformuję kolegę...

— Kolegę?

— Tak, dochodzenie w sprawie szajki naciągaczy prowadzi inny komisarz. Powiadomię go, że pani mąż, dzięki Bogu, nie miał z nimi żadnej styczności, i będę mógł wrócić do własnego śledztwa.

— Skoro nie pan się tym zajmuje, to dlaczego pan tu przyszedł? — spytała wprost.

Brunetti uśmiechnął się.

— Miałem nadzieję, że rozmowa okaże się dla pani mniej uciążliwa, jeśli pytania będzie zadawał ktoś, kto, że tak powiem, rozumie, jaką pozycję zajmuje pani w naszej społeczności. Nie chciałem narażać pani na zbędne wzburzenie.

Zamiast podziękować Brunettiemu za delikatność, hrabina skinęła głową, jakby uważała, że należy jej się specjalne traktowanie.

Komisarz wyciągnął rękę, a kiedy podała mu swoją, znów się nad nią pochylił, z trudem powstrzymując się od strzelenia obcasami.

Wycofał się tyłem do drzwi, przy których czekał Vianello. Ukłonili się obaj, po czym wyszli do holu. Stefano, jeśli właśnie tak nazywał się mężczyzna ze złotym krzyżykiem w klapie, już tam tkwił. Nie spacerował w tę i z powrotem, nie opierał się leniwie o ścianę, ale stał na środku korytarza, z płaszczem komisarza w ręku. Na widok gości rozchylił połę płaszcza i pomógł Brunettiemu go włożyć. Następnie bez słowa odprowadził ich do drzwi wejściowych i wypuścił z mieszkania.

Rozdział 5

Komisarz z sierżantem w milczeniu zeszli po schodach i znaleźli się na ulicy. Mimo że wcale nie było późno, to jednak podczas ich odwiedzin u hrabiny zdążył zapaść zmrok — jak to wczesną wiosną.

— No i co? — spytał Brunetti, ponownie wyjmując listę z kieszeni.

Sprawdził kolejny adres i ruszył żwawo przed siebie; Vianello szybko się z nim zrównał, ale zamiast odpowiedzieć na pytanie komisarza, zadał własne:

— Czy ta osoba uchodzi za, jak to się mówi, filar naszej społeczności?

— Jak najbardziej.

— W takim razie biedna Wenecja. — Najwyraźniej kontakt z rodową arystokracją nie powalił Vianella na kolana. — To ona zapłaciła okup za świętą Łucję?

Sierżant miał na myśli głośną aferę sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy to z kościoła Świętej Łucji skradziono szczątki patronki. Złodzieje dostali żądany okup, lecz jego wysokości nigdy nie ujawniono. Wkrótce potem policja otrzymała wiadomość, gdzie ma szukać kości świętej męczennicy, i faktycznie znalazła jakieś na polu pod Wenecją. Relikwie wróciły uroczyście na miejsce, a sprawę zamknięto.

Brunetti skinął głową.

— Tak słyszałem — rzekł. — Ale prawdy pewnie nie poznamy.

— Może funkcjonariusze wygrzebali świńskie kości? — W głosie Vianella pobrzmiwała nuta nadziei.

— Co sądzisz o hrabinie? — spytał Brunetti wprost; wydawało mu się, że sierżant ociąga się z wygłoszeniem opinii.

— Zastrzygła uszami dopiero, kiedy pan powiedział, że jej mąż mógł zapisać pieniądze jakiejś organizacji. Pytanie o zapisy na rzecz przyjaciół nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Tak, szpitale dziecięce w Rumunii istotnie wzbudziły jej ciekawość.

Vianello spojrzał na przełożonego.

— Skąd pan wytrzasnął tych oszustów zbierających pieniądze dla Matki Teresy?

Brunetti uśmiechnął się.

— Musiałem podać jakiś przykład — rzekł, wzruszając ramionami. — Ten był równie dobry jak każdy inny.

— W gruncie rzeczy nie robi różnicy, kto dostaje forszę, prawda?

— Słucham?

— Czy dostaje ją Matka Teresa, czy jacyś oszuści.

— Dlaczego tak uważasz? — zdziwił się Brunetti.

— A gdzie trafiają te wszystkie datki? Otrzymała mnóstwo nagród, wciąż zbiera się dla niej pieniądze, a skutków jakoś nie widać.

Głębia cynizmu sierżanta zaskoczyła komisarza; sam w swoich ocenach nigdy nie posunął się tak daleko.

— Przynajmniej ludzie, których do siebie przyjmuje, mają godziwą śmierć — oznajmił.

Riposta Vianella była natychmiastowa.

— Myślę, że woleliby godziwy posiłek. — Spojrzał znacząco na zegarek i nie kryjąc sceptycyzmu co do sposobu, w jaki Brunetti postanowił zużytkować tego wieczoru ich czas, dodał: — Albo się napić.

Komisarz pojął aluzję. Dwie osoby, z którymi dotąd rozmawiali, choć zdecydowanie antypatyczne, nie były groźnymi przestępcami, których należy ścigać bez względu na porę dnia.

— jeszcze tylko jeden adres — rzekł: była to bardziej prośba niż komenda.

Vianello skinął ze znużeniem głową; praca policji zwykle była nudna i monotonna.

— A potem un'ombra — ni to poprosił, ni to zasugerował.

Zerknąwszy na kartkę z adresami, Brunetti skręcił w calle po prawej. Chwilę później znaleźli się na niewielkim placu i zatrzymali przy najbliższym budynku, wypatrując numeru.

— Jakiego numeru szukamy, commissario?

— Trzysta dwanaście — odparł Brunetti, znów spoglądając na kartkę.

— To chyba tam. — Vianello dotknął ramienia komisarza i wskazał dom naprzeciwko.

Idąc przez plac, zobaczyli, że posadzone na klombie wokół fontanny narcyzy i żonkile przebiły już czarną glebę; w ciągu dnia zapewne wyciągały listki ku słońcu, teraz jednak stuliły je przed nadciągającym chłodem nocy.

Brunetti nacisnął dzwonek. Po chwili z głośnika domofonu rozległ się kobiecy głos, pytając, o co chodzi.

— Interesuje nas signor Lerini — oznajmił Brunetti.

— Signor Lerini rozstał się z tym światem — odparł głos.

— Wiem, signora. Interesuje nas jego majątek.

— W Królestwie Niebieskim, gdzie teraz przebywa, majątek nie jest nikomu potrzebny.

Brunetti i Vianello wymienili spojrzenia.

— Chodzi o majątek, jaki pozostawił tu, na ziemi — rzekł Brunetti, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Kim pan jest?

— Z policji.

Rozległ się trzask, jakby kobieta zbyt mocno odwiesiła słuchawkę. Przez kilka sekund nic się nie działo, potem blokada drzwi została zwolniona.

Mężczyźni znów zaczęli się wspinać po schodach. O ile w poprzednim mieszkaniu hol był obwieszony portretami, o tyle tu obrazki umieszczono na klatce schodowej. Wszystkie dzieła sztuki przedstawiały tę samą osobę — Chrystusa podczas kolejnych, coraz bardziej krwawych stacji jego męki; scena śmierci na szczycie Kalwarii znajdowała się na wysokości trzeciego piętra. Brunetti przystanął, aby przyjrzeć się ostatniemu obrazkowi, i przekonał się, że wbrew temu, co sądził, nie są to reprodukcje wycięte z jakiegoś pisma religijnego, lecz rysunki wykonane kolorowymi kredkami. Choć artysta starannie i z lubością narysował wszystkie rany, wszystkie ciernie i gwoździe, twarzy cierpiącego Jezusa zdołał tylko nadać wyraz sacharynowej słodyczy.

Kiedy komisarz odwrócił wzrok od sceny ukrzyżowania, zobaczył stojącą w otwartych drzwiach kobietę. W pierwszej chwili wydało mu się, że ma przed sobą Suor'Immacolatę, która jednak przeprosiła się z zakonem. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że to ktoś całkiem inny, a podobieństwo ogranicza się wyłącznie do stroju: kobieta ubrana była w sięgającą ziemi długą białą spódnicę oraz zapinany na guziki bezkształtny czarny sweter, spod którego wystawał kołnierzyk białej bluzki. Brakowało tylko kornetu i długiego różańca, aby przekształcić jej ubiór w habit zakonnicy. Skórę miała bladą i przejrzystą jak pergamin, typową dla osób, które rzadko opuszczają mury, nos długi, zaczerwieniony na końcu, podbródek nieproporcjonalnie mały w stosunku do twarzy, cerę gładką. Właśnie ten brak zmarszczek sprawiał, że Brunettiemu trudno było odgadnąć wiek kobiety; podejrzewał, że ma powyżej pięćdziesiątki, ale mniej niż sześćdziesiąt lat.

— Signora Lerini? — zapytał, nawet nie siląc się na uśmiech.

— Signorina — powiedziała szybko, jakby przywykła do tego, że ludzie popełniają ten błąd, i lubiła ich poprawiać.

— Chciałbym zadać pani kilka pytań w związku z testamentem pani ojca — rzekł Brunetti, wyjaśniając cel swojej wizyty.

— Z kim mam przyjemność? — Jej głos był zarazem łagodny i napastliwy.

— Commissario Brunetti — przedstawił się komisarz. — A to sierżant Vianello — dodał, wskazując ruchem głowy swojego towarzysza.

— I pewnie chcą panowie wejść, tak?

Brunetti potwierdził, więc cofnęła się parę kroków, żeby wpuścić ich do środka. Kiedy tylko przekroczyli próg mieszkania, każdy mrużąc: Permesso, komisarz natychmiast poczuł znajomy zapach, którego nie umiał jednak rozpoznać. W holu znajdowała się mahoniowa komoda, zastawiona fotografiami w rzeźbionych srebrnych ramkach. Brunetti rzucił na nie pobieżnie okiem, po czym ponownie zatrzymał na nich wzrok. Na wszystkich widniały osoby w szatach duchownych: biskupi, kardynałowie, cztery sztywno wyprostowane zakonnice, a nawet papież. Kiedy signorina Lerini odwróciła się, żeby poprowadzić gości w głąb mieszkania, Brunetti schylił się, by zerknąć na fotografię z bliska. Wszystkie były podpisane, a na wielu widniały dedykacje dla gospodyni; jeden kardynał nazwał ją nawet „Benedettą, umiłowaną siostrą w Chrystusie”. Komisarz doznał dziwnego wrażenia, jakby trafił do pokoju nastolatki obwieszzonego fotosami gwiazdorów rocka — bądź co bądź, oni też noszą odlotowe kreacje.

Dogoniwszy gospodynię i Vianella, wszedł za nimi do pomieszczenia, które w pierwszej chwili wziął za kaplicę, ale po bliższej lustracji uznał za salon. W jednym rogu ujrzał drewnianą Madonnę, przed którą paliło się sześć grubych świec; to stąd brał się zapach, którego wcześniej nie potrafił zidentyfikować. Przed rzeźbą stał klęcznik; na drewnianym podnóżku nie było poduszki dającej ulgę podczas długotrwałych modłów.

Na przeciwległej ścianie też znajdowała się kapliczka, ale o nieco innym charakterze, gdyż tu obiektem adoracji był ubrany w garnitur mężczyzna o byczym karku — najwyraźniej

zmarły ojciec gospodyni. Przed zdjęciem ukazującym go przy biurku, z dłońmi splecionymi na blacie, nie płonęły co prawda świece, za to oświetlał je łagodny blask dwóch reflektorów umieszczonych między belkami sufitu; Brunetti był pewien, że światła pałą się zarówno w dzień, jak i w nocy.

Signorina Lerini nie tyle usiadła w fotelu, co przycupnęła na samym jego brzeżku, trzymając się tak prosto, jakby połknęła kij. Albo raczej miecz.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu straty ojca — powiedział Brunetti, gdy on i sierżant również zajęli miejsca. — Signor Lerini był znanym człowiekiem, ogromnie zasłużonym dla naszego miasta. Jestem pewien, że bardzo boleśnie odczuwa pani jego brak.

Signorina Lerini ściągnęła wargi i skłoniła głowę.

— Taka była wola Pana — rzekła.

Brunetti usłyszał tuż obok cichutki szept: „Amen”, ale oparł się pokusie, żeby zerknąć na Vianella. Signorina Lerini podniosła jednak oczy na sierżanta. Kiedy zobaczyła oblicze równie poważne i pobożne jak jej własne, trochę się odprężyła; rysy twarzy zmiękły, kręgosłup stracił sztywność.

— Signorina, nie chciałbym zakłócać pani żałoby, rozumiem, jak wielki jest pani smutek, ale muszę zadać kilka pytań dotyczących majątku pani ojca.

— Tam, gdzie teraz przebywa, Pan troszczy się o jego potrzeby.

Tym razem komisarza dobiegło ciche: Si, si; przemknęło mu przez myśl, czy Vianello przypadkiem nie przesadza. Signorina Lerini najwyraźniej tak nie uważała, bo nie tylko spojrzała na sierżanta, ale nawet skinęła aprobująco głową, rada, że ma w jego osobie tak żarliwego współwyznawcę.

— Niestety, signorina, my, którzy wciąż jesteśmy tutaj, musimy troszczyć się o sprawy doczesne — oznajmił Brunetti.

Gospodyni zerknęła na fotografię ojca, jakby tam spodziewała się znaleźć wskazówkę.

— O co konkretnie panu chodzi?

— W toku jednego z dochodzeń uzyskaliśmy informację, że pewne osoby w naszym mieście padły ofiarą oszustów, którzy udawali, iż zbierają datki na cele dobroczynne — rzekł Brunetti, trzymając się sprawdzonego kłamstwa. — Podając się za przedstawicieli organizacji charytatywnych, zdołali wyłudzić od swoich ofiar znaczne, a nawet bardzo znaczne sumy pieniędzy. — Umilkł, czekając na reakcję ze strony gospodyni, ale ponieważ milczała z nieprzeniknioną twarzą, po chwili kontynuował: — Mamy powody sądzić, że naciągaczom udało się zdobyć zaufanie kilku pensjonariuszy tej samej casa di cura, w której przebywał pani ojciec.

Signorina Lerini wytrzeszczyła oczy.

— Czy któryś z nich przypadkiem nie kontaktował się z pani ojcem?

— Skąd mogę to wiedzieć?

— Może ojciec mówił pani, że chce poczynić zmiany w testamencie? Ze zamierza zapisać część pieniędzy jakiejś organizacji charytatywnej, o której wcześniej nigdy nie wspominał?

Brunetti zamilkł, ale nie doczekał się odpowiedzi. Spróbował ponownie:

— Czy w testamencie ojca nie było żadnego zapisu na cele dobroczynne, signorina?

— Co pan przez to rozumie?

— Na przykład przekazanie części pieniędzy na szpital albo sierociniec — wyjaśnił Brunetti, choć pytanie wydawało mu się całkiem oczywiste. — Pani ojciec nie zrobił czegoś takiego?

Potrząsnęła głową.

— Ale chyba poczynił zapis na rzecz jakiejś zasłużonej organizacji religijnej?

Kobieta znów potrząsnęła głową, nie mówiąc ani słowa. Wyręczył ją Vianello.

— Jeśli pozwoli mi pan coś wtrącić, commissario... Chciałbym powiedzieć, że człowiek tej miary co signor Lerini na pewno nie czekał do ostatniej chwili, aby podzielić się majątkiem z naszą Świętą Matką Kościołem.

Sierżant skłonił się w stronę gospodyni, która nagrodziła łaskawym uśmiechem wystąpienie w obronie dobrego imienia jej ojca.

— Uważam — kontynuował Vianello, zachęcony reakcją kobiety — iż powinniśmy wypełniać zaszczytny obowiązek wspierania Kościoła przez całe życie, a nie tylko w godzinie śmierci.

Zadowolony, że miał okazję zaprezentować swoje stanowisko w tej jakże istotnej sprawie, znów pogрузzył się w pełnej szacunku ciszy.

— Mój ojciec mógłby służyć za wzór chrześcijańskich cnót — oświadczyła signorina Lerini. — Jego wyjątkowa pracowitość oraz troska o rozwój duchowy osób, z którymi kontaktował się na gruncie zawodowym lub prywatnym, stanowią niedościgły przykład tego, jak można łączyć głęboką religijność z aktywnym życiem zawodowym.

Mówiła w podobnym stylu przez kilka minut, wychwalając pod niebiosa zmarłego, ale Brunetti jej nie słuchał. Początkowo rozglądał się po salonie, przesuując wzrokiem po ciężkich meblach — pamiątkach epoki, w której liczyła się tylko solidność, a nie piękno czy wygoda. Ponieważ wiszących na ścianach obrazów też nie cechowały walory estetyczne, jedynie pobożność, komisarz ograniczył się do patrzenia na grube, zakończone szponami nogi stołu i foteli.

Przeniósł oczy na gospodynię w chwili, kiedy dochodziła do podsumowania. Podejrzewał, że wygłaszała tę mowę mnóstwo razy, a teraz po prostu recytuje ją z pamięci, nie zastanawiając się nad treścią własnych słów.

— Mam nadzieję, że to wyjaśnia wszelkie pańskie wątpliwości — oznajmiła na końcu.

— Przedstawiła pani rzeczywiście imponujący katalog cnót.

Signorina Lerini przyjęła tę wypowiedź za komplement pod adresem ojca i uśmiechnęła się.

— Ale czy może mi pani konkretnie powiedzieć, czy na hojności pani ojca skorzystała casa di cura? — spytał Brunetti, bo akurat o tym gospodyni się nie zająknęła.

Uśmiech na jej twarzy zgasł.

— Co pan ma na myśli?

— Czy wymienił ją w testamencie?

— Nie.

— A może uczynił darowiznę na rzecz casa di cura, kiedy tam przebywał?

— Nie wiem — odparła kobieta tonem mającym sugerować, że nie zajmują jej tak przyziemne sprawy, ale gniewne spojrzenie, jakie posłała komisarzowi, zdradzało niezadowolenie.

— Do jakiego stopnia signor Lerini sprawował kontrolę nad swoimi finansami?

— Nie rozumiem pytania.

— Czy sam kontaktował się z bankiem? Czy sam wypisywał czek? Jeśli nie był w stanie osobiście wykonywać tego rodzaju czynności, kto go wyręczał? Kto płacił za niego rachunki i wypisywał czek, także te dotyczące darowizn? Pani? A może ktoś inny? — Już jaśniej nie potrafił wytłumaczyć, o co mu chodzi.

Widać było, że jego ton zirytował kobietę, ale Brunetti się tym nie przejął; miał dość zarówno jej uników, jak i napuszonej pobożności.

— Myślałam, że interesuje się pan oszustami — powiedziała tak lodowato, że komisarz natychmiast pożałował, że nie powściągnął rozdrażnienia.

— Oczywiście, signorina, oczywiście. Chciałbym jedynie mieć pewność, że owi oszuści nie zdołali wykorzystać pani ojca i jego szczodrości, kiedy przebywał w casa di cura.

— Jak pan to sobie wyobraża?

Brunetti zauważył, że tak mocno zacisnęła prawą dłoń na lewej, iż skóra lewej ręki zmarszczyła się niczym szyja żółwia.

— Jeśli naciągacze przyszli w odwiedziny do któregoś z pensjonariuszy albo w jakikolwiek inny sposób dostali się na teren casa di cura, z łatwością mogli nawiązać rozmowę z pani ojcem — rzekł, a ponieważ kobieta nadal milczała, spytał: — Uważa pani, że to niemożliwe?

— A pan? Uważa, że możliwe?

— Teoretycznie tak. Jeśli jednak w testamencie ojca nie było żadnych dziwnych zapisów i jeśli nie wydał przed śmiercią żadnych nieoczekiwanych dyspozycji, to chyba nie ma się czym martwić.

— Może pan spać spokojnie, commissario. To ja zajmowałam się finansami ojca podczas jego ostatniej choroby. I ręczę panu, że nie wydał żadnych niezwykłych poleceń.

— A co się tyczy testamentu... Nie wprowadził zmian podczas pobytu w casa di cura?

— Nie.

— Pani jest głównym spadkobiercą, tak?

— Tak. Jestem jedynym dzieckiem moich rodziców. Brunettiemu skończyła się zarówno cierpliwość, jak i lista pytań.

— Dziękuję, signorina, za poświęcenie nam czasu i udzielenie wyjaśnień — rzekł. — Teraz już wiem, że moje podejrzenia były bezpodstawne.

Wstał; sierżant również.

— Osobiście bardzo się z tego cieszę — kontynuował Brunetti, starając się nadać swojemu uśmiechowi wszelkie znamiona szczerości. — Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby się okazało, że ci padałcy oszukali pani ojca.

Z uśmiechem na ustach skierował się do wyjścia; słyszał, jak sierżant podąża za nim.

Signorina Lerini wstała z fotela i odprowadziła ich do drzwi.

— To i tak nie ma żadnego znaczenia — powiedziała, ruchem ręki wskazując na salon wraz ze zgromadzonym w nim dobytkiem, a w zamierzeniu przypuszczalnie obejmując cały świat.

— Święta racja, signorina, święta racja. Tak naprawdę liczy się tylko zbawienie wieczne — oznajmił Vianello.

Brunetti rad był, że jest do nich obojga zwrócony plecami, obawiał się bowiem, że nie potrafiłby ukryć zdumienia i niesmaku, jakie wywołały w nim słowa sierżanta.

Rozdział 6

— Czym mam sobie tłumaczyć ten twój nagły wybuch pobożności? — zapytał, kiedy wyszli z budynku.

Vianello wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— No, powiedz — ponaglił go komisarz.

— Z wiekiem coraz bardziej tracę cierpliwość, commissario. Poza tym kiedy ma się do czynienia z osobą pokroju panny Lerini, chyba nie sposób przesadzić.

— Cóż, gratuluję zdolności aktorskich. Przyznam ci się jednak, że kiedy powiedziałeś: „Tak naprawdę liczy się tylko zbawienie wieczne”, wszystko zaczęło się we mnie wywracać. — Brunetti wzdrygnął się z obrzydzeniem. — Może ona ci uwierzyła, ale mnie się wydałeś fałszywy jak wąż.

— Och, uwierzyła, co do tego nie ma dwóch zdań — stwierdził z przekonaniem sierżant.

Przeszli przez plac i skierowali się w stronę mostu przy Akademii.

— Skąd ta pewność?

— Wyraźnie nie chciała odpowiedzieć, kiedy pan pytał, czy jej ojciec, ta chodząca świętość, zapisał komuś choć odrobinę szmalu, prawda?

Brunetti skinął głową.

— No i? — Vianello popatrzył na niego wyczekująco.

— No i co?

— To najlepiej pokazuje, o co w tym wszystkim chodzi.

— O co, sierżancie?

— Baba chce czuć się wyjątkowa, lepsza od innych. Nigdy nie była piękna, ani nawet ładna, i nic nie wskazuje na to, by była szczególnie inteligentna. Żeby więc się wyróżnić, pozostało jej jedynie udawać pobożną. Wtedy każdy, kto ją spotka, myśli: „Och, co za niezwykła, uduchowiona osoba!” A ona nie musi nic robić, niczego się uczyć, nie musi nawet specjalnie się starać. Wystarczy, że wyklepie litanie różnych pobożnych bzdur, a wszyscy będą się nią zachwycać i mówić, jaka to z niej wyjątkowa kobieta.

Brunetti nie był przekonany, czy Vianello ma rację, ale wolał nie wdawać się w dyskusję. Dewocja panny Lerini faktycznie wydawała się przesadna i nienaturalna, jednakże nie podejrzewał tej kobiety o hipokryzję. To ciągłe mówienie o religii i odwoływanie się do woli bożej kojarzyło mu się raczej z fanatyzmem, o jaki już nieraz się otarł podczas pracy w policji. Pannie Lerini brakowało zarówno inteligencji, jak i egoizmu, cech wręcz nieodłącznych u prawdziwych hipokrytów.

— Coś mi mówi, że zetknąłeś się już z dewocją — powiedział do sierżanta, skręcając w stronę najbliższego baru.

Po tak dużej dawce pobożności miał ochotę się napić. Vianello najwyraźniej też, więc zamówili dwa kieliszki białego wina.

— Z dewocją mojej rodzonej siostry — wyjaśnił sierżant. — Na szczęście jej przeszło.

— Opowiesz?

— Wszystko zaczęło się jakieś dwa lata przed zamąż- pójściem. — Vianello pociągnął łyk wina, po czym postawił kieliszek na ladzie i wziął ze stojącej obok misy krakersa. — I skończyło wkrótce po ślubie. — Kolejny łyk wina. Uśmiech. — Widocznie w łóżku nie było miejsca dla Jezusa. — Jeszcze jeden, tym razem większy łyk wina. — Przeżyliśmy koszmar. Całymi miesiącami plotła tylko o sile modlitwy, o dobrych uczynkach i o tym, jak kocha Madonnę, a myśmy musieli tego słuchać. W końcu nawet matka, która naprawdę jest świętą kobietą, zatykała uszy.

— I co było dalej?

— Siostra wyszła za mąż. Potem przyszły na świat dzieci i nie miała już czasu na pobożność. Dała sobie spokój.

— Myślisz, że z tą Lerini mogłoby się stać podobnie?

Vianello wzruszył ramionami.

— W jej wieku... ile może mieć lat, pięćdziesiąt parę? — Spojrzał pytająco na komisarza, a gdy ten skinął głową, dodał: — Mała szansa, żeby ktoś się z nią ożenił, chyba że dla szmalu. A że forsą babsko nie zamierza się z nikim dzielić, to chyba jasne.

— Nie masz o niej zbyt wysokiego mniemania, co?

— Nie cierpię hipokrytów. I nie lubię ludzi wierzących. Więc może pan sobie wyobrazić, jakie uczucia wzbudza we mnie ktoś, kto jest i jednym, i drugim.

— Ale przecież sam nazwałś swoją matkę świętą kobietą. Nie jest wierząca?

Vianello przesunął kieliszek w stronę barmana. Ten ponownie napełnił go białym winem i popatrzył na Brunettiego. Komisarz poszedł za przykładem sierżanta.

— Owszem, jest, ale ona wierzy w dobro człowieka.

— Czy nie na tym polega chrześcijaństwo?

Vianello parsknął gniewnie.

— Coś panu powiem, commissario. Moja matka naprawdę jest świętą kobietą. Wychowała troje własnych dzieciaków i jeszcze dwoje cudzych. Ich ojciec pracował w kopalni; po śmierci żony się rozpił i w ogóle nie dbał

o dzieci. Więc moja matka je przygarnęła i chowała razem z nami. Nie robiła z tego żadnej wielkiej sprawy, nie gadała o szlachetności. Pewnego dnia przyłapała mojego brata na tym, jak dokuczał jednemu z chłopców, nazywając jego ojca pijakiem. Myślałem, że matka zabije

Lucę, ale nie; kazała mu przyjść do kuchni i oznajmiła, że bardzo jej za niego wstyd. Tylko tyle: że się za niego wstydzi.

I brat płakał przez tydzień. Nie krzyczała na niego, ale dała mu odczuć, co o nim sądzi. — Sierżant pociągnął łyk wina, błędząc myślami w przeszłości.

— I co było dalej? — zapytał Brunetti.

-He?

— Co było dalej? Z twoim bratem?

— Jakies dwa tygodnie później wracaliśmy razem ze szkoły, kiedy kilku starszych chłopaków z sąsiedztwa zaczęło dogadywać jednemu z synów górnika, temu samemu, któremu wcześniej Luca dokuczał.

— Ico?

— Luca wpadł w szal. Dwóch pobił do krwi, trzeciego pogonił prawie do sąsiedniej dzielnicy. I cały czas wrzeszczał do nich, żeby nigdy więcej nie ważyli się zaczepiać jego brata. — W miarę jak Vianello snuł opowieść, oczy coraz bardziej mu lśniły. — Wrócił do domu zakrwawiony. Podczas bójki chyba złamał sobie palec; w każdym razie ojciec zabrał go do szpitala.

— A potem?

— W szpitalu Luca opowiedział o całym zajściu ojcu, a ten po powrocie do domu powtórzył wszystko matce.

Vianello dopił wino, po czym wyjął z portfela kilka banknotów i położył na ladzie.

— Jak zareagowała?

— Normalnie. Jakby nic się nie stało. Ale wieczorem zrobiła na kolację risotto di pesce, ulubione danie brata. Nie jedliśmy tego od dwóch tygodni. Można by pomyśleć, że mama zastrajkowała. Albo za karę chciała nas wszystkich zagłodzić. — Zarechotał głośno. — Po kolacji Luca znów zaczął się uśmiechać. Mama nigdy więcej nie wspomniała o bójce. Luca był najmłodszym dzieckiem i zawsze uważałem, że właśnie jego kocha najbardziej. — Schował do kieszeni resztę, którą barman mu wydał. — Taka jest moja mama. Nie prawi kazań. Wszystko załatwia dobrocią. Takich jak ona ze świecą by szukać!

Wstali od baru. Sierżant przytrzymał drzwi, przepuszczając Brunettiego.

— Ma pan jeszcze jakieś adresy na tej liście, commissario? — spytał, zerkając na zegar wiszący nad wejściem do baru. — Jakoś nie wierzę, że ci, z którymi dotąd rozmawialiśmy, mają na sumieniu coś oprócz egoizmu i hipokryzji.

— To już koniec na dziś — odparł Brunetti, tak samo jak sierżant znużony rozmowami, a zwłaszcza nadmierną dawką pobożności. — Czwarta osoba podzieliła swój majątek równo między szóstkę dzieci.

— A piąta?

— Spadkobierca mieszka w Turynie.

— Więc wygląda na to, że nie mamy podejrzanych.

— Istotnie. Powoli dochodzę do wniosku, że nie ma podejrzanych, bo żadne przestępstwo nie zostało popełnione.

— Warto wracać na komendę? — zapytał Vianello, odciągając rękaw, żeby dla pewności spojrzeć jeszcze na zegarek.

Było kwadrans po szóstej.

— Nie, nie ma sensu — zdecydował Brunetti. — Choć raz wróć do domu o ludzkiej porze.

Vianello się uśmiechnął. Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język; w końcu nie wytrzymał.

— Będę miał więcej czasu na siłownię.

— Nawet mi o tym nie wspominaj! — zawołał Brunetti, krzywiąc się z udawaną zgrozą.

Vianello ryknął śmiechem i ruszył w stronę Ponte deli' Accademia, a komisarz w kierunku domu.

Dopiero kiedy znalazł się na Campo San Barnaba i przystanął, żeby spojrzeć na fasadę świeżo wyremontowanego kościoła, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Komisarz skręcił w calle obok świątyni; zatrzymał się przy ostatnich drzwiach przed Canal Grande.

Drzwi otworzyły się po drugim dzwonku i Brunetti wszedł na rozległy dziedziniec palazzo teściów. Luciana, służąca, która u nich pracowała, zanim jeszcze Brunetti poznał Paolę, czekała u szczytu schodów prowadzących do wnętrza pałacu i uśmiechała się na powitanie.

— Buona sera, dottore — powiedziała, cofając się, żeby wpuścić go do holu.

— Buona sera, Luciano. Miło cię znów widzieć. — Podał jej płaszcz, zastanawiając się, ileż to razy tego dnia zdejmował i wkładał wierzchnie okrycie. — Chciałbym porozmawiać z teściową. O ile jest w domu, oczywiście.

Nawet jeśli służącą zdziwiła jego nagła wizyta, nie dała nic po sobie poznać.

— Contessa czyta. Ale na pewno chętnie pana przyjmie, dottore — oznajmiła, po czym, prowadząc go na pokoje, zapytała ciepło, z niekłamanym zainteresowaniem: — Jak się miewają dzieci?

— Raffi się zakochał — odparł Brunetti, zachęcony jej serdecznym uśmiechem. — Chiara również. — Widząc zaskoczoną minę Luciany, dodał z rozbawieniem: — Na szczęście Raffi zakochał się w dziewczynie, a Chiara w nowym niedźwiadku polarnym z berlińskiego zoo.

Służąca chwyciła go za rękaw.

— Och, dottore, nie powinien pan sobie tak żartować ze starej kobiety — powiedziała, odejmując od serca drugą rękę, którą wcześniej przyłożyła tam melodramatycznym gestem. — Kim jest ukochana Raffiego? Czy to dobra dziewczyna?

— Nazywa się Sara Paganuzzi i mieszka piętro pod nami. Znają się z Raffim od dziecka. Jej ojciec ma wytwórnię szkła w Murano.

— To ten Paganuzzi?

— Tak. Zna go pani?

— Nie osobiście, ale znam jego wyroby. Przepiękne, naprawdę przepiękne. Mój bratanek, który też pracuje w Murano, twierdzi, że Paganuzzi jest prawdziwym mistrzem.

Luciana zatrzymała się przed gabinetem chlebobawczy i zastukała do drzwi.

Z wnętrza doleciał głos hrabiny:

— Avanti.

Luciana otworzyła drzwi i nie zapowiadając Brunettiego, wpuściła go do środka. Jednakże szansa na to, aby nakrył teściową na robieniu czegoś, czego robić nie powinna, choćby na przeglądaniu pisma dla kulturystów, była raczej znikoma.

Donatella Falier spojrzała znad okularów na gościa, po czym położyła książkę grzbietem do góry na kanapie, na książce okulary, i wstała. Energicznym krokiem podeszła do Brunettiego i nadstawiła policzek. Mimo że przekroczyła sześćdziesiątkę, wyglądała przynajmniej o dziesięć lat młodziej: drobna i szczupła, trzymała się prosto, ani jeden włos na jej głowie nie był siwy, a zmarszczki znakomicie skrywał staranny makijaż.

— Guido, co się stało? — spytała przejęta.

Brunetti poczuł żal, że jego kontakty z teściową są tak rzadkie, iż na jego widok gotowa jest sądzić, że wydarzyło się nieszczęście.

— Nic. Wszystko w porządku.

Natychmiast się odprężyła.

— To dobrze. Napijesz się czegoś, Guido? — Zerknęła na okno, jakby chciała się zorientować, jaka jest pora dnia, a zatem jaki alkohol byłby najbardziej odpowiedni. I nagle na jej twarzy odmalowało się zdziwienie; chyba się nie spodziewała, że na dworze panuje już mrok. — Boże, która godzina?

— Wpół do siódmej.

— Naprawdę? — spytała retorycznie, podchodząc do kanapy. — Usiądź i opowiedz mi, co słysząc u moich wnuków. — Spoczęła na wcześniej zajmowanym miejscu, po czym podniosła książkę, zamknęła ją i wraz z okularami położyła na niskim stoliku przy kanapie. — Nie, tu, koło mnie — poprosiła, widząc, że zięć kieruje się w stronę fotela stojącego naprzeciwko.

Brunetti usiadł na kanapie. W ciągu długoletniego małżeństwa z Paolą rzadko miał okazję być z teściową sam na sam, toteż dotąd nie wyrobił sobie o niej jednoznacznej opinii. Czasami wydawała mu się bezmyślną lalą, niepo- trafiającą nawet nalać sobie drinka, innym razem zaskakiwała go trafnością sądów, chłodnych i rzeczowych, na temat ludzi i ich zachowań. Dodatkową trudność w ocenie jej charakteru sprawiał mu fakt, że nigdy nie wiedział, czy Donatella mówi coś celowo, czy przypadkiem. Mniej więcej przed rokiem, wspominając Finiego, parlamentarzystę o neofaszystowskich poglądach, nazwała go „Mussofi- nim”, niczym nie dając poznać, czy było to przejęzyczenie, czy też świadomie przekręciła jego nazwisko, aby wyrazić pogardę.

Brunetti zapewnił hrabinę, że dzieci mają się dobrze, świetnie radzą sobie w szkole, z każdym posiłkiem jedzą dwa rodzaje warzyw i póki noce są chłodne, śpią przy zamkniętych oknach, żeby się nie przeziębić. Uspokojona, że wnukom nic złego się nie dzieje, Donatella Falier zainteresowała się ich rodzicami.

— A ty i Paola? Zdrowo wyglądasz; poprawiłeś się przez zimę — oświadczyła i Brunetti od razu się wyprostował, usiłując wciągnąć brzuch. — Więc czego się napijesz?

— Niczego, dziękuję. Chcę cię spytać o dwie osoby, które możesz znać.

— Doprawdy? — zdziwiła się, szeroko otwierając zielone oczy.

— Tak. Ich nazwiska wypłynęły w związku z dochodzeniem, które prowadzimy, więc... — urwał.

— I wpadłeś specjalnie po to, żeby mnie spytać, co mi o nich wiadomo?

— Zgadza się.

— A co ja mogę wiedzieć o czyichś machlojkach czy malwersacjach?

— Chodzi mi o sprawy osobiste.

— O plotki?

— Aha.

Na moment przeniosła spojrzenie w bok; wygładziła niewielką fałdkę, którą dostrzegła na oparciu kanapy.

— Nie wiedziałam, że policję interesują plotki.

— Stąd czerpiemy większość informacji.

— Serio?

Potwierdził skinieniem głowy.

— To fascynujące!

Brunetti nic nie powiedział. Próbując uniknąć jej wzroku, zerknął na grzbiet książki leżącej na stoliku. Spodziewał się, że będzie to jakiś banalny romans albo kryminał. Angielski tytuł tak go zaskoczył, że przeczytał na głos:

— The Voyage of the Beagle.

— Tak, Guido. Czytałeś?

— Na studiach, lata temu, ale w tłumaczeniu. — Z trudem opanował zdumienie.

— Lubię Darwina — oświadczyła contessa. — A tobie podobała się ta książka? — spytała, zapominając o plotkach i policji.

— Całkiem. Ale przyznam, że już nie bardzo ją pamiętam.

— Więc powinieneś znów po nią sięgnąć. Podróż na okręcie „Beagle” to ważna pozycja, jedna z najważniejszych książek, jakie napisano. O powstawaniu gatunków oczywiście też.

Brunetti skinął głową.

— Chcesz ją pożyczyć? Czytanie po angielsku nie sprawia ci kłopotów, prawda?

— Chybabym sobie poradził, ale na razie mam mnóstwo innych lektur — odparł. — Może kiedyś.

— To idealna książka na wakacje. Wspaniałe plaże, cudowne zwierzęta...

— Faktycznie — zgodził się Brunetti, nie bardzo wiedząc, o czym contessa mówi.

Na szczęście zmieniła temat.

— Jakie to plotki chciałbyś usłyszeć, Guido?

— Niekoniecznie plotki, po prostu jakiegokolwiek informacje, które mogłyby zaciekawić policję.

— A jakie to informacje ciekawią policję?

— Właściwie wszystkie — przyznał po krótkim wahaniu.

— Tego się spodziewałam. No więc o kogo ci chodzi?

— Interesuje mnie signorina Benedetta Lerini.

— Ta, która mieszka w Dorsoduro?

— Tak.

Hrabina pograżyła się na moment w zadumie.

— Wiem jedynie, że jest niezwykle hojna dla Kościoła, a przynajmniej taką cieszy się opinią. Większość pieniędzy, jakie odziedziczyła po ojcu — cóż to był za podły, wredny człowiek! — zdążyła już oddać Kościołowi.

— Jakiejś konkretnej organizacji kościelnej? Jakiemuś duchownemu?

— Niesamowite! Nie mam najmniejszego pojęcia — rzekła po chwili, autentycznie zdziwiona. — Wiem tylko, że jest bardzo religijna i przeznaczona mnóstwo pieniędzy na Kościół. To wszystko. Dla mnie równie dobrze mogłaby wspierać waldensów, Kościół anglikański, a nawet tych okropnych Amerykanów, którzy zaczepiają ludzi na ulicy... no wiesz, tych, co to mają mnóstwo żon, ale nie pozwalają im pić coca-coli.

Brunetti uznał, że jego wiedza na temat Benedetty Lerini niespecjalnie się wzbogaciła, postanowił więc spytać teściową o otyłą hrabinę.

— Druga osoba, która mnie ciekawi, to contessa Cri-voni.

— Claudia? — zapytała Donatella, nie kryjąc zaskoczenia ani radości.

— Jeśli tak ma na imię. Jest wdową po conte Egidio.

— Och, to doprawdy cudowne! — Donatella Falier roześmiała się jak nastolatka. — Szkoda, że nie mogę opowiedzieć o tym przyjaciółkom przy brydżu! — Widząc przerażoną minę zięcia, zaraz dodała: — O nic się nie martw, Guido. Nikt, nawet Orazio, nie dowie się o naszej rozmowie. Paola często mówi, że nie może powtórzyć mi nic, co usłyszy od ciebie.

— Tak mówi?

— Tak.

— A powtarza?

Contessa uśmiechnęła się, upierścienioną dłonią dotykając jego rękawa.

— Posłuchaj, Guido. Nie łamiesz swojej policyjnej przysięgi, prawda?

Brunetti skinął głową.

— No właśnie. A ja nie łamię słowa danego córce. — Ponownie obdarzyła go uśmiechem. — Powiedz mi lepiej, co chcesz wiedzieć o Claudii.

— Jaki był jej mąż, jak im się układało...

— Egidio na pewno nie należał do osób łatwych w pożyciu. Potwierdzi to każdy, kto go znał — oznajmiła bez wahania Donatella Falier. — Ale to samo można powiedzieć o Claudii — dodała i na moment zamyśliła się nad własnymi słowami. — A co ty o nich wiesz, Guido?

— Tylko to, co mówią ludzie.

— Czyli?

— O nim, że dorobił się w latach sześćdziesiątych na bezprawnym stawianiu budynków w Mestre.

— A o niej?

— Ze leży jej na sercu porządek moralny.
Contessa uśmiechnęła się.
— O tak, temu się nie da zaprzeczyć.
— Skąd ją znasz? — spytał po chwili Brunetti, widząc, że teściowa nie pali się do udzielania informacji.
— Claudia jest w komitecie zbierającym fundusze na remont kościoła San Simone Piccolo.
— Ty też?
— A skądże! Prosiła, żebym się przyłączyła, ale odmówiłam. Wiem, że to całe gadanie o remoncie jest podstępem.
— Podstępem?
— Tak. To jedyny kościół w Wenecji, w którym nadal odprawia się mszę po łacinie. Wiedziałaś o tym?
— Nie.
— Zdaje się, że byli powiązani z kardynałem Lefebvre, tym francuskim arcybiskupem, który chciał, aby Kościół wrócił do łaciny i kadzideł. Uznałam więc, że wszystkie pieniądze, jakie zbierzemy, nie zostaną przeznaczone na remont, tylko wysłane do Francji albo wydane na zakup kadzideł. — Umilkła na moment. — Zresztą ten kościół jest tak brzydki, że nie warto go odnawiać. To po prostu nieudana kopia Panteonu.
Choć dygresja na temat architektury świątyni wydała się Brunettiemu interesująca, wołał, aby teściowa nie odbiegała od tematu.
— No dobrze, ale powiedz mi, co wiesz o Claudii Cri- voni.
Contessa skierowała wzrok na gotyckie okna, z których rozciągał się wspaniały widok na palazzi po drugiej stronie Canal Grandę.
— Jak zamierzasz zużytkować uzyskane ode mnie informacje, Guido?
— Dlaczego pytasz?
— Bo chociaż Claudia nie jest najmilszą osobą pod słońcem, nie chcę, żeby cierpiała z powodu plotki, która może się okazać bezpodstawna. — Zanim Brunetti zdążył zaprotestować, uniosła dłoń, nakazując mu milczenie, po czym dodała z naciskiem: — A przynajmniej ja nie chcę być odpowiedzialna za jej cierpienie.
— Mogę cię zapewnić, że nie spotka jej nic, na co nie zasłużyła.
— To dość dwuznaczna wypowiedź.
— Owszem, ale w tej chwili nawet nie wiem, czy zrobiła coś złego i na czym jej wina miałyby polegać. Nie wiem, czy w ogóle popełniono przestępstwo.
— A mimo to przyszedłeś, żeby zasięgnąć o niej informacji?
— Tak.
— Więc musisz mieć podstawy, żeby się nią interesować.
— Mam. Drobne przesłanki, ale nic więcej. I jeśli się okaże, że to, co od ciebie usłyszę, nie ma związku ze sprawą, o której myślę, nikomu nie powtórzę słowa.
— A jeśli okaże się, że ma związek? Co wtedy?
Brunetti wydał wargi, dumając nad odpowiedzią.
— Wtedy postaram się dowiedzieć, czy w usłyszanej plotce tkwi ziarno prawdy, czy nie.
— Plotki na ogół bywają bezpodstawne.
Komisarz uśmiechnął się. Kto jak kto, ale Donatella Falier powinna wiedzieć, że choć bywają bezpodstawne, to często mają oparcie w bezspornych faktach.
— Krążą pogłoski o księdzu — oznajmiła po długim milczeniu.
— Jakie pogłoski?
Wykonała dłonią nieokreślony gest.
— Co to za ksiądz?
— Nie wiem.

— A co wiesz?

— Nic konkretnego, ale tu ktoś coś szepnie, tam ktoś coś szepnie. Oczywiście nikt nie mówi nic wprost, a każda wypowiedź zdaje się wynikać z głębokiej troski o Claudię i jej zdrowie.

Brunetti znał tę metodę drobnych insynuacji; już ukrzyżowanie było aktem bardziej humanitarnym.

— Wiesz, jak to się dzieje, Guido. Na przykład, jeśli Claudia nie przyjdzie na spotkanie, to któraś z obecnych pań spyta, czy nic złego się jej nie przytrafiło albo czy przypadkiem nie jest chora, a potem doda słodkim, niewinnym głosem, że na pewno chodzi o jakąś dolegliwość fizyczną, bo przecież w sprawach duchowych Claudia ma się do kogo zwrócić.

— I co? Tylko tyle? — spytał Brunetti.

Donatella Falier skinęła głową.

— To wystarczy — rzekła.

— Dlaczego więc sądzisz, że w grę wchodzi romans z księdzem?

Contessa znów wykonała dłonią nieokreślony ruch.

— To wynika z tonu. Słowa są nieważne, liczy się ton i modulacja głosu; to one przekazują ukrytą treść pozornie niewinnych wypowiedzi.

— Od jak dawna trwa ten romans?

— Nie wiem, Guido, czy w ogóle trwa jakkolwiek romans — oznajmiła, prostując plecy.

— A zatem od jak dawna słyszysz te insynuacje?

— Hm, już ponad rok. Początkowo nie zwracałam na nie uwagi. Albo znajome pilnowały się w mojej obecności. Wiedzą, że nie cierpię plotek.

— Czy coś jeszcze szepitano?

— To znaczy?

— Czy krążyły jakieś pogłoski, kiedy umarł jej mąż?

— Nic takiego sobie nie przypominam.

— Skup się.

— Bądź łaskaw pamiętać, Guido — pochyliwszy się, położyła upierścienioną dłoń na jego rękawie — że nie prowadzisz przesłuchania, a ja nie jestem podejrzaną.

Brunetti się zaczerwienił.

— Przepraszam, strasznie mi głupio. Zagalopowałem się.

— Wiem, Paola mi mówiła.

— Co mówiła?

— Jakie to dla ciebie ważne.

— Co?

— To, co uważasz za sprawiedliwość.

131

— To, co uważam za sprawiedliwość?

— Ach, przepraszam, Guido. Uraziłam cię.

Potrząsnęła szybko głową, że nie, nic podobnego, lecz zanim zdążył spytać teściową o wyjaśnienie, ona podniosła się z kanapy.

— Ale zrobiło się ciemno — powiedziała, po czym, jakby zapominając o obecności zięcia, podeszła do okna i stanęła tam, z rękami założonymi na plecach, zwrócona tyłem do pokoju.

Jej prosta, szczupła sylwetka, jedwabny kostium, wysokie obcasy i włosy upięte w zgrabny kok sprawiały, że wyglądała jak młoda kobieta.

Dopiero po dłuższym czasie odwróciła się od okna i spojrzała na zegarek.

— Orazio i ja jesteśmy zaproszeni do znajomych na kolację, więc jeśli nie masz więcej pytań, chciałabym zacząć się szykować...

Brunetti wstał i również podszedł do okna. Widział łodzie sunące po kanale oraz światła w domach na drugim brzegu. Chciał powiedzieć coś miłego na pożegnanie, ale Donatella odezwała się pierwsza:

— Ucałuj od nas Paolę i dzieci, dobrze?

Poklepała go po ramieniu i odeszła, nim otworzył usta.

Pozostał sam na sam ze wspaniałym widokiem rozpościerającym się z okien palazzo, który kiedyś miał się stać jego własnością.

Rozdział 7

Brunetti wrócił do domu kilka minut przed ósmą; powiesiwszy płaszcz, udał się prosto do gabinetu Paoli. Zastał ją, tak jak się spodziewał, w ulubionym wysłużonym fotelu; siedziała z jedną nogą podwinętą, w prawej ręce trzymała długopis, w lewej otwartą książkę. Oderwała od niej wzrok, kiedy wchodził, i przesłała mu całusa, ale zaraz znów pogрузzyła się w lekturze. Brunetti usiadł naprzeciwko żony na kanapie; po chwili jednak postanowił się położyć. Ugniół dwie aksamitne poduszki i wsunął je sobie pod głowę. Utkwił wzrok w sufit, zamknął oczy; wiedział, że Paola będzie gotowa poświęcić mu uwagę, gdy tylko doczyta do końca interesujący ją fragment.

Dobiegł go szelest przewracanej strony. Minęło kilka chwil. Potem usłyszał, jak żona odkłada książkę na podłogę.

— Nie wiedziałem, że twoja mama czyta — rzekł.

?— Wyobraź sobie, że z pomocą Luciany radzi sobie nawet z trudniejszymi słowami.

— Nie żartuj. Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, ^ czyta książki.

~~ A co innego miałyby czytać? Przyszłość z fusów?

— Nie wiedziałem, że czyta poważne książki.

— O rety! Wciąż studiuje pisma świętego Augustyna?

Brunetti nie miał pojęcia, czy Paola nadal żartuje, czy mówi poważnie.

— Nie — odparł. — Czyta Podróż na okręcie „Beagle”.

— Aha — powiedziała Paola bez specjalnego zainteresowania.

— Nie dziwi cię to?

— Mówisz, Guido, jakbyś ją przyłapał na czytaniu pornografii dziecięcej.

— Bez przesady. Ale powiedz szczerze, wiedziałaś, że czyta tak poważne książki?

— Oczywiście. Przecież to moja matka.

— To dlaczego mi nigdy o tym nie wspomniałaś?

— Lubiałbyś ją bardziej, gdybyś wiedział, co czyta?

— Przecież lubię twoją matkę — odparł szybko, może zbyt szybko. — Ale mam wrażenie, że słabo ją znam.

— Sądzisz, że znałbyś lepiej, gdybyś wiedział, jakie lektury ją pasjonują?

— A jest bardziej niezawodny sposób wyrobienia sobie o kimś opinii?

— Nie, chyba rzeczywiście nie ma — odparła po namyśle.

Była to taka odpowiedź, jakiej się spodziewał. Usłyszał, że żona się porusza, zmieniając pozycję w fotelu, ale nie otworzył oczu.

— Kiedy rozmawiałeś z mamą? — zapytała. — I skąd wiesz, co czyta? Chyba nie zadzwoniłeś do niej, żeby zasięgnąć porady w sprawie ciekawych lektur?

— Nie, odwiedziłem ją.

— Ty? Odwiedziłaś mamę?

Brunetti potwierdził mruknięciem.

— Po co?

— Chciałem ją o spytać o dwie kobiety.

— O które?

— Jedna to Benedetta Lerini.

— Olała! — zawołała Paola. — Co się stało? Czyżby się przyznała, że sama zabiła tego starego skurwysyna, wałac go młotkiem w łeb?

— O ile mi wiadomo, jej ojciec zmarł na zawał.

— Jestem pewna, że jego śmierć wywołała powszechną radość.

— Dlaczego tak uważasz?

Paola długo milczała, więc Brunetti w końcu otworzył oczy i spojrzał na nią. Siedziała teraz z obiema nogami podkurczonymi, z brodą wspartą na dłoni.

— No? — ponaglił.

— To dziwne, Guido, ale sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Pewnie dlatego, że tyle razy słyszałam, jaki z niego straszny człowiek.

— Straszny? W jakim sensie?

Znów się zamyśliła.

— Nie wiem. Nie konkretnego nie przychodzi mi do głowy. Pamiętam tylko, że ludzie mieli go za okropnego ty- pa. Dziwne, prawda?

Brunetti ponownie zamknął oczy.

— Nawet bardzo — rzekł. — Zwłaszcza w tym mieście.

— Bo tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą?

— Tak.

— Masz rację.

Umilkli oboje; Brunetti wiedział, że Paola przebiega myślami korytarze pamięci, usiłując sobie przypomnieć, gdzie lub od kogo słyszała nieprzychylne uwagi na temat zmarłego — plotki, na podstawie których wyrobiła sobie o nim złe zdanie.

Prawie zasypiał, kiedy nagle dobiegł go jej głos:

— Już wiem. Mówiła mi o nim Patrizia.

— Patrizia Belloti?

— Tak.

— Co ci powiedziała?

— Pracowała u Leriniego przez ostatnie pięć lat jego życia. Opowiadała, że był istnym potworem; wszyscy podwładni go nienawidzili.

— Zajmował się handlem nieruchomościami, prawda?

— Nie tylko.

— Mówiła ci dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego podwładni go nienawidzili?

— Poczekaj, zaraz sobie przypomnę. — Umilkła na chwilę. — Już wiem! Miało to coś wspólnego z religią.

Brunetti nie zdziwił się. Jeśli jabłko pada niedaleko od jabłoni, to — sądząc po córce — signor Lerini musiał być jednym z tych trudnych do zniesienia bigotów, którzy karzą za przeklinanie w pracy i w prezencie gwiazdkowym dają różańce.

— A konkretnie co? — spytał.

— Znasz Patrizię, prawda?

Patrizia, przyjaciółka Paoli z dzieciństwa, nigdy nie wydawała się Brunettiemu specjalnie interesującą osobą, ale widział ją zaledwie kilka razy.

— Uhm — mruknął.

— Jest bardzo wierząca.

Tak, teraz sobie przypominał; był to jeden z powodów, dla których jej nie lubił.

— Mówiła mi, że kiedyś wpadł w furję, bo ktoś, chyba nowa sekretarka, powiesił w biurze święty obrazek. Albo krzyż. Nie pamiętam dokładnie, bo Patrizia opowiadała mi o tym parę lat temu. W każdym razie Lerini dostał szału, kazał ten obrazek czy krzyż natychmiast zdjąć. W ogóle facet miał niewyparzoną gębę, o tym też mi mówiła. Nie chciała tylko powtarzać

jego bluźnierczych przekleństw. Madonna taka a taka. Madonna siaka owaka... Myślę, że nawet ty nie miałbyś ochoty tego słuchać, Guido.

Brunetti puścił mimo uszu sugestię, że innych przekleństw mógłby słuchać z większą ochotą; zaintrygowały go natomiast rewelacje na temat Leriniego, tak odmienne od tego, co spodziewał się usłyszeć. Z zamyślenia wyrwał go miękki dotyk ciała Paoli, która usiadła obok na kanapie. Nie otwierając oczu, przysunął się bliżej oparcia, żeby zrobić jej miejsce; po chwili na klatce piersiowej poczuł jej łokieć, przedramię, biust.

— Dlaczego odwiedziłeś mamę? — spytał głos dochodzący tuż spod jego podbródka.

— Już ci mówiłem. Pomyślałem, że zna Benedettę Lenni i tę drugą.

— A ta druga to kto?

— Claudia Crivoni.

— I zna?

— Aha.

— Co ci powiedziała?

— Że być może Crivoni ma romans z księdzem.

— Z księdzem? — zdziwiła się Paola.

— Tak. Ale to tylko plotka.

— Zapewne oparta na faktach.

— Na faktach?

— Och, nie wygłupiaj się, Guido. Dlaczego nie? Crivoni może mieć tyle romansów, ile chce.

— Ale z księdzem? — spytał Brunetti z nie mniejszym zdziwieniem niż przed chwilą żona.

— Czemu nie?

— A nie składają ślubu czystości? Paola uniosła się nieco na łokciu.

— Czasami mnie zaskakujesz — oświadczyła. — Myślisz, że to naprawdę coś zmienia?

— Powinno.

— Tak, a dzieci powinny być grzeczne i zawsze słuchać rodziców.

— Naszym zdarzają się drobne odstępstwa. — Uśmiechnął się.

Poczuł, jak ciałem żony wstrząsa chichot.

— I to często — przyznała. — Ale powiedz, Guido, naprawdę wierzysz, że księża żyją w czystości?

— Nie sądzę, aby Crivoni z kimkolwiek miała romans.

— Dlaczego?

— Bo ją widziałem! — zawołał, po czym nagle otoczył żonę w talii ramieniem i przyciągnął do siebie.

Wrzasnęła zaskoczona, ale w jej głosie było tyle samo oburzenia co uciechy, zupełnie jak w piskach Chiary łaskotanej przez ojca lub brata. Paola wrywała się, ale objął ją mocniej i przytrzymał, dopóki się nie uspokoiła.

— Wiesz, nie znam twojej matki — rzekł po chwili.

— Co ty pleciesz! Znasz ją od dwudziestu lat.

— Tak, ale jako teściową. A nie wiem, jaka jest naprawdę.

— Mówisz to ze smutkiem — powiedziała, unosząc głowę.

Brunetti zwolnił uścisk.

— Bo to jest smutne: znać kogoś tak długo i tak mało o nim wiedzieć. Zmarnować tyle czasu!

Paola oparła głowę na jego klatce piersiowej i przez moment wierciła się, usiłując lepiej dopasować swoje kształty do ciała męża. Jęknął głośno, kiedy wbiła mu łokieć w brzuch; w końcu ułożyła się wygodnie, a on objął ją ramieniem.

Spali w tej pozycji, gdy pół godziny później do pokoju weszła zgłodniała Chiara, żeby spytać matkę, o której będzie kolacja.

Rozdział 8

Brunetti obudził się nazajutrz z poczuciem niezwyklej jasności umysłu, zupełnie jakby przez noc spadła mu gorączka i odzyskał pełnię władz intelektualnych. Leżał w łóżku, analizując zebrane poprzedniego dnia informacje. Zamiast jednak dojść do wniosku, że należycie spożytkował czas, poświęcając go na kierowanie komendą i ściganie zbrodni, ze wstydem przyznał sam przed sobą, iż zmarnował dzień, polując na jednorożca, czyli usiłując zgromadzić dane o przestępstwie, którego prawdopodobnie w ogóle nie popełniono. Nie tylko uwierzył bez reszty w opowieść Marii Testy, ale jeszcze wciągnął w to Vianella i razem z nim nachodził ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia, dlaczego commissario policji stuka niezapowiedziany do ich drzwi.

Patta wracał za dziesięć dni. Brunetti nie miał złudzeń, jaka będzie reakcja szefa, kiedy się dowie, co jego zastępca i sierżant robili podczas jego nieobecności. Mimo iż leżał w ciepłej pościeli, zdjął go chłód na myśl o zadawanych lodowatym tonem pytaniach Patty: „Chcesz mi wmówić, że uwierzyłeś w historyjkę opowiedzianą przez zakonnicę, kobietę, która pół życia spędziła za klasztornym murem?

I dlatego zacząłeś naprzykrzać się ludziom i insynuować, że ich bliscy zostali zamordowani? Czyś ty oszalał, Brunetti? Czy ty masz świadomość, kim są ci ludzie?”

W końcu Brunetti zdecydował, że zanim umyje ręce od całej sprawy, porozmawia z jeszcze jedną osobą, z kimś, kto nawet jeśli nie będzie w stanie potwierdzić opowieści Marii, to przynajmniej zdoła ocenić jej wiarygodność jako świadka. Bo któż mógłby ją znać lepiej od człowieka, któremu spowiadała się przez sześć lat?

Budynek, którego Brunetti szukał, stał na drugim końcu sestiere Castello, w pobliżu kościoła San Francesco della Vigna. Dwoje przechodniów, których spytał, gdzie jest taki to a taki numer, nie umiało mu udzielić żadnych wskazówek. Kolejną osobę zagadnął więc nie o numer, lecz o siedzibę zakonu Świętego Krzyża; usłyszał, że mieści się przy następnym moście, drugie drzwi po lewej. I rzeczywiście, przy solidnych drewnianych drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z nazwą zakonu i wygrawerowanym poniżej niewielkim krzyżem maltańskim.

Drzwi otworzył po pierwszym dzwonku siwy mężczyzna, który mógłby służyć za wzór postaci dobrego mnicha, tak popularnej w średniowiecznej literaturze. Jego oczy promieniały dobrocią niczym słońce ciepłem, a szeroki, serdeczny uśmiech zdawał się mówić, iż nic nie sprawia mu większej radości niż niespodziewany gość.

— Czym mogę służyć? — spytał przyjaznym tonem, jakby okazywanie przybyszom pomocy stanowiło główny cel jego życia.

— Chciałbym się zobaczyć z Padre Pio Cavalettim, proszę brata.

— Dobrze. Wejdz, synu. — Mnich otworzył drzwi na oścież. — Tylko ostrożnie — rzekł, wskazując wysoki drewniany próg, a następnie ujmując za łokieć gościa, aby uchronić go przed potknięciem.

Stary furtian miał na sobie biały habit tego samego zakonu, do którego należała Suor Immacolata, lecz przysłonięty brązowym fartuchem z zielonymi i brunatnymi plamami, świadczącymi o latach pracy w ogrodzie.

Przekroczywszy próg, Brunetti przystanął; rozglądał się, usiłując zidentyfikować silny słodki zapach, który uderzył go w nozdrza.

— Bez—wyjaśnił zakonnik, uradowany wyrazem twarzy gościa. — Padre Pio uwielbia bez i sprowadza odmiany z całego świata.

Faktycznie, wewnętrzny dziedziniec porastały krzewy, drzewka i zupełnie wysokie drzewa różnych gatunków bu. Oszałamiający aromat wypełniał powietrze. Jednakże tylko gałązki nielicznych krzewów uginały się pod ciężarem gęstych fioletowych wiech; pozostałe rośliny nie zaczęły jeszcze kwitnąć.

— Tych parę krzewów tak wspaniale pachnie? — spytał Brunetti, zdumiony intensywnością woni.

— Niezwykle, prawda? — Mnich uśmiechnął się z dumą. — To gatunki wczesnokwiatowe: Dilatata, Claude Bernard i Ruhm von Horstenstein.

Brunetti domyślił się, że lingwistyczny popis zakonnika to litania nazw wonnych krzewów.

— Te tam, przy murze... — zakonnik dotknął łokcia gościa, aby zwrócić jego uwagę na kępę krzewów przytulonych do wysokiego ceglanego muru — ...to White Summers, Marie Finon i Ivory Silk. Wszystkie kwitną na biało, ale obsypią się kwieciami dopiero z początkiem czerwca i jeśli pogoda nie będzie zbyt upalna, nie stracą kwiatów do lipca. — Rozejrzył się zadowolony. — Mamy tu dwadzieścia siedem różnych gatunków; w ogrodzie naszego domu pod Trydentem kolejne trzydzieści cztery.

Brunetti otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zakonnik, z zapalem ciągnąc wątek, nawet tego nie zauważył.

— Niektóre pochodzą z Minnesoty i Wisconsin — oznajmił; wymowa nazwy drugiego z tych stanów sprawiła mu nieco kłopotu.

— Brat jest ogrodnikiem? — zapytał komisarz, choć odpowiedź nasuwała się sama.

— Tak, z łaski bożej. Zacząłem tu pracować... — przyjrzał się bliżej Brunettiemu — ...kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem, synu.

— To piękny ogród. Może brat być dumny.

Starzec łypnął niepewnie spod gęstych brwi. Bądź co bądź, duma była jedną z form pychy, zaliczanej do sied- grzechów głównych.

? ? — Dumny z tego, że bzy są tu takie piękne ku więk- 8ZeJ chwale Pana — poprawił się komisarz.

Zakonnik ponownie się rozpromienił. " Wszystko, co Pan stworzył, jest piękne — rzekł, *®°dąc gościa przecinającą ogród dróżką wyłożoną cegłami. — Jeśli ktoś w to wątpi, wystarczy, aby przyjrzał się Jego roślinom. — Skinął głową, jakby dla potwierdzenia tej prostej prawdy. — Masz ogród, synu?

— Nie, niestety.

— Wielka szkoda. Dobrze jest patrzeć, jak coś rośnie. To pozwala lepiej rozumieć sens życia.

Otworzył drzwi i usunął się na bok, przepuszczając Brunettiego przodem.

Ruszyli przed siebie długim korytarzem.

— A czy dzieci się liczą? — spytał z uśmiechem komisarz. — Mam dwoje.

— Och, naturalnie! — Zakonnik odwzajemnił uśmiech. — Liczą się bardziej niż cokolwiek na świecie. Nic nie jest piękniejsze, nic nie daje wspanialszego świadectwa chwale Pana.

Brunetti skinął energicznie głową, zgadzając się przynajmniej z pierwszą częścią wypowiedzi ogrodnika.

Chwilę później starzec przystanął i zastukał. Nie czekając, aż zza drzwi rozlegnie się głos, zwrócił się do Brunettiego.

— Wchodź, synu. Padre Pio zawsze mówi, abyśmy niezwłocznie przyprowadzali każdego, kto chce się z nim zobaczyć.

Uśmiechając się ciepło, poklepał gościa po ramieniu i oddalił się do swojego ogrodu, w którym pachniało tak, jak zdaniem komisarza powinno pachnieć w raju.

W pokoju siedział przy biurku wysoki mężczyzna. Cos pisał, ale na widok Brunettiego odłożył długopis i wstał. Ruszył w stronę gościa, wyciągając na powitanie dłoń; w jego oczach zabłyśły wesołe iskierki, a wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

Usta Padre Pio były tak czerwone i pełne, że każdy, kto widział go po raz pierwszy, musiał zwrócić na nie uwagę, jednakże to szarozielone oczy zdradzały charakter księdza. Płonęła w nich ciekawość, zainteresowanie światem, które — jak podejrzewał Brunetti — cechowały każdą sferę działalności kapłana. Był wysoki i chudy, a smukłość sylwetki dodatkowo

podkreślał długi habit zakonu Świętego Krzyża. Choć ksiądz liczył czterdzieści kilka lat, włosy wciąż miał czarne; o tym, że zaczyna się starzeć, świadczyła jedynie niewielka łysina na czubku głowy, tworząca naturalną tonsurę.

— Buon giorno — powiedział ciepłym tonem. — Czym mogę panu służyć?

Mówił wprawdzie z intonacją typową dla mieszkańców Véneto, lecz nie miał weneckiego akcentu. Brunettiemu przemknęło przez myśl, że duchowny pochodzi z Padwy. Zanim zdążył odpowiedzieć na pytanie, ksiądz zawołał:

— Och, gdzie moje maniery! Proszę, niech pan usiądzie.

Wysunął na środek pokoju dwa miękkie krzesła stojące na lewo od biurka i sam usiadł dopiero wtedy, gdy gość zajął wskazane miejsce. Nagle Brunetti poczuł silną ochotę, żeby jak najprędzej zamknąć sprawę, którą wszczął pod *Pfywem dziwnej opowieści Marii Testy.

Chciałbym spytać ojca o jedną z osób należących do zakonu Świętego Krzyża — rzekł.

Wonny powiew wiatru zaszeleścił papierami na biurku.

Brunetti pomyślał, że wiosna zapowiada się wspaniale: w pokoju nie odczuwało się chłodu, mimo że wychodzące na ogród okna były szeroko otwarte, aby do środka wpadał zapach bzu.

Ksiądz zauważył, że gość patrzy w stronę ogrodu.

— Cały dzień muszę przytrzymywać kartki dłonią — oznajmił z nieśmiałym uśmiechem.

— Ale bez kwitnie tak krótko, że pragnę się nim nacieszyć, póki mogę. — Na moment spuścił wzrok. — Obawiam się, że można to uznać za pewnego rodzaju łakomstwo.

— Wątpię, żeby miłość do kwiatów była poważnym grzechem — powiedział Brunetti, uśmiechając się dobrodusznie.

Ksiądz skinieniem głowy podziękował za pobłażliwość.

— Nie chciałbym wypaść nieuprzejmie, signore, ale muszę wiedzieć, kim pan jest, zanim udzieli panu informacji o członku naszego zakonu. — Z wyrazem lekkiego speszenia na twarzy Padre Pio wyciągnął do Brunettiego rękę, otwartą dłonią do góry, jakby prosił o wyrozumiałość.

— Jestem commissario Brunetti.

— Z policji? — Ksiądz nie próbował ukryć zdumienia.

— Tak.

— Wielkie nieba! Mam nadzieję, że nikomu nie stało się nic złego!

— Nie, nie, proszę się nie obawiać. Przyszedłem tylko zapytać o pewną młodą kobietę, która należała do tego samego zakonu co ojciec.

— Należała, commissario? Już nie należy?

— Nie.

— Boję się, że nie będę mógł panu wiele pomóc. Powinien pan raczej porozmawiać z matką przełożoną. To ona jest duchową przewodniczką sióstr.

— O ile się orientuję, ojciec zna tę kobietę.

— Tak? Jak się nazywa?

— Maria Testa.

Ksiądz uśmiechnął się rozbrajająco, przepaszając za swoją ignorancję.

— Żałuję, commissario, ale to nazwisko nic mi nie mówi. Nie wie pan, jak się nazywała, kiedy należała do naszej wspólnoty?

— Suor'Immacolata.

Ksiądz pokiwał głową.

— Tak, rzeczywiście. Pracowała w domu opieki San Leonardo. Bardzo troskliwie zajmowała się pensjonariuszami. Wielu było do niej szczerze przywiązanych, a sądzę, że ona do nich również. Dlatego ogromnie mnie zasmuciła jej decyzja wystąpienia z zakonu.

Modliłem się za nią.

Brunetti przyglądał mu się bez słowa.

— Ale dlaczego siostrą interesuje się policja? — spytał ksiądz z nagłym niepokojem.

Tym razem to komisarz wyciągnął uspokajającym gestem rękę.
— Nie ma powodu do zmartwienia, nie zrobiła nic złego. Po prostu chcemy się dowiedzieć paru rzeczy.

Na twarzy księdza wyraźnie odmalowała się ulga.

— Jak dobrze ojciec ją znał?

Padre Pio zadumał się na moment. f. To trudne pytanie, commissario.

— Myślałem, że był ojciec jej spowiednikiem.

Oczy księdza rozszerzyły się, ale zaraz spuścił wzrok. Splótł palce, zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym ponownie spojrzął na Brunettiego.

— Podejrzewam, że wyda się to panu zbędną komplikacją, commissario, ale muszę rozdzielić to, co wiem na jej temat jako przełożony, od tego, co mi wiadomo jako spowiednikowi.

— Dlaczego? — zapytał Brunetti, chociaż znał odpowiedź.

— Bo popełniłbym ciężki grzech, gdybym wyjawiał cokolwiek, co mi powiedziała pod tajemnicą spowiedzi.

— Ale może mi ojciec wyjawić to, co wie jako przełożony?

— Oczywiście. I chętnie to zrobię, jeśli tym sposobem mogę jej pomóc. — Kapelan domów opieki rozplótł palce i jedną ręką zaczął przebierać paciorki różańca wiszącego u pasa. — Co chciałby pan wiedzieć?

— Czy jest uczciwą kobietą?

Ksiądz nie starał się ukryć zdumienia.

— Uczciwą? Chodzi panu o to, czy byłaby zdolna do kradzieży?

— Albo do kłamstwa.

— Nie, nie wierzę, aby mogła kraść albo kłamać — oznajmił bez wahania Padre Pio.

— A jaka jest w relacjach do świata?

— Przyznam, że nie bardzo rozumiem pytanie. — Zakonnik potrząsnął lekko głową.

— Czy sądzi ojciec, że ta kobieta jest dobrym sędzią ludzkich charakterów? Czy byłaby wiarygodnym świadkiem?

— Zależy, co by miała oceniać — odparł kapelan po dłuższym namyśle. — Albo raczej kogo.

— To znaczy?

— Wydaje mi się, że Suor'Immacolata jest osobą bardzo emocjonalną. Może nawet nadwrażliwą. Szybko dostrzega w ludziach dobro, co oczywiście jest bezcennym darem. Ale... — twarz księdza zachmurzyła się — ...równie szybko podejrzewa najgorsze. Obawiam się, że to, co powiem, zabrzmi okropnie, a ja wydam się panu człowiekiem nadmiernie uprzedzonym. — Urwał; najwyraźniej słowa, które zamierzał powiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło. — Suor'Immacolata pochodzi z Sycylii i chyba dlatego ma dość specyficzny, by nie rzec spaczony, obraz ludzkiej natury.

Padre Pio odwrócił wzrok. Brunetti zauważył, że ksiądz przygryza zębami dolną wargę, zupełnie jakby chciał w ten sposób ukarać się za to, co powiedział.

— Iz takim spaczonym obrazem ludzkiej natury trafiłaby do klasztoru?

— Nie wiem, jak to panu wyjaśnić, commissario — oznajmił z zakłopotaniem duchowny.

— Jeśli ująć tę kwestię w kategoriach teologicznych, Suor'Immacolata cierpiała na niedostatek ufności. Gdyby była bardziej ufna, BUałaby więcej wiary w dobro człowieka. — Na moment "milkł i tylko przebierał paciorki. — To wszystko, co mo-

panu powiedzieć, commissario.

Z obawy przed wyjawieniem mi czegoś, czego nie l^inieniem wiedzieć?

— Czego nie ma prawa pan wiedzieć — stwierdził z naciskiem ksiądz.

Brunetti milczał.

— Zdaję sobie sprawę, że wielu ludziom wydaje się to dziwne, szczególnie we współczesnym świecie — kontynuował duchowny. — Ale zachowanie tajemnicy spowiedzi to obowiązek równie stary jak sam Kościół, w dodatku jeden z najchlubniejszych. Nie wolno nam z niego zrezygnować. — Uśmiechnął się smutno. — Przykro mi, ale naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej na temat SuorTmmacolaty.

— Czy skłamałaby?

— Nie. Tego może pan być pewien. Nigdy by nie skłamała. Mogłaby coś źle zrozumieć albo przejaskrawić, ale świadomie nigdy nie powiedziała by nieprawdy.

Brunetti wstał, wyciągając rękę.

— Dziękuję, że ojciec zechciał poświęcić mi tyle czasu.

Dłoń księdza była sucha, jego uścisk mocny. Padre Pio odprowadził komisarza do drzwi.

— Idź z Bogiem, synu — rzekł, gdy gość znów zaczął mu dziękować.

Na dziedzińcu Brunetti ujrzał ogrodnika klęczącego przy różanym krzaku nieopodal muru; gołymi rękami roz- grzebywał mokrą glebę. Na widok Brunettiego starzec wsparł się dłonią o ziemię, żeby powstać z kolan.

— Nie trzeba, proszę brata, sam wyjdę! — zawołał do niego Brunetti.

Kiedy znalazł się na ulicy, zapach bzu towarzyszył mu aż do najbliższego rogu — unosił się w powietrzu niczym błogosławieństwo.

Nazajutrz do miasta przyjechał minister finansów i choć była to całkowicie prywatna wizyta, policja wenecka odpowiadała za jego bezpieczeństwo. Częściowo z tego powodu, a częściowo dlatego, że na skutek spóźnionej epidemii grypy pięciu policjantów poszło na chorobowe, a jeden wyładował w szpitalu, kopie testamentów osób zmarłych w San Leonardo Casa di Cura przeleżały niezauważone na biurku Brunettiego aż do początku następnego tygodnia. Komisarz dwukrotnie sobie o nich przypominał, za drugim razem nawet spytał o nie Elettrę, która odparła, że już dawno temu zostawiła je w jego gabinecie.

Dopiero kiedy minister powrócił do Rzymu i tej stajni Augiasza, jaką było ministerstwo finansów, Brunetti znów sobie przypomniał o kopiach testamentów — i to tylko dlatego, że same wpadły mu w ręce, kiedy wśród papierów na biurku szukał zagubionych akt osobowych kilku funkcjonariuszy. Postanowił przejrzeć dokumenty, zanim poprosi sekretarkę Patty, by upchnęła je w którymś z segregatorów.

Ponieważ skończył studia prawnicze, nie miał trudności ze zrozumieniem języka, jakim spisane były poszczególne punkty, informujące, że zmarli przekazują, pozostawiają i darują żywym skrawki i okruchy tego świata. Czytając bombastyczne sformułowania, pomyślał o tym, «o mówił Vianello na temat niemożności posiadania czegokolwiek; testamenty wyraźnie dowodziły, iż się nie my- * Zmarli przenosili iluzoryczne prawo własności na spadkobierców, ale było to jedynie podtrzymywanie fikcji, gdyż z czasem śmierć miała pozbawić wszystkiego również obdarowanych.

Komisarz zadumał się: może słusznie postępowali pogańscy wodzowie, każąc umieszczać swoje zwłoki wraz z całym dobytkiem na łodzi, którą wypychano w morze, a następnie podpalano. Po chwili przyszło mu do głowy, że tym nagłym zwrotem przeciwko dziedziczności przypuszczalnie odreagowuje godziny spędzone w towarzystwie ministra, ordynarnego idioty — kontakt z kimś takim każdego mógł zniechęcić do ludzi bogatych. Brunetti roześmiał się głośno i wrócił do studiowania testamentów.

Nie tylko signorina da Pre sporządziła zapis na rzecz casa di cura. Signora Cristanti pozostawiła domowi opieki pięć milionów lirów, a signora Galasso, która uczyniła swoim głównym spadkobiercą bratanka mieszkającego w Turynie — dwa miliony.

Nie były to ogromne sumy, ale Brunetti wystarczająco długo pracował w policji, by wiedzieć, że ludzie często zabijają bez skrupułów nawet dla mniejszych pieniędzy; zdawał sobie jednak sprawę, iż żaden wytrawny morderca nie ryzykowałby wpadki dla tak nędznych

zysków. Dlatego wydało mu się mało prawdopodobne, aby ktokolwiek związany z casa di cura odważył się popełnić morderstwo.

Z informacji uzyskanych od jej brata wynikało, że Augusta da Pre była po prostu samotną starą kobietą i z wdzięczności za opiekę postanowiła zapisać coś instytucji, w której spędziła swoje ostatnie lata. Da Pre przyznał, że kiedy obalił sądownie ten zapis, nikt z domu opieki się nie odwoływał. Ktoś, kto posunąłby się do morderstwa, tak łatwo by się nie pogodził z utratą spodziewanych pieniędzy.

Brunetti sprawdził daty na testamentach. Przekonał się, że kolejne dwa, w których widniały zapisy na rzecz casa di cura, sporządzono ponad rok przed śmiercią pensjonariuszy; z pozostałych trzech dwa spisano mniej więcej pięć lat przed zgonem spadkodawców, a jeden aż dwanaście. Nie miał tak bujnej wyobraźni ani tak podejrzliwej natury, aby w którymkolwiek z tych przypadków wietrzył przestępstwo.

Piątka starsuszków zmarła z przyczyn naturalnych — był to jedyny logiczny i rozsądny wniosek, a przeświadczenie Suor'Immacolaty, iż w casa di cura dopuszczono się zbrodni, po prostu usprawiedliwiało w jej oczach decyzję porzucenia zakonu, który od tak dawna był dla niej duchowym i faktycznym domem. Brunetti wiedział z doświadczenia, że poczucie winy często przybiera jeszcze dziwniejsze formy, choć z jego punktu widzenia młoda kobieta w ogóle nie powinna czuć się winna. W każdym razie żałował, że vita nueva byłej zakonnicy tak niefortunnie się zaczęła. Życzył Marii jak najlepiej; zasługiwała na coś więcej.

Kopie testamentów oraz notatki, które sporządził po odwiedzeniu z sierżantem trojga spadkobierców, trafiły ostatecznie nie do rąk Elettry, ale do dolnej szuflady biurka, gdzie przeleżały kolejne trzy dni.

Patta wrócił z urlopu jeszcze mniej zainteresowany co dzieje się na komendzie, niż przed wyjazdem. By- ^O to o tyle korzystne dla Brunettiego, że nie musiał słowem wspominać szefowi o wizycie Marii Testy ani o jej opowieści. Niedługo później odwiedził w domu opieki matkę i po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu tam Suor'Immacolaty oraz jej płynącej z głębi serca troski o pensjonariuszy.

Młoda kobieta więcej się z nim nie kontaktowała, miał więc nadzieję, że zapomniała o całej historii, o swoich podejrzeniach, lękach, i po prostu rozpoczęła nowe życie. Pewnego dnia przyszło mu nawet do głowy, żeby ją odwiedzić na Lido, ale gdzieś zapodział kartkę, na której zapisał adres, i nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska ludzi, którzy pomogli jej znaleźć pracę. Pamiętał, że było krótkie — coś jak Rossi, Bassi, Guzzi. Potem jednak zamieszanie związane z powrotem vice-questore Patty sprawiło, że przestał myśleć o Marii — i nie myślał aż do chwili, kiedy dwa dni później odebrał telefon od mężczyzny, który przedstawił się jako Vittorio Sassi.

— Czy to z panem rozmawiała Maria? — spytał Sassi.

— Maria Testa? — upewnił się Brunetti, mimo że od razu się zorientował, o jakiej Marii mówi jego rozmówca.

— Suor'Immacolata.

— Tak, odwiedziła mnie przed dwoma tygodniami. O co chodzi, signor Sassi? Czy coś się stało?

— Potrafił ją samochód.

— Gdzie?

— Tu, na Lido.

— Gdzie jest teraz?

— Na chirurgii urazowej. Właśnie stąd dzwonię. Nikt mi nic nie chce powiedzieć.

— Kiedy miał miejsce wypadek?

— Wczoraj po południu.

— Dlaczego pan dzwoni dopiero teraz?

W słuchawce zaległa długa cisza.

— Signor Sassi? — ponaglił komisarz, a gdy mężczyzna wciąż milczał, spytał łagodniejszym tonem: — W jakim jest stanie?

— Ciężkim.

— Kto ją potracił?

— Nie wiadomo.

— Jak to?

— Późnym popołudniem wracała na rowerze do domu. Samochód uderzył ją od tyłu. Musiał jechać z dużą prędkością. Kierowca się zatrzymał.

— Kto znalazł Marię?

— Kierowca ciężarówki. Zobaczył, że leży w rowie przy szosie. Przywiózł ją do szpitala.

— Czy bardzo jest poturbowana?

— Prawdę rzekłszy, nie wiem. Kiedy zadzwoniono dziś rano, powiedziano mi, że ma złamaną nogę, ale istnieje obawa, że nastąpiło uszkodzenie mózgu.

— Jest pan tam teraz, tak?

— Tak.

— Skąd wiadomo, jak się z panem skontaktować? Policja była wczoraj w pensjone, w której Maria i. Zdaje się, że adres znaleziono w jej torebce.

sciciel podał nazwisko mojej żony. Pamiętał, że to my- przyprowadzili do niego Marię. Ale zatelefonowano nas dopiero dziś rano. Natychmiast przyjechałem.

— Rozumiem. A dlaczego dzwoni pan do mnie?

— Kiedy w zeszłym miesiącu spytaliśmy Marię, po co jedzie do Wenecji, odparła, że musi porozmawiać z policjantem nazwiskiem Brunetti. Nie powiedziała o czym, a myśmy się nie dopytywali. Teraz, kiedy leży poturbowana, pomyślałem sobie, że może pan, jako policjant, chciałby o tym wiedzieć.

— Dziękuję, signor Sassi. Jestem panu bardzo wdzięczny — rzekł Brunetti. — Czy... czy zwrócił pan uwagę, jak się Maria zachowywała po spotkaniu ze mną?

— Normalnie, jak zawsze — odparł Sassi. Jeśli nawet pytanie wydało mu się dziwne, nic w jego tonie na to nie wskazywało. — A co?

Brunetti nie zamierzał mu nic tłumaczyć.

— Długo pan tam jeszcze będzie? — spytał.

— Parę minut. Muszę wracać do pracy. Zona została w domu, opiekuje się wnukami.

— Jak się nazywa lekarz, który zajmuje się Marią?

— Nie wiem. Panuje tu kompletny chaos. Pielęgniarki strajkują, nie ma u kogo zasięgnąć informacji. Nikt nic nie wie o Marii. Mógłby pan tu przyjechać? Może z panem będą inaczej rozmawiali.

— Będę za pół godziny.

— Maria to dobra kobieta.

Brunetti przytaknął; znał ją od sześciu lat i całkowicie podzielał tę opinię.

Kiedy Sassi się rozłączył, Brunetti zadzwonił na dół do Vianella. Kazał sierżantowi zamówić łódź z pilotem i za pięć minut być gotowym do podróży na Lido. Następnie polecił telefonistce, aby połączyła go ze szpitalem. Gdy zgłosiła się centrala, powiedział, że chce mówić z lekarzem dyżurnym na chirurgii urazowej. Połączono go z oddziałem ginekologicznym, potem z chirurgią, a wreszcie z kuchnią. Zdegustowany, cisnął słuchawkę na widełki i zbiegł na dół, gdzie Vianello z Montisim czekali już przy łodzi.

Kiedy mknęli przez lagunę, Brunetti powiedział sierżantowi o telefonie Sassiego.
— A to sukinsyn! — zawołał Vianello, kiedy usłyszał, że kierowca zbiegł z miejsca wypadku. — Dlaczego się nie zatrzymał? Przecież mogła umrzeć w tym rowie.

— Może właśnie o to chodziło? Żeby nie przeżyła?

Vianello od razu zrozumiał, co komisarz ma na myśli.

— No tak — rzekł, mrużąc oczy. — Ale przecież nie poszliśmy do casa di cura, nie zadawaliśmy tam żadnych pytań. Więc skąd się dranie dowiedzieli, że kontaktowała się z policją?

— Nie wiemy, co zrobiła po rozmowie ze mną.

— Fakt. Ale chyba nie była aż tak naiwna, żeby pognać do domu opieki i zacząć rzucać oskarżenia?

?— Większość życia spędziła w klasztorze, sierzancie.

— Co to ma do rzeczy?

?— Sądzisz, że nic? Moim zdaniem Maria uważa, że %starczy komuś powiedzieć, iż źle postąpił, aby sam po- f*@dł na policję, przyznał się do wszystkiego i jeszcze pokosił, by go aresztowali — rzekł Brunetti, ale zaraz polował swojego lekkiego tonu. — Chodzi mi o to, że l^fcypuszczalnie słabo zna się na ludziach i nie rozumie Motywów, którymi się kierują.

— No tak. Klasztor nie jest najlepszą szkołą życia w tym bagnie, na jakie przerobiliśmy świat.

Brunettiemu nie przyszła do głowy żadna sensowna uwaga, więc milczał przez resztę drogi. Dopiero gdy policyjna motorówka przybiła do przystani na tyłach Ospe- dale ał Mare, zastrzeżonej dla wodnych ambulansów, polecił Montisiemu, żeby na nich czekał, dopóki nie zorientują się w sytuacji.

Otwarte drzwi prowadziły do pomalowanego na biało korytarza o betonowej posadzce.

— Hola! A wy coście za jedni? — spytał, wychodząc im naprzeciw, sanitariusz w białym kitlu. — Nie wolno tędy wchodzić do szpitala.

Brunetti wyjął legitymację i machnął mu nią przed oczami.

— Gdzie mieści się urazówka?

Mężczyzna stał naburmuszony, z taką miną, jakby wciąż chciał im zakazać wstępu, po chwili jednak w jego umyśle wziął górę typowo włoski szacunek dla urzędników państwowych, zwłaszcza służb mundurowych. Otrzymał wskazówki, komisarz z Vianellem ruszyli przed siebie. Minutę później dotarli do dyżurki; dalej, za dwuskrzydłowymi drzwiami, ciągnął się długi, jasno oświetlony korytarz. W dyżurce nie było nikogo. Brunetti zawołał parę razy, ale nie uzyskał żadnej reakcji.

Wreszcie z głębi korytarza wyłonił się mężczyzna w wymiętym białym fartuchu.

— Przepraszam — rzekł Brunetti, unosząc dłoń, żeby go zatrzymać.

— Tak?

— Gdzie mógłbym znaleźć lekarza dyżurnego?

— A o co chodzi? — spytał mężczyzna nieszczęśliwym głosem.

Brunetti znów wyciągnął legitymację. Mężczyzna spojrzał na nią, potem na niego.

— O co chodzi, commissario? To ja, niestety, mam na głowie ten oddział.

— Niestety?

— Przepraszam, tak mi się powiedziało. Jestem na nogach od trzydziestu sześciu godzin, bo pielęgniarkom zachciało się strajkować. Mam na sali dziewięć ciężkich przypadków, a do pomocy tylko jednego sanitariusza i jedną stażystkę. Ale i tak nie ma sensu, bym się panu skarżył.

— Rzeczywiście, doktorze. Nie mogę aresztować pańskich pielęgniarek.

— Szkoda. W czym mogę panu pomóc?

— Przyszedłem dowiedzieć się o pacjentkę, którą przywieziono wczoraj. Potracona przez samochód. Podob- 00 ma złamaną nogę i uszkodzenie mózgu.

Lekarz od razu się zorientował, o kim mowa.

— Nogę ma w porządku — sprostował. — Doznała •Womiaszt zwicnięcia stawu barkowego. I jedno czy dwa ?febra może mieć pęknięte. Najbardziej zaniepokoił mnie fcdnak uraz głowy. Ale nie jestem neurochirurgiem. Co pan zrobił?

Pół godziny po tym, jak tu trafiła, odesłałem ją ka- ! do Ospedale Civile. Nawet gdyby personel nie strajkował, nie mamy warunków, żeby przeprowadzać operacje na otwartym mózgu.

— jak poważny jest stan pacjentki?

— Była nieprzytomna, kiedy ją przywieziono. Nastawiłem jej bark i założyłem opatrunek na żebra, lecz urazy mózgu to nie moja dziedzina. Wykonałem kilka testów, żeby się przekonać, dlaczego nie możemy jej docucić. Niewiele się jednak dowiedziałem, wolałem odesłać ją czym prędzej do szpitala, w którym są odpowiedni specjaliści.

— Niedawno był tu jej znajomy — rzekł Brunetti. — Nikt go nie poinformował, że przewieziono ją do Wenecji.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Ktoś powinien to zrobić. Ale jak mówiłem, jest nas tylko troje.

— Ktoś powinien to zrobić — powtórzył komisarz. — Co jeszcze może mi pan powiedzieć o jej stanie?

— Nic. Musi pan spytać w Civile.

— Na jakim oddziale?

— Przypuszczam, że jest na intensywnej terapii. A przynajmniej powinna być.

Lekarz potrząsnął głową, ale czy ze zmęczenia, czy na myśl o obrażeniach Marii, tego Brunetti nie wiedział. Nagle drzwi się otworzyły, pchnięte od wewnątrz, i z korytarza wyłoniła się młoda kobieta w równie wygniecionym fartuchu.

— Dottore, jest pan potrzebny. — Jej głos zdradzał zdenerwowanie. — Szybko.

Lekarz odwrócił się i ruszył za kobietą, nawet nie żegnając się z Brunettim.

Komisarz i sierżant wrócili na przystań tą samą drogą, którą weszli do szpitala.

— Ospedale Civile, Montisi — rozkazał Brunetti, nie udzielając żadnych wyjaśnień.

Skierował się pod pokład. Siedział w kajucie, podczas gdy łódź pruła marszczące się wody laguny, i od czasu do czasu zerkał na Vianella, który opowiadał pilotowi o ich wizycie w szpitalu. Obaj potrząsali głowami, zde gustowani stanem publicznej służby zdrowia.

Kwadrans później łódź zatrzymała się przy Ospedale Civile i Brunetti znów polecił Montisiemu, żeby na nich czekał. Obaj z sierżantem wiedzieli, gdzie mieści się oddział intensywnej terapii, więc nie musieli błądzić w labiryncie korytarzy.

Przed drzwiami oddziału natknęli się na lekarza, z którym Brunetti był zaprzyjaźniony. Lekarz uśmiechnął się na widok komisarza.

— Buon giorno, Giovanni — powiedział Brunetti. — Szukam kobiety przywiezionej wczoraj z Lido.

— Tej z obrażeniami głowy? — spytał młody medyk. P — Tak. Jaki jest jej stan?

»? — Wygląda na to, że uderzyła głową najpierw o rower, fotem o ziemię. Ma ranę nad uchem. Jest w śpiączce, nie Jpóźna jej dobudzić.

Czy wiadomo... — zaczął Brunetti, po czym urwał, iy, o co właściwie chce spytać.

— Nie, nic nie wiemy, Guido. Może obudzić się dzi- Za miesiąc. Albo umrzeć. — Lekarz wsunął rękę do eni białej kurtki.

— Co się robi z takim przypadkiem? Co...

— Pytasz, co robimy my, lekarze?

Brunetti skinął głową.

— Badania, badania i jeszcze raz badania. Poza tym możemy się tylko modlić.

— Chciałbym ją zobaczyć.

— Widać same bandaże.

— Zależy mi.

— No dobrze. Ale ty jeden — rzekł lekarz, spoglądając na Vianella.

Sierżant bez słowa zawrócił do krzeseł stojących przy ścianie. Usiadł, podniósł gazetę sprzed dwóch dni i zaczął ją przeglądać.

Lekarz wprowadził komisarza na oddział; zatrzymał się przy trzecich drzwiach po lewej stronie korytarza.

— Jesteśmy przepełnieni, więc tu ją umieściliśmy. Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka.

Wszystko było znajome: zapach kwiatów i moczu, plastikowe butelki wody mineralnej na parapecie, nastrój beznadziejności. Z czterech łóżek tylko jedno było puste. Brunetti od razu zobaczył Marię: leżała przy ścianie na wprost wejścia. Wolnym krokiem zbliżył się do łóżka. Nawet nie zauważył, kiedy lekarz opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Stanął u wezgłowia i spojrzał na twarz Marii. Oczy miała tak podkrążone, że prawie nie widać było rzęs — zlewały się z kolorem skóry. Bandaże skrywały włosy, z wyjątkiem jednego czarnego kosmyka. Nos miała poplamiony na czerwono merkurochromem, którym posmarowano zadrapanie ciągnące się aż do brody. Czarne szwy, zaczynające się nad lewą kością policzkową, znikwały pod bandażami.

Przykryta cienkim niebieskim kocem, Maria wydawała się nie większa od dziecka, a jej sylwetka była dziwnie zniekształcona za sprawą grubych bandaży spowijających ramię i bark. Brunetti przez chwilę wpatrywał się w usta rannej, a gdy nie dostrzegł żadnego ruchu, przeniósł wzrok na klatkę piersiową. Początkowo nie był pewien, ale potem zobaczył, że koc unosi się lekko i opada. Odetchnął z ulgą.

Za jego plecami jedna z kobiet jęknęła, a druga, zaniepokojona tym dźwiękiem, krzyknęła: — Roberto!

Po paru minutach Brunetti wyszedł do holu, gdzie Vianello nadal czytał gazetę. Na widok komisarza poderwał się na nogi. Razem wrócili do łodzi i popłynęli na komendę.

Rozdział 9

Chociaż żaden nic na ten temat nie powiedział, obaj zgodnie postanowili nie tracić czasu na obiad. Kiedy przybyli na komendę, komisarz polecił sierżantowi tak ułożyć grafik, aby przed salą, w której leży Maria, w dzień i w nocy, poczynając od teraz, pełnił straż policjant.

Następnie Brunetti połączył się z komendą na Lido, przedstawił się, wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni, i zapytał, czy zdołali się czegoś dowiedzieć o sprawcy wypadku. Niestety. Nie mieli nic: ani świadków, ani informacji. Nikt nie zatelefonował, aby donieść o podejrzanym wgnieceniu na samochodzie sąsiada, choć w porannej gazecie był artykuł o potrąconej kobiecie i prośba, by ci, którzy cokolwiek widzieli, skontaktowali się z policją. Brunetti zostawił dyżurnemu na Lido numer telefonu, jeszcze raz podał swój stopień służbowy i powtórzył, aby koniecznie go o wszystkim informowano.

Szperając w biurku, znalazł kopie testamentów i własne notatki. Ponownie przeczytał testament Fausty Galasso, która zapisała cały majątek bratankowi z Turynu, w tym trzy mieszkania w Wenecji, dwie farmy w pobliżu Pordenone oraz oszczędności z trzech kont bankowych.

Adresy weneckich mieszkań nic mu nie mówiły, więc sięgnął po telefon i wykręcił z pamięci numer.

Odebrano po drugim dzwonku.

— Agencja nieruchomości Bucintoro — oznajmił kobiecy głos.

— Ciao, Stefania. Mówi Guido.

— Poznałam cię po głosie. Jak się masz? Nie, poczekaj, może najpierw mi powiesz, czy nie chciałbyś kupić pięknego mieszkania w Cannaregio. Sto pięćdziesiąt metrów, dwie łazienki, trzy sypialnie, jadalnia i salon ze wspianym widokiem na lagunę. No?

— Jaki jest haczyk? — spytał Brunetti.

— Ależ, Guido... — powiedziała z najwyższym oburzeniem, przeciągając pierwszą sylabę jego imienia tak, że przynajmniej trzykrotnie ją wydłużyła.

— Nie sposób się pozbyć obecnych lokatorów? Trzeba wymienić dach? Grzyb w ścianach? Zaległa krótka cisza, a potem w słuchawce rozległ się śmiech.

— Acqua alta — wyjaśniła Stefania. — Jeśli woda podnosi się o półtora metra, masz ryby w łóżku.

— W lagunie nie ma już ryb, moja droga. Wytruto Wszystkie.

— No to wodorosty. Ale wierz mi, to piękne mieszka- roe. Trzy lata temu kupiła je para Amerykanów i wydała fortunę na renowację, naprawdę setki milionów lirów, ale *|kt ich nie uprzedził o wodzie. Ubiegłej zimy, kiedy mie- y acqua alta, szlag trafił ich nowy parkiet, meble i dy- y warte z pięćdziesiąt milionów, a ściany wymagały

malowania. Wezwali architekta, który im szczerze powiedział, że nie da się zabezpieczyć mieszkania na przyszłość. Więc chcą je sprzedać.

— Za ile?

— Trzysta milionów.

— Za sto pięćdziesiąt metrów? — spytał Brunetti.

— Tak.

— Przecież to półdarmo!

— Wiem. Reflektujesz?

— Jak na taki metraż cena nie jest wygórowana. Z drugiej strony mieszkanie jest zupełnie bezwartościowe.

Stefania nie zaprotestowała.

— Masz już klienta? — spytał.

— Tak.

— Kto to?

— Para Niemców.

— Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że im opchniesz.

Ojciec Stefanii, o czym Brunetti dobrze wiedział, spędził trzy lata w niemieckim obozie.

— Jeśli nie szukasz mieszkania, to z czym dzwonisz? Czyżbyś potrzebował informacji?

— Stefania...! — zawołał śpiewnie Brunetti, rewanżując się przeciągnięciem drugiej sylaby jej imienia. — To już nie mogę zadzwonić do ciebie tylko dlatego, że pragnę usłyszeć twój słodki głos?

— Ty to umiesz zawrócić kobiecie w głowie! Ale pospiesz się, Guido! Co chcesz wiedzieć?

— Mam adresy trzech mieszkań i nazwisko poprzedniej właścicielki. Interesuje mnie, czy są wystawione na sprzedaż i jaka jest ich orientacyjna cena. A jeśli już je sprzedano, to za ile.

— Zajmie mi to ze dwa dni.

— Jeden. Błagam.

— Dobrze, jeden. No więc słucham.

Brunetti podał adresy mieszkań i wyjaśnił, że wszystkie trzy pozostawiła w spadku bratankowi kobieta nazwiskiem Galasso. Stefania zapisała informacje, po czym oznajmiła, że jeśli nie uda jej się sprzedać mieszkania Niemcom, liczy na pomoc Brunettiego w znalezieniu kupca. Komisarz obiecał mieć oczy i uszy otwarte; chciał dodać, że spróbuje namówić Pateę, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Kolejny testament należał do Renaty Cristanti, wdowy po Marcellu. Czymkolwiek signor Cristanti zajmował się za życia, musiał odnosić sukcesy, albowiem na majątek pozostawiony przez zmarłą składała się długa lista mieszkań, cztery sklepy oraz lokaty terminowe i inne oszczędności, warte w sumie pół miliarda lirów. Spadek przypadł w równych częściach jej sześciorgu dzieciom, które nie znajdowały czasu na to, żeby odwiedzać matkę w casa di cura.

Czytając testament, Brunetti nie mógł wyjść ze zdumienia, jak to możliwe, aby kobieta tak zamożna, w dodatku mająca sześcioro dzieci, trafiła pod koniec życia do 'mu opieki prowadzonego przez zakonnice, które ślubu- ubóstwo, a nie do ekskluzywnej, świetnie wyposażo- kliniki, w której mogłaby korzystać ze wszystkich nięć współczesnej geriatrici. Conte Crivoni pozostawił żonie mieszkanie, które zajmowała, a także dwa inne lokale oraz udziały i akcje, których wartość trudno było określić na podstawie samego testamentu. Innych spadkobierców nie było.

Tak jak powiedział signor da Pre, siostra pozostawiła mu wszystko, jeśli nie liczyć zapisu na rzecz casa di cura, który zdołał obalić. Ponieważ testament stwierdzał lakonicznie, że Augusta da Pre czyni brata wyłącznym spadkobiercą, i nie wyszczególniał, co konkretnie wchodzi w skład masy spadkowej, Brunetti nie był w stanie oszacować wielkości odziedziczonego przez karzełka majątku.

Podobnie nie mógł ocenić, ile wart był spadek, który otrzymała Benedetta Lerini; ojciec po prostu zapisał jej wszystko, nie wdając się w drobiazgowy opis.

Rozległo się brzęczenie interfonu.

— Tak, vice-questore?

— Chciałbym z tobą pomówić, Brunetti.

— Dobrze, już idę.

Od ponad tygodnia Patta znów kierował komendą, ale dotąd Brunettiemu udało się uniknąć spotkania z szefem. Dzień przed jego powrotem przygotował i złożył długi raport o tym, co robili poszczególni commissari podczas nieobecności vice-questore, nie wspominając jednak słowem o wizycie Marii Testy ani o rozmowach, które sam przeprowadził w następstwie spotkania z byłą zakonnica.

Signorina Elettra siedziała przy swoim biurku w niewielkim pomieszczeniu, z którego wiodły drzwi do gabinetu Patty. Tego dnia przyszła do pracy w ciemnoszarym kostiumie, bardzo kobiecym, choć skrojonym tak, że wydawał się parodią dwurzędowych prążkowanych garniturów, którym hołdował vice-questore. Podobnie jak Patta, do kieszonki na piersi wsunęła białą chusteczkę, a w jedwabny krawat wpięła złotą spinkę ozdobioną szlachetnym kamieniem.

— Postanowiłam sprzedać Fiata — rzekła do słuchawki, gdy Brunetti stanął w progu.

Zdziwiony, już chciał oznajmić, że nawet nie wiedział, iż Elettra ma samochód, kiedy dodała:

— A za pieniądze z tych akcji natychmiast kup mi tysiąc akcji tej niemieckiej firmy biotechnicznej, o której mówiłam ci w zeszłym tygodniu. — Uniosła dłoń, dając Brunettiemu znak, żeby poczekał, bo chce mu coś powiedzieć, zanim wejdzie do Patty. — I do końca dnia pozbądź się wszystkich moich guldenów. Znajomy zdradził mi, co holenderski minister finansów zamierza obwieścić jutro na spotkaniu gabinetu.

Osoba po drugiej stronie linii musiała zgłosić jakieś zastrzeżenia, bo Elettra oświadczyła gniewnie:

— Co z tego, że poniosę stratę! Pozbądź się ich, i już.

Rozłączywszy się, spojrzała na Brunettiego.

— Pozbywamy się guldenów? — spytał uprzejmym tonem.

f- — Tak. Panu radzę to samo.

Brunetti nie miał guldenów, ale skinieniem głowy podziękował za dobrą radę.

— Odpowiedni strój to połowa sukcesu, prawda?

lak to miło, że pan zauważył mój nowy kostium, imissario.

Wstała i wyszła zza biurka, tak by mógł również obejrzeć jej eleganckie skórzane buty w rozmiarze jak dla Kopciuszka.

— Bardzo ładny — pochwalił Brunetti. — W dodatku idealny do rozmowy z maklerem.

— Prawda? Niestety, mój makler to idiota. Sama muszę mu wszystko mówić.

— A co chciała pani powiedzieć mnie?

— Chciałam pana uprzedzić, że czeka nas wizyta policji szwajcarskiej.

Brunetti się uśmiechnął.

— Czyżby szef dowiedział się o pani tajnych kontaktach w tamtejszych bankach? — spytał, rzucając przesadnie ukradkowe spojrzenie w stronę gabinetu Patty.

Signorina Elettra, zaskoczona, otworzyła szeroko oczy, po czym zmrużyła je gniewnie.

— Nie, commissaño, wizyta ma związek z Komisją Europejską — oznajmiła chłodno. — Zresztą vice-questore Patta sam to panu wyjaśni.

Usiadła z powrotem przy biurku i odwróciła się twarzą do komputera, ostentacyjnie pokazując Brunettiemu plecy.

Komisarz zastukał do drzwi i wszedł, gdy tylko usłyszał głos Patty. Urlop posłużył szefowi. Jego klasyczny nos i władczy podbródek pokrywała opalenizna, która tym bardziej rzucała się w oczy, że w marcu wszyscy na ogół byli bladzi. Poza tym albo vice-questore zdołał zrzucić parę kilo, albo też krawcy w Bangkoku potrafili lepiej od londyńskich ukrywać nadwagę klientów.

— Dzień dobry, Brunetti — powiedział Patta całkiem uprzejmym tonem.

W głowie komisarza od razu rozległy się dzwonki ostrzegawcze; w odpowiedzi mruknął coś niewyraźnie pod nosem i usiadł nieproszony. Fakt, że Patta nie okazuje niezadowolenia, tylko utwierdził Brunettiego w przekonaniu, że powinien mieć się na baczności.

— Chciałbym zacząć od tego, że świetnie się spisałeś, kierując komendą pod moją nieobecność.

W mózgu Brunettiego włączyła się syrena alarmowa o takim natężeniu, że ledwo mógł się skupić. Skinął głową.

Podobnie jak Elettra, Patta wyszedł zza biurka, ale zaraz wrócił na miejsce. Usiadł w wysokim fotelu, jednakże sztuczna przewaga, jaką w ten sposób zyskał nad gościem, zaczęła mu przeszkadzać, bo po chwili wstał i przesiadł się na mniejszy fotel, stojący obok tego, który zajmował Brunetti.

— Wiesz, że mamy rok międzynarodowej współpracy policji, prawda?

, Tak się składało, że Brunetti nie miał o tym pojęcia. Co więcej, wcale go nie ucieszyła ta wiadomość, bo mogła oznaczać tylko dwie rzeczy: wystawienie na próbę jego cierpliwości i zbędną stratę czasu. |t — Wiesz czy nie? | — Nie.

— No więc mamy. Tak zdecydowała Komisja Unii Europejskiej — oznajmił Patta, a ponieważ komisarz nie wygłosił najmniejszego zainteresowania tym doniosłym wydarzeniem, spytał po chwili: — Nie jesteś ciekaw, na czym polegał nasz udział?

— Co znaczy „nasz”? — spytał rzeczowo Brunetti. 171

— No... Włoch, oczywiście — odparł vice-questore.

— We Włoszech jest wiele miast.

— Ale niewiele tak słynnych jak Wenecja.

— I o tak niskim wskaźniku przestępczości.

Patta umilkł na moment, żeby przetrwać słowa komisarza, po czym kontynuował takim tonem, jakby Brunetti od początku rozmowy tylko się uśmiechał i entuzjastycznie kiwał głową.

— W ciągu najbliższych miesięcy będziemy gościć u siebie szefów policji bliźniaczych miast.

— Czyli których?

— Londynu, Paryża i Berna.

— Przyjadą tu?

— Tak. Popracować razem z nami i poznać specyfikę pracy policyjnej w naszym mieście.

— Niech zgadnę, vice-questore. Mnie już wkrótce zwali się na kark szef policji berneńskiej, za co w rewanzu będę mógł potem złożyć wizytę w jego cudownym mieście, tej najbardziej podniecającej z europejskich stolic, podczas gdy pan zajmie się gośćmi z Paryża i Londynu, a następnie ich odwiedzi?

Jeśli nawet Pattę zdziwiło takie postawienie sprawy, nie dał tego po sobie poznać.

— Przylatuje jutro — oznajmił. — Zjemy we trzech obiad. A po południu pokażesz mi miasto. Możesz wziąć łódź policyjną.

— Zawieźć go do Murano na pokaz technik wydmuchiwanie szkła?

Patta skinął głową i już chciał pochwalić ten pomysł, Jtiedy nagle zdał sobie sprawę z ironii w tonie podwładnego.

— Do naszych obowiązków, Brunetti, należy również dbałość o własny image — rzekł, starając się wymówić ostatnie słowo z poprawnym angielskim akcentem, choć bynajmniej nie władał tym językiem.

Brunetti wstał.

— W porządku — powiedział, spoglądając z góry na wciąż siedzącego Pattę. — Coś jeszcze, vice-questore?

— Nie, chyba nie. Do zobaczenia jutro na obiedzie.

Rozdział 10

Kiedy Brunetti wyszedł z gabinetu Patty, signorina Elettra wciąż spiskowała przy komputerze. Odwróciła się jednak od ekranu i uśmiechnęła przyjaźnie do komisarza, co oznaczało, że wybaczyła mu już jego niestosowną uwagę o tajnych szwajcarskich kontaktach.

— No i co? — spytała.

— Mam pokazać miasto szefowi policji berneńskiej. Pewnie powinienem być wdzięczny, że Patta nie chce, aby facet u mnie zamieszkał.

— Dokąd go pan zabierze?

— Bo ja wiem? Przejdę się z nim po mieście, a potem przyprowadzę go tutaj. Może powinienem mu pokazać kolejki przed Ufficio Stranieri, żeby zobaczył, jaka masa ludzi stara się o kartę stałego pobytu.

Chociaż niechętnie się do tego przyznawał nawet sam przed sobą, Brunetti odczuwał pewien niepokój, ilekroć patrzył na tłum gromadzący się przed urzędem: w większości byli to młodzi mężczyźni z krajów niemających żadnych związków z kulturą europejską. Ale bez względu na to, w jak ostrożne słowa ubierał swe myśli, gnębiła go świadomość, że u ich podłoża leżą te same niskie instynkty, które stanowią pożywkę ksenofobów z przeróżnych le-ge obiecujących przywrócić Włochom etniczną i kulturalną czystość.

Signorina Elettra przerwała jego ponure rozważania.

— Może nie będzie tak źle, commissario. Szwajcarzy niejednokrotnie się nam przysłużyli. Brunetti się uśmiechnął.

— Może zdoła pani wyciągnąć z niego jakieś komputerowe hasła?

— Och, nie jestem pewna, czy zna takie, które mogłyby się nam przydać, commissario. Policyjne hasła są łatwo dostępne. Natomiast te naprawdę przydatne, umożliwiające wejście do danych bankowych... Nawet ja nie traciłabym czasu na próbę ich zdobycia.

v — Signorina, chciałbym panią o coś prosić — rzekł nagle, sam nie wiedząc, co mu podsunęło ten pomysł. ; •• — Tak, commissario? — spytała, sięgając po długopis. Zart o tajnych szwajcarskich kontaktach całkiem puściła w niepamięć.

— Chodzi mi o księdza z kościoła San Polo. Don Luciano, nazwiska nie znam. Mogłaby się pani dowiedzieć, czy kiedykolwiek miał kłopoty?

•— Kłopoty, commissario?

— Czy był aresztowany albo oskarżony o cokolwiek.

często zmienia miejsce pobytu. Tak, to ważne. Niech pani dowie, w jakiej ostatnio przebywał parafii i dlacze- Przeniesiono go tutaj.

"— Łatwiej byłoby uzyskać kody szwajcarskich ban- — mruknęła signorina Elettra.

— Słucham?

— Ciężko zdobyć tego rodzaju informacje.

— jeśli był aresztowany, powinien figurować w naszej kartotece.

— Takie rzeczy potrafią zniknąć, commissario — oznajmiła beznamiętnym tonem.

— Jakie rzeczy? — spytał zaintrygowany.

— Akta dotyczące aresztowań księży. Podobnie jak artykuły ukazujące ich w niekorzystnym świetle. Pamięta pan tę historię w dublińskiej łaźni? Temat błyskawicznie wyparował z gazet.

Brunetti przypomniał sobie wiadomość, która w ubiegłym roku pojawiła się w prasie, choć tylko na łamach „Ma-nifesto” i „L'U nita”. Irlandzki ksiądz umarł na zawał w łaźni dla gejów w Dublinie. Ostatniego namaszczenia udzieliło mu dwóch innych księży, którzy przebywali tam w tym samym czasie. Czytając artykuł, Paola dosłownie wyła z uciechy. Jednakże cała sprawa ucichła po jednym dniu, znikła nawet ze szpałt lewicowych dzienników.

— Trudno coś usunąć z policyjnej kartoteki.

Sekretarka uśmiechnęła się pobłaźliwie, zupełnie jak Paola, kiedy nie chciała przeciągać dyskusji.

— Znajdę nazwisko i wszystko posprawdzam — obiecała, przewracając stronę w notatniku.
— Coś jeszcze?

— Nie, to już wszystko — rzekł Brunetti, wychodząc z pokoju.

Odkąd przed kilku laty signorina Elettra zaczęła pracować na komendzie, zdołał przywyknąć do jej ironicznego stylu bycia, mimo to wciąż zdarzało się jej powiedzieć coś, co go zaskakiwało lub wprawiało w najwyższe zdumienie. Nigdy jednak nie odważył się prosić, żeby mu wytłumaczyła, co ma na myśli. Teraz też nie spytał, dlaczego zdobycie informacji o księżach uważa za tak trudne zadanie. Chociaż ani razu nie rozmawiali o religii i klerze, nie zdziwiłby się, gdyby jej poglądy nie odbiegały zbytnio od przekonań Paoli.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, porzucił rozważania na temat Elettry oraz Świętej Matki Kościoła i sięgnął po telefon. Wykręcił znajomy numer, a gdy po drugim dzwonku usłyszał w słuchawce głos Lele Bortoluzziego, przeprosił, że znów zawraca mu głowę doktorem Messinim.

— Skąd wiedziałeś, że już wróciłem, Guido?

— A wyjeżdżałeś?

— Tak, do Anglii. Miałem wernisaż w Londynie; przyleciałem wczoraj po południu i zamierzałem dziś do ciebie zadzwonić.

— Z jakimi wiadomościami? — spytał Brunetti, zbyt ciekaw, czego malarz zdołał się dowiedzieć, aby tracić czas na kurtuazyjną rozmowę dotyczącą wystawy.

— Wygląda na to, że Fabio Messini lubi kobiety.

— W przeciwieństwie do nas, tak? To miałeś na myśli?

Lele, który za młodu cieszył się opinią pogromcy damskich serc, parsknął śmiechem.

— Nie — zaprzeczył. — Chodzi mi o to, że Messini do tego stopnia lubi towarzystwo młodych kobiet, że gotów jest za nie płacić. W tej chwili ma dwie.

— Tak?

?— Tak. Jedną tu, w mieście, w pobliżu San Marco, płaci czynsz za jej czteropokojowe mieszkanie, a drugą na Lido. Żadna nie pracuje, obie ubierają się niezwykle elegancko.

— Sam?

— Co sam?

— Czy sam jeden je utrzymuje? — Brunetti nie chciał dosadniej formułować pytania.

— Hm, nie przyszło mi do głowy, żeby o to spytać — odparł Lele; z jego głosu przebijał żal, iż tego nie uczynił. — Podobno obie są bardzo piękne.

— Podobno? Kto tak uważa?

— Znajomi. — Malarz nie wdawał się w szczegóły.

— Co jeszcze mówią?

— Że Messini odwiedza każdą z nich dwa, trzy razy w tygodniu.

— Wspomniałeś, że ile gość ma lat?

— Nie wspomniałem, ale jest w moim wieku.

— No, no — mruknął Brunetti, a po chwili spytał: — A czy ci twoi znajomi mówili coś o jego domu opieki?

— Domach. Ma kilka — przypomniał Lele Bortoluzzi.

— Ile dokładnie?

— Chyba pięć, jeden w Wenecji i cztery na stałym lądzie.

Brunetti zamilkł i długo się nie odzywał.

— Guido, jesteś tam? — zaniepokoił się malarz.

— Tak, tak, jestem. Czy twoi znajomi wiedzą coś o tych domach?

— jedynie to, że we wszystkich pracują siostry z jakiegoś zakonu.

— Z zakonu Świętego Krzyża? — spytał Brunetti, gdyż właśnie temu zakonowi, temu samemu, z którego wystąpiła Maria Testa, podlegał dom opieki, w którym przebywała jego matka.

— Zgadza się.

— Skoro domy należą do człowieka świeckiego, czy to nie dziwne, że...

— Nie wiem, czy należą, czy on tylko nimi zarządza. W każdym razie jest dyrektorem wszystkich pięciu.

— Rozumiem — powiedział Brunetti, obmyślając następny krok. — Co jeszcze mówili twoi znajomi?

— Już nic — odparł nieco oschle malarz. — Czy pan komisarz jeszcze sobie czegoś życzy?

— Lele, przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy! Ale znasz mnie.

Faktycznie, Lele Bortoluzzi znał Brunettiego od pieluch.

— Nie przejmuj się, Guido. Wpadnij do mnie kiedyś, co?

Brunetti przyrzekł, że na pewno zajrzy, ale zapomniał o obietnicy, gdy tylko odłożył słuchawkę. Po chwili znów ją podniósł i polecił telefonistce, żeby znalazła numer San Leonardo Casa di Cura, mieszczącej się gdzieś w pobliżu Ospedale Giustiniani.

| Dwie minuty później rozmawiał z sekretarką doktora Messiniego; kobieta umówiła go na czwartą po południu. Ba spotkanie z dyrektorem domu opieki w sprawie przeniesienia tam matki komisarza, Reginy Brunetti.

Rozdział 11

Okolica, w której znajdował się Ospedale Giustiniani, nie była zbyt oddalona od mieszkania Brunettiego, ale nie leżała na trasie, którą najczęściej pokonywał. Odwiedzał tę część miasta tylko wtedy, gdy musiał płynąć na wyspę Giudecca albo czasem w niedzielę, kiedy wraz z Paolą wybierali się do Zattare, żeby posiedzieć na słońcu w jednej z nabrzeżnych kafejek.

To, co wiedział o tej okolicy, stanowiło taką samą mieszankę faktów i mitów jak niemal cała wiedza wenejcjan o swoim mieście: za tym murem rozciąga się ogród byłej gwiazdy filmowej, która wyszła za mąż za przemysłowca z Turynu; tam mieszka potomek Contradinich, o którym krążą pogłoski, że od pół wieku nie opuścił posiadłości; za tą bramą mieści się palazzo ostatniej dona Salva, która pojawiała się w operze tylko na premierach, zawsze siadała w łoży królewskiej i zawsze ubrana była na czerwono. Znał te mury i bramy tak, jak ludzie z innych krajów znają postaci z komiksów i kreskówek — i podobnie jak innym postaci z kreskówek, tak jemu te mury oraz bramy kojarzyły się z dzieciństwem i zupełnie innym światem.

Ale tak jak dzieci wyrastają z bajek i przestają się pasjonować przygodami Topolino i Braccio di Ferro, tak i Brunetti po paru latach pracy w policji przejrzał na oczy i poznał mroczną rzeczywistość kryjącą się za wieloma z tych murów. Była gwiazda nadużywała alkoholu, a przemyślowca z Turynu aresztowano dwukrotnie za znęcanie się nad żoną. Potomek Contradinich rzeczywiście od ponad pół wieku nie wystawił nosa poza posiadłość, ale to dlatego, że otaczał ją gruby mur najeżony kawałkami szkła, a on sam przebywał pod stałą opieką trzech służących, którzy nawet nie usiłowali wyprowadzić go z błędu, że Mussolini i Hitler wciąż utrzymują się u władzy, uratowawszy świat przed zalewem żydostwa. Natomiast dona Salva odwiedzała operę z jednego powodu: była święcie przekonana, że za pomocą wibracji kontaktuje się z nią duch matki, która zmarła w tej właśnie łóżce przed sześćdziesięcioma pięcioma laty.

Dom opieki stał za kolejnym wysokim murem. Jego nazwa — wraz z informacją, że odwiedziny można składać od dziewiątej do jedenastej we wszystkie dni tygodnia — wypisana była na mosiężnej tabliczce. Brunetti nacisnął dzwonek, po czym cofnął się kilka kroków; na szczycie muru nie dojrzał jednak kawałków szkła. Co prawda żadnemu z pensjonariuszy nie starczyłoby sił, żeby wspiać się tak wysoko, a jeśli chodzi o zabezpieczenie przed złodziejami... Cóż, starzy ludzie nie mieli już nic, co można by im odebrać — oprócz życia.

Drzwi otworzyła zakonnica w białym habicie, sięgająca komisarzowi zaledwie do ramienia. Schylił się odruchowo i rzekł:

— Dzień dobry, siostrzo. Jestem umówiony z doktorem Messinim.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Dottore bywa tylko w poniedziałki — oznajmiła.

— Rozmawiałem dziś rano z jego sekretarką. Powiedziała, żebym przyszedł o czwartej, jeśli chcę omówić sprawę przeniesienia mojej matki.

Zerknął na zegarek, żeby ukryć irytację. Zjawił się punktualnie o godzinie podanej przez sekretarkę, lecz ta najwyraźniej wprowadziła go w błąd.

Zakonnica się uśmiechnęła; dopiero teraz zorientował się, jaka jest młoda.

— Ach, więc zapewne oczekuje pana dottoressa Alberti, nasza wicedyrektor.

— Być może — zgodził się szybko.

Cofnęła się, żeby wpuścić Brunettiego na obszerny kwadratowy dziedziniec z zasłoniętą studnią pośrodku. Pąki na krzakach róż zaczynały się już rozwijać, a w powietrzu unosił się słodki zapach bzu.

— Pięknie tu — powiedział Brunetti.

— Prawda?

Zakonnica skierowała się do drzwi po przeciwnej stronie dziedzińca.

Kiedy szli przez zalane słońcem podwórze, nagle w cieniu długiego tarasu, który ciągnął się wzdłuż dwóch ścian budynku, Brunetti spostrzegł pensjonariuszy. Siedzieli w jednym rzędzie, sześć czy siedem osób na wózkach, nieruchomi, z oczami zapadłymi jak u świętych na greckich ikonach — zbiorowe memento moń. Mimo że przeszedł tuż koło nich, żaden ze starców nie zareagował, zupełnie jakby go nie widzieli.

Wewnątrz budynku ściany pomalowane były na wesoły jasnożółty kolor; mniej więcej na wysokości metra biegła wzdłuż nich poręcz. Podłogi lśniły nieskazitelną czystością, jeśli nie liczyć charakterystycznych czarnych śladów, pozostawionych gdzieś przez gumowe opony wózków inwalidzkich.

— Tędy, proszę — powiedziała młoda zakonnica, skręcając w korytarz po lewej.

Idąc za nią, Brunetti zdążył zauważyć salę bankietową z freskami na ścianach i żyrandolami; obecnie pełniła podobną funkcję co dawniej, bo właśnie tu jadano posiłki, tyle że piękne stare meble zastąpiły stoły o laminatowych blatach i krzesła z plastiku.

Zakonnica przystanąła przed zamkniętymi drzwiami i zastukała lekko; usłyszawszy przyzwalający głos, otworzyła je i wpuściła Brunettiego do środka.

Gabinet miał cztery wysokie okna; światło słoneczne odbite od odłamków miki w płytach, którymi wyłożony był 'dziedziniec, rzucało na ściany wręcz magiczny poblask. (Ponieważ biurko stało pod oknem, Brunetti w pierwszej chwili nie mógł dojrzeć wicedyrektorki. Dopiero gdy jego ^czy przywykły do jasności, zobaczył, że jest to tęga kobieta ubrana w ciemny fartuch.

— Dottoressa Alberti? — spytał, podchodząc nieco i zatrzymując się w cieniu rzuconym przez wąską jfcianę między dwoma oknami.

— Signor Brunetti? — Wicedyrektorka wstała zza biurka i ruszyła w stronę gościa.

Nie pomylił się: kobieta była prawie jego wzrostu i niemal dorównywała mu wagą, której spora część rozłożyła jej się na ramionach i wokół bioder. Okrągła rumiana twarz zdradzała pociąg do jedzenia i trunków; mały zadarty nos niezbyt do niej pasował. Największym atutem wice- dyrektorki były oczy, duże, szeroko rozstawione, w kolorze bursztynu. Ciemny fartuch okazał się z bliska obszerną wełnianą sukienką, całkiem udatnie skrywającą tuszę.

Kiedy podali sobie na powitanie ręce, Brunetti miał wrażenie, że dostał do potrzymania zdechłego szczura. Zdziwiło go, że tak rosła kobieta nie wie, co to normalny uścisk dłoni, podobnie zresztą jak wiele przedstawicielek jej płci.

— Bardzo mi miło — rzekł. — I cieszę się, że zechciała się pani ze mną spotkać.

— Musimy służyć naszej społeczności.

Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że powiedziała to zupełnie poważnie.

Usiadł przed biurkiem, podziękował, kiedy mu zaproponowała kawę, po czym wyjaśnił, że — tak jak mówił przez telefon sekretarce — razem z bratem zamierzają przenieść matkę do domu opieki San Leonardo, ale zanim podejmą ostateczną decyzję, pragną uzyskać nieco informacji.

— Nasz dom otwarto sześć lat temu, signor Brunetti. Poświęcił go sam patriarcha, a personel stanowią niezastąpione siostry z zakonu Świętego Krzyża.

Brunetti skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że poznał to po habitach zakonnicy, która go przyprowadziła.

— Jesteśmy instytucją mieszaną.

— Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, co to znaczy.

— To znaczy, że mamy pensjonariuszy, za których płaci państwo, i takich, którzy sami opłacają swój pobyt. W której grupie mieści się pańska matka?

Brunetti zmarnował wiele dni na załatwianie formalności, aby uzyskać to, co należało się matce z racji czterdziestu lat przepracowanych przez męża. Ale załatwił: koszty jej utrzymania pokrywała państwowa służba zdrowia.

— Płaciłaby za siebie — skłamał, szczerząc zęby do wicedyrektorki.

Dottoressa Alberti tak się rozpromieniła na tę wieść, że ^niemal zwiększyła swoją objętość.

— Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że nie wpływa to w najmniejszym stopniu na sposób, w jaki traktujemy naszych miłych podopiecznych. Musimy tylko wiedzieć, gdzie wysłać rachunki.

Brunetti pokiwał ze zrozumieniem głową.

— W jakim stanie zdrowia jest pańska matka?

— Dobrym. Całkiem dobrym.

Ta odpowiedź zainteresowała wicedyrektorę znacznie mniej niż poprzednia.

c — A kiedy pan i pański brat planujecie ją do nas przejeść?

— Przed końcem wiosny. Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

— Ale najpierw chciałbym zapoznać się z warunkami w tym domu.

— Oczywiście. — Dottoressa Alberti sięgnęła po cieką teczkę leżącą po lewej stronie biurka. — Tutaj znajdzie pan wszystkie niezbędne dane, signor Brunetti. Informacje o usługach oferowanych pensjonariuszom, wykaz personelu medycznego, krótką historię naszego domu oraz zakonu Świętego Krzyża, a także nazwiska naszych protektorów.

— Protektorów? — spytał uprzejmie Brunetti.

— Tak, członków naszej społeczności, którzy wyrazili się przychylnie na temat domu San Leonardo i pozwolili nam powoływać się na ich opinie. Rekomendacja tych ludzi stanowi gwarancję troskliwej opieki, jaką zapewniamy pensjonariuszom.

— Rozumiem. Oczywiście. — Brunetti zawahał się. — Czy cennik też tu znajdzie?

Nawet jeśli pytanie wydało jej się nietaktowne lub zbyt bezpośrednie, nie dała tego po sobie poznać; potwierdziła lekkim skinieniem.

— Czy mógłbym się rozejrzeć, dottoressa?

\Na twarzy kobiety odmalowało się zdumienie.

— To mi pozwoli się zorientować, czy nasza mama będzie tu szczęśliwa.

Skierował wzrok na półkę z książkami. Wolał, aby wicedyrektorka nie wyczytała z jego oczu kłamstwa, i to podwójnego: po pierwsze, nie zamierzał matki przenosić, po drugie, dobrze wiedział, że nigdy i nigdzie nie będzie już szczęśliwa.

— Naturalnie, signor Brunetti. Poproszę jedną z sióstr, żeby pokazała panu dom, a przynajmniej część pomieszczeń.

— To miło z pani strony, dołtoressa. — Wstał, uśmiechając się przyjaźnie.

Wicedyrektorka nacisnęła przycisk na biurku. Po chwili do gabinetu weszła bez pukania ta sama młoda zakonnica, która wprowadziła gościa.

— Siostrzo Klaro, proszę pokazać panu Brunettiemu świetlicę, kuchnię i któryś z pokoi prywatnych.

— Jeszcze jedno! — zawołał komisarz, jakby nagle sobie o czymś przypomniał.

— Tak?

— Mama jest osobą głęboko wierzącą. Bardzo pobożną. Jeśli to możliwe, chciałbym zamienić parę słów z matką przełożoną. — Widząc po minie rozmówczyni, że zamierza odmówić, dodał szybko: — Nie chodzi o to, żebym miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy mamę tu umieścić; słyszałem same pochwały na temat tego domu. Po prostu obiecałem jej, że porozmawiam z matką przełożoną. A przecież nie mogę staruszki okłamać...

Przybrawszy swój najbardziej chłopięcy uśmiech, spojrzał prosząco na wicedyrektorę.

— Nie jest to przyjęte... — Przeniosła wzrok na zakonnice. — Myśli siostra, że byłoby to możliwe?

Siostra Klara skinęła głową.

— Tak. Właśnie widziałam matkę przełożoną, jak wychodziła z kaplicy.

— A zatem może pan z nią chwilę porozmawiać — oświadczyła wicedyrektorka, zwracając się do Brunettiego-

go. — Siostrzo, proszę najpierw pokazać naszemu gościowi pokój pani Viotti, a potem zaprowadzić go do matki przełożonej.

Zakonnica ponownie skinęła głową i skierowała się do drzwi. Brunetti natomiast podszedł do biurka i wyciągnął rękę.

— Okazała mi pani niezwykle wyrozumiałość, dołtoressa. Serdecznie dziękuję.

Wicedyrektorka też wstała i podała mu dłoń.

— Naprawdę nie ma za co, signore. Gdyby miał pan jeszcze jakiegokolwiek pytania, proszę śmiało dzwonić. — Wzięła z biurka cieką teczkę i wręczyła ją Brunettiemu.

— Ach, oczywiście — rzekł i uśmiechnął się z wdzięcznością.

Przy drzwiach odwrócił się, żeby jeszcze raz podziękować, po czym ruszył za siostrą Klarą.

Na dziedzińcu skręcili w lewo i po chwili znów weszli do budynku. Szerokim korytarzem dotarli do dużej sali, w której siedziała garstka osób w podeszłym wieku. Dwie czy trzy prowadziły trudną do śledzenia rozmowę, powtarzając w nieskończoność te same kwestie. Kilka tkwiło bez ruchu, pogrążonych we wspomnieniach lub w żalu za minionymi latami.

— To świetlica — wyjaśniła, całkiem niepotrzebnie, siostra Klara.

Podeszła do jednej z pensjonariuszek i podniosła z podłogi pismo, które wypadło staruszce z ręki. Brunetti dosłyszał serdeczne słowa wypowiedane w dialekcie weneckim.

— Dom, w którym przebywa moja matka, też prowadzą siostry z zakonu Świętego Krzyża — powiedział w tym samym dialekcie, kiedy zakonnica do niego wróciła.

— Naprawdę? — spytała nie tyle z prawdziwym zainteresowaniem, ile raczej z zawodową uprzejmością. — Który to dom?

Brunetti miał wrażenie, że po latach kontaktów z pensjonariuszami taki sposób prowadzenia rozmowy po prostu wszedł jej w nawyk.

— Casa Marina w Dolo.

— A tak, nasze siostry od dawna tam pracują. Dlaczego chce pan umieścić mamę tutaj?

— Byłaby bliżej mnie i mojego brata. I nasze żony częściej by ją odwiedzały.

Skinęła głową, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak niechętnie ludzie odwiedzają osoby w podeszłym wieku, zwłaszcza jeśli nie są to ich rodzice.

Wyszli na korytarz i znów na dziedziniec.

— Przez kilka lat pracowała tam siostra, która została przeniesiona chyba właśnie tutaj — powiedział obojętnym tonem Brunetti.

— Tak? Jak się nazywa?

— SuorImmacolata — odparł, przypatrując się bacznie zakonnicy, żeby zobaczyć jej reakcję.

Z wrażenia aż się potknęła, ale może chodnik był w tym miejscu nierówny.

— Zna ją siostra?

Widział po jej minie, że ma ochotę skłamać.

— Tak — powiedziała i zaraz umilkła.

Brunetti udał, że nie dostrzega, jak bardzo się zmieszała.

— Była niezwykle dobra dla mojej matki. A matka ogromnie się do niej przywiązała.

Cieszymy się z bratem, że Suor'Immacolata jest tu, bo... bo jej obecność zawsze działała na matkę kojąco. Siostra wie, jak to jest ze starymi ludźmi. Czasami... — Nie dokończył zdania.

— A tu jest kuchnia — oznajmiła zakonnica, otwierając drzwi.

Brunetti rozejrzał się, próbując okazać zainteresowanie. Po inspekcji kuchni siostra Klara poprowadziła go schodami w przeciwnym kierunku.

— Kobiety mieszkają w tej części — wyjaśniła. — Si- gnora Viotti wyszła dziś z synem do miasta, więc może pan zobaczyć jej pokój.

Brunetti go korciło, by spytać, czy nie powinni mieć zgody staruszki, ale się powstrzymał. Przez chwilę szli długim korytarzem o pomalowanych na kremowo ścianach, wzdłuż których — tak jak i w całym domu — ciągnęły się poręcze.

Zakonnica otworzyła jedno z drzwi. Brunetti wsunął głowę do środka, pochwalił schludność i funkcjonalność wnętrza, po czym zawrócili do schodów.

— Zanim udam się do matki przełożonej, chciałbym się przywitać z Suor'Immacolatą — rzekł, dodając szybko: — O ile to możliwe, oczywiście. Nie chciałbym odrywać jej od obowiązków.

— Suor'Immacolata już tu nie pracuje. — W głosie siostry Klary wyczuwało się napięcie.

— Och, to przykra wiadomość! Mama będzie bardzo li zawiedziona. Brat również. — Westchnął z rezygnacją. —

No cóż, trzeba w pokorze kontynuować dzieło Pana tam, gdzie nas posyłają.

Zakonnica nic nie powiedziała.

— Czy skierowano ją do innego domu opieki, siostrze?

— Nie, jej już nie ma pośród nas.

Brunetti stanął i wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

— Umarła? Wielkie nieba, to straszne! — zawołał, po czym przypominając sobie o wymogach pobożności, szepnął: — Panie, miej litość nad jej duszą!

— Tak, Panie, miej litość nad jej duszą! — powtórzyli ją siostra Klara. — Suor'Immacolata została usunięta

z zakonu. Nie umarła. Jeden z pensjonariuszy nakrył ją na próbie kradzieży pieniędzy.

— Niewiarygodne!

— Kiedy chciał ją zatrzymać, przewróciła go na podłogę, łamiąc mu rękę w nadgarstku. A potem uciekła. Znikła. — Czy zawiadomiono policję?

H — Nie, chyba nie. Nie chcieliśmy wywoływać skandalu.

— Kiedy to miało miejsce? — Kilka tygodni temu.

— Hm. Uważam, że należało zawiadomić policję. Coś takiego nie powinno ujść nikomu na sucho. Nadużywanie zaufania starych ludzi i stosowanie wobec nich przemocy to rzeczy karygodne.

Siostra Klara nie skomentowała jego wypowiedzi. Po- odła go wąskim korytarzem, potem skręciła w prawo. Przystanęła przed ciężkimi drewnianymi drzwiami. Zastukała raz, a gdy ze środka rozległ się czyjś głos, weszła do pokoju, pozostawiając komisarza na zewnątrz. Pół minuty później wyłoniła się z powrotem.

— Matka przełożona przyjmie pana.

Brunetti podziękował jej uprzejmie.

— Permesso? — spytał, przekraczając próg.

Zamknął za sobą drzwi, aby nie ulegało wątpliwości, że zamierza tu spędzić przynajmniej chwilę.

Rozglądając się po pomieszczeniu, stwierdził, że jest niemal puste, jedyną ozdobę stanowił ogromny rzeźbiony krucyfiks wiszący na przeciwległej ścianie. Stała pod nim wysoka kobieta w zakonnym habicie, która wyglądała tak, jakby właśnie się dźwignęła z ustawionego przed krzyżem klęcznika. Drugi, mniejszy krzyż nosiła na piersi. Spojrzała na Brunettiego bez zainteresowania i bez entuzjazmu.

— Tak? — spytała chłodno, jakby przerwał jej wyjątkowo ciekawą rozmowę z dzentelmenem w przepasce na biodrach.

— Chciałem się zobaczyć z matką przełożoną.

— To ja. O co chodzi?

— Pragnę zasięgnąć nieco informacji na temat zakonu.

— W jakim celu?

— Żeby lepiej zrozumieć jego świętą misję — odparł beznamiętnym tonem.

Matka przełożona przeszła od krucyfiks do fotela o twardym oparciu, stojącego przy nierozpalonym kominku. Usiadła powoli i wskazała gościowi krzesło po lewej.

Przez dłuższy czas milczała; Brunetti, któremu nieobce były tego rodzaju taktyki, mające na celu skłonić rozmówcę, żeby zaczął mówić pierwszy, też milczał. Siedział bez słowa, wpatrując się w twarz zakonnicy; w jej ciemne oczy iskrzące się inteligencją i wąski nos, który wskazywał na arystokratyczne pochodzenie lub ascetyczny charakter.

— Kim pan jest? — zapytała w końcu.

— Commissario Guido Brunetti.

— Jest pan policjantem?

Skinął głową.

— Policja rzadko odwiedza klasztory — oświadczyła po chwili.

— Bo rzadko miewa powody.

— Co to znaczy?

— Dokładnie to, co powiedziałem, proszę matki. Przyczyną mojej obecności w tym miejscu są postęпки niektórych osób należących do zakonu.

— Jakie postęпки? — spytała kpiąco.

— Zniesławianie, szkalowanie dobrego imienia, nie- zgłoszenie przestępstwa; wymieniam tylko te, o których sam słyszałem i o których w razie potrzeby mogę zeznać w sądzie.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

I pewnie faktycznie nie miała.

— Jedna z pracujących tu osób powiedziała mi dzisiaj, że Maria Testa, była zakonnica, znana dawniej jako Suor'Immacolata, została usunięta z zakonu za próbę kradzieży. Co więcej, że przewróciła swoją ofiarę na podłogę i złamała jej nadgarstek. — Urwał, dając rozmówcy czas na odpowiedź, ale nie odezwała się. — Jeśli te wydarzenia istotnie miały miejsce, zostało popełnione przestępstwo; kolejnym przestępstwem było niezgłoszenie ich policji. Jeśli zaś nie miały miejsca, wówczas osoba, która mnie o nich poinformowała, jest winna zniesławienia, za co też może być pociągnięta do odpowiedzialności.

— A kto pana poinformował? Siostra Klara?

— Nieważne kto. Ważne jest to, że osoby należące do zakonu najwyraźniej sądzą, że coś takiego się wydarzyło. — Na moment umilkł. — A wydarzyło się?

— Nie — przyznała matka przełożona.

— Więc skąd ta plotka?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju. Nie był to szczególnie miły widok.

— Wie pan, jakie są kobiety; lubią plotkować, obmawiać jedna drugą.

Brunetti, który uważał, że mężczyźni są znacznie bardziej skorzy do wzajemnej obmowy niż kobiety, nie powiedział nic.

— Poza tym myli się pan, sądząc, że Suor'Immacolata jest byłą zakonnica. Wciąż ją wiążą złożone śluby. •— Wymieniła kolejno cnoty, które ślubują zakonnice, za każdym razem prostując jeden palec prawej dłoni: — Ubóstwo. Czystość. Posłuszeństwo.

— Skoro postanowiła odejść, jakim prawem nadal uważacie ją za członkinię zakonu?

— Bożym prawem! — odparła ostro matka przełożona. Z jej tonu wynikało, że w tej kwestii komisarz nie ma nic do gadania.

— Akurat to prawo nie ma żadnej mocy prawnej.

— Świadczy to tylko o tym, jak źle jest z naszym społeczeństwem.

— Owszem, pod wieloma względami nie jest najlepiej, ale na pewno nie dlatego, że społeczeństwo nie uznaje prawa zabraniającego dwudziestosiedmioletniej kobiecie zmienić decyzję, którą podjęła jako nastolatka.

... — Skąd pan wie, ile ona ma lat?

— Czy istnieje jakiś powód, dla którego matka twierdzi, iż Maria wciąż należy do zakonu? — zapytał Brunetti, ignorując pytanie.

— Ja nic nie twierdę — powiedziała głosem ociekającym sarkazmem. — Tak stanowi prawo boże. To Pan wybaczy jej grzech; ja tylko powitam ją znów pośród nas.

— Jeśli Maria nie zrobiła tego, co się jej zarzuca, dlaczego wystąpiła z zakonu?

— Nie znam osoby o tym imieniu. Znam Suor'Immacolatę.

— W porządku — zgodził się Brunetti. — Ale dlaczego porzuciła zakon?

— Zawsze była uparta, arogancka. Od początku niechętnie poddawała się woli boskiej i mądrości poleceń przełożonych.

— Domyślam się, że uważa matka te polecenia za równoznaczne z wolą boską?

— Może pan sobie żartować do woli, ale nie zna pan dnia ani godziny.

— Nie przyszedłem po to, żeby żartować, proszę matki. Przyszedłem się dowiedzieć, dlaczego Maria odeszła z domu opieki, w którym pracowała.

Zakonnica długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Brunetti zauważył, jak podnosi dłoń i bezwiednie zaciska ją na krzyżu wiszącym na piersi.

— Podobno... — zaczęła, ale nie dokończyła zdania. Spuściwszy wzrok, zobaczyła rękę zaciśniętą na krzyżu; cofnęła ją szybko i ponownie spojrzała na Brunettiego. — Nie słuchała poleceń, a kiedy wyznaczyłam jej pokutę za ten grzech, odeszła.

— Rozmawiała matka z jej spowiednikiem?

— Tak. Kiedy już odeszła.

— Powiedział matce, co mówiła?

Zakonnica przybrała oburzoną minę.

— Jak pan to sobie wyobraża? Tajemnica spowiedzi jest święta!

— Tylko życie jest święte — rzucił Brunetti, ale widząc, że zakonnica z trudem powstrzymuje się od ciętej riposty, pożałował swoich słów. — Dziękuję — rzekł, podnosząc się.

Nawet jeśli matkę przełożoną zaskoczyło nagłe zakończenie rozmowy, nie dała tego po sobie poznać. Brunetti podszedł do drzwi. Kiedy się odwrócił, żeby ją pożegnać, wciąż siedziała sztywno w fotelu, ściskając dłonią krzyż.

Rozdział 12

Wracając z casa di cura, Brunetti wstąpił do sklepu po wodę mineralną, toteż w domu zjawił się dopiero o wpół do ósmej. Ledwo otworzył drzwi, od razu się zorientował, że reszta rodziny jest w komplecie: z salonu dochodził śmiech Chiary i Raffiego, którzy oglądali coś w telewizji, a z gabinetu — głos Paoli towarzyszący operze Rossiniego.

Zaniósł butelki do kuchni, powiedział cześć dzieciom, po czym przeszedł korytarzem do gabinetu żony. Na półce stał mały odtwarzacz płyt kompaktowych; Paola siedziała obok, trzymając w dłoni kwadratową wkładkę z tekstem libretta, i śpiewała.

— Cecilia Bartoli? — spytał.

Spojrzała na niego zdumiona, że rozpoznał głos solistki, którą wspomagała swoim śpiewem — nie wiedziała, że Po prostu przeczytał nazwisko na obwolucie płyty z Cyrulikiem sewilskim, którą kupiła przed tygodniem.

— Skąd wiesz? — Z wrażenia zapomniała wtórować artystce, gdy ta rozpoczęła słynną arię Una voce poco fa.

— Mamy oko na wszystko — oznajmił i zaraz się poprawił: — A raczej ucho.

Paola wybuchnęła śmiechem.

— Och, w domu nie musisz być policjantem, Guido.

Zamknęła libretto i położyła je na biurku, po czym schyliła się i wyłączyła odtwarzacz.

— Myślisz, że dzieci dałyby się wyciągnąć gdzieś na kolację?

— Na pewno nie. Oglądają jakiś głupi film, który skończy się dopiero o ósmej. A poza tym coś już włożyłam do garnka.

— Co? — zainteresował się Brunetti.

— Gianni miał dziś przepiękną wieprzowinę.

— Świetnie! Z czym ją przyrządzisz?

— Z porcini.

— I podasz z polentą?

— No jasne — odparła z uśmiechem Paola. —

Nic dziwnego, że kałdun ci rośnie.

— Jaki kałdun? — Brunetti wciągnął brzuch. Nie zareagowała.

— Przecież wiesz, jest koniec zimy — dodał gwoli wyjaśnienia, a potem, chcąc odwrócić uwagę żony, a przy okazji i własną, od drażliwych tematów, zaczął opowiadać jej o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia, poczynając od telefonu Vittoria Sassiego.

— Oddzwoniłeś do niego?

— Byłem zbyt zajęty.
— To zrób to teraz.
Zostawiła go w gabinecie, żeby skorzystał z telefonu, a sama poszła do kuchni, by nastawić wodę na polentę. Pojawił się po kilku minutach.
— No i co? — spytała, podając mu kieliszek dolcetta.
— Dziękuję. — Pociągnął niewielki łyk. — Powiadomiłem go, dokąd przenieśli Marię i w jakim jest stanie.
— Co to za człowiek?
— Chyba dość porządny. Pomógł jej znaleźć pracę oraz miejsce w pensjonacie. I na tyle przejął się wypadkiem, że do mnie zadzwonił.
— A ten wypadek...?
— Diabli wiedzą, czy ktoś niechcący na nią najechał, czy specjalnie... — Znow wypił trochę wina.
— Myślisz, że chciano ją zabić?
Brunetti skinął głową.
— Dlaczego?
— To zależy, z kim się widziała po rozmowie ze mną. I co mówiła.
— Byłaby aż taka nieroztropna? — spytała Paola.
O Marii wiedziała niewiele, tylko to, co mąż opowiadał jej po powrocie z odwiedzin u matki. Zawsze chwalił oddanie i cierpliwość młodej zakonnicy, nie były to jednak informacje pozwalające stwierdzić, jak zachowałaby się w innej sytuacji.
— Nie zdałaby sobie sprawy, że postępuje nieroztropnie. Pamiętaj, że większość życia spędziła w zakonie.
— A co to ma do rzeczy?
— Jak to co? Maria nie zna ludzi, ich zachowań. Nie miała styczności ze złem, z oszustwami.
— Przecież pochodzi z Sycylii, nie?
— Kiepski żart.
— To wcale nie żart, Guido — oznajmiła urażona Paola. — Mówię poważnie. Skoro tam dorastała... — Odwróciła się od kuchenki. — W jakim wieku wstąpiła do zakonu?
— Mając piętnaście lat.
— A zatem, wychowując się na Sycylii, miała dostatecznie dużo czasu, żeby się dowiedzieć o istnieniu zła. Nie rób z niej świętej, Guido. Nie jest gipsową figurą, która rozpadnie się w pył przy pierwszej styczności z nieprawością lub nieodpowiednim zachowaniem.
— Pięć morderstw to coś więcej niż nieodpowiednie zachowanie — burknął Brunetti, nie kryjąc irytacji.
Paola nic nie powiedziała. Popatrzyła na męża, po czym wrzuciła sól do wrzącej wody.
— No dobrze, dobrze, wiem, że nie mam zbyt przekonujących dowodów.
Paola dalej bez słowa krzątała się przy kuchence.
— No dobrze, nie mam żadnych dowodów. Ale nie wydaje ci się podejrzane, że najpierw ktoś rozpusza o Marii plotkę, iż ukradła pieniądze i złamała rękę jednemu z pensjonariuszy, a potem nieznan sprawca ją potrąca i pozostawia w rowie?
Z otwartego opakowania stojącego przy kuchence Paola wzięła garść mąki kukurydzianej i ostrożnie zaczęła ją wsypywać do garnka, cały czas mieszając wrzątek.
— Mógł ją potrącić pijany kierowca — rzekła, nie przerywając czynności. — A kobiety żyjące samotnie niewiele mają do roboty poza plotkowaniem.
Brunetti wybałuszył oczy.
— I to mówisz ty, która uważasz się za feministkę? — spytał. — Ciekawe, co mówiąc o żyjących samotnie kobietach te, które nie uważają się za feministki.

— Ja nie żartuję, Guido. Mężczyźni czy kobiety, na jed- no wychodzi. — Przez chwilę w milczeniu mieszała wodę. — Jeśli jacyś ludzie skazani są wyłącznie na swoje towarzystwo, po pewnym czasie zaczynają o sobie wzajem plotkować. Zwłaszcza jeśli nie mają żadnych innych rozrywek.

— Takich jak seks? — spytał, licząc, że uda mu się ją zgorszyć albo rozbawić.

— Takich jak seks.

Skończyła wsypywać mąkę.

Brunetti zadumał się nad dotychczasowym przebiegiem rozmowy.

— Masz, pomieszaj, a ja tymczasem nakryję do stołu — powiedziała Paola, podając mu drewnianą łyżkę.

— Nie, ja nakryję. — Podeszedł do kredensu, żeby wyjąć talerze, kieliszki i sztućce. — Będzie sałatka?

Paola skinęła głową, więc wyjął również cztery miseczki.

— A deser?

— Na deser są owoce.

Zdjął z półki cztery talerzyki. Ustawił wszystko na stole, po czym usiadł i podniósł do ust kieliszek.

— No dobrze — rzekł, pociągając łyk. — Może wypadek rzeczywiście był niezamierzony i może to zwykły zbieg okoliczności, że w casa di cura krążą o Marii nieprzyjemne plotki. — Postawił na stole opróżniony kieliszek i napełnił go ponownie. — Naprawdę tak uważasz?

Paola zamieszała polentę, po czym oparła łyżkę na Parującym garnku.

— Nie. Myślę, że ktoś usiłował ją zabić. I specjalnie rozpuścił plotkę o próbie kradzieży. Sądząc z tego, co mi dotąd mówiłeś o Marii, to osoba niezdolna do kradzieży lub kłamstwa. I wątpię, żeby ktokolwiek, kto ją dobrze znał, mógł uwierzyć w te oszczerstwa. Chyba że usłyszałby wiadomość od kogoś cieszącego się dużym autorytetem. — Podniosła kieliszek i upiła nieco wina. — To zabawne, Guido, ale właśnie słuchałam o czymś bardzo podobnym.

— To znaczy?

— W Cyruliku jest taka wspaniała aria... tylko nie przerywaj; wiem, że w tej operze jest wiele wspaniałych arii... Chodzi mi o scenę, kiedy nauczyciel muzyki, Bazylio, mówi o una calunnia, o tym, jak oszczerstwo, raz wypowiedziane, rozrasta się i rozrasta, aż obmawiana osoba... — W tym momencie Paola zaskoczyła męża; nabrała w płuca powietrza i ostatnie słowa basowej arii wyśpiewała dzwicznym sopranem: — Awilito, calpestatto, sotto il pubblico flagello per gran sorte va a crepar.

Zanim skończyła, w drzwiach kuchni pojawiły się dzieci, ze zdumieniem spoglądając na matkę.

— Ależ, mamma, nie miałam pojęcia, że umiesz tak śpiewać! — wyjąkała Chiara.

— Zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego o ludziach, nawet o tych, których w naszym mniemaniu znamy doskonale — oznajmiła Paola.

Mówiąc to, patrzyła jednak nie na córkę, lecz na męża.

Pod koniec posiłku doszło do rozmowy o szkole i jak rano prowadzi do nocy, tak podjęty wątek doprowadził do pytania o lekcje religii.

— Chciałabym przestać na nią chodzić — powiedziała Chiara, biorąc jabłko z miski stojącej na środku stołu.

— Nie rozumiem, po co przy tym obstajecie — wtrącił się Raffi. — Przecież to zwykła strata czasu.

Paola nie zaszczyciła wypowiedzi syna żadnym komentarzem.

— Dlaczego, Chiaro? — zapytała.

Córka wzruszyła ramionami.

— Czyżby odjęło ci mowę?

— Och przestań, mamma\ — zawołała. — Kiedy mówisz do mnie tym tonem, wiem, że i tak nie będziesz słuchać tego, co powiem.

— A jakim to tonem mówię do ciebie, moja droga?

— Właśnie takim!

Paola spojrzała na swoich mężczyzn, oczekując wsparcia w obliczu tego niezasłużonego ataku, ale obaj patrzyli na nią z wyrzutem. Chiara obierała jabłko, koncentrując się na tym, żeby nie przerwać paska skórki, który — po rozprostowaniu — sięgałby już drugiego końca stołu.

— Przepraszam, Chiaro — powiedziała Paola.

Córka tyknęła na nią spod oka, odcięła pasek, po czym odkroiła kawałek jabłka i położyła matce na talerzu.

Brunetti postanowił podjąć przerwane negocjacje.

— Dlaczego nie chcesz chodzić na religię, Chiaro? — spytał.

— Raffi ma rację. To strata czasu. Już pierwszego tygodnia nauczyłam się na pamięć katechizmu, a ksiądz wciąż tylko z tego nas odpytuje. Nudzę się jak mops, wołałabym w tym czasie poczytać albo odrobić pozostałe lekcje. Najgorsze jest to, że ksiądz denerwuje się, kiedy zadajemy pytania.

— Jakie pytania? — Brunetti zastrzygł uszami.

Wzięła od córki ostatni kawałek jabłka. Chiara natychmiast sięgnęła po następne.

— No, na przykład dziś — zaczęła, skupiając uwagę na nożu. — Kiedy mówił o Bogu, o Bogu Ojcu, podniosłam rękę i zapytałam, czy Bóg jest duchem. Ksiądz odpowiedział, że tak. Więc spytałam, czy duch nie różni się tym od człowieka, że nie jest bytem cielesnym, materialnym. Ksiądz potwierdził. Więc spytałam, dlaczego przyjmuje się, że Bóg jest mężczyzną, skoro nie ma ciała ani nic.

Nad pochyloną głową córki Brunetti zerknął w stronę Paoli, ale nie zdążył ujrzyć triumfalnego uśmiechu na twarzy żony.

— I co odpowiedział Don Luciano?

— Och, wściekł się i zaczął na mnie krzyczeć. Powiedział, żebym się nie wymądrzała. — Chiara wbiła oczy w ojca, na moment zapominając o jabłku. — Ale ja się wcale nie wymądrzałam, papa. Słowo daję! Po prostu byłam ciekawa. Bo to nie wydaje się logiczne. Przecież Bóg nie może jednocześnie być duchem i nie-duchem. Czy może?

— Nie wiem, kochanie, minęło sporo czasu, odkąd sam uczyłem się tych rzeczy. Pewnie Bóg może być tym, czym chce. Może jest tak potężny, że cała nasza wiedza o bycie materialnym i wszystkie prawa rządzące naszym małym wszechświatem nie mają dla niego żadnego znaczenia. Zastanawiałaś się nad tym?

— Nie, nigdy — przyznała Chiara, odsuwając talerz. Zamyśliła się na moment, po czym rzekła: — To możliwe. — Znów się zamyśliła. — Mogę iść odrobić lekcje?

— Oczywiście. — Brunetti zmierzwił córce włosy. — Jeśli będziesz miała kłopoty z matematyką, przyjdź do mnie.

Chiara wybuchnęła śmiechem.

— I co zrobisz, papa? Powiesz, że niestety dzisiejsze zadania różnią się od tych, które ty rozwiązywałeś w szkole?

— Czy kiedykolwiek mówię co innego, cara?

— Nigdy. I na nic innego nie mogę liczyć, prawda?

— Zgadłaś — powiedział Brunetti, odsuwając krzesło.

Rozdział 13

Ponieważ nie mógł uniknąć tematu religii zarówno w domu, jak i w pracy, tego wieczoru Brunetti postanowił poczytać tom pism wczesnych Ojców Kościoła, choć nie była to lektura, po jaką zwykle sięgał. Zaczął od Tertuliana, ale zdegustowany jego tyradami, szybko

przeszedł do kolejnego tekstu. I zaraz trafił na następującą myśl: „Grzeszy ten, kto w uniesieniu miłosnym tak chutliwie własną żonę chędoży, iż pragnąłby się z nią gzić nawet wówczas, gdyby mu zaślubiona nie była”.

— Gzić? — Uniósł głowę znad tekstu.

Pytanie sprawiło, że Paola, która siedziała obok niego, na wpół drzemiąc nad notatkami na jutrzejsze zajęcia, ocknęła się.

— Co?

— Jak to możliwe, że pozwalamy tym ludziom uczyć nasze dzieci? — zapytał Brunetti, po czym przeczytał żonie fragment, który go zirytował.

Nie tyle zobaczył, ile poczuł, jak Paola wzrusza ramionami.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał.

— Ze głodnemu chleb na myśli. Człowiek, który się

chudza, bez przerwy myśli o jedzeniu, palacz pozbawiony papierosów marzy tylko o tym, żeby zapalić. Więc to ihyba naturalne, że ludzie, którym zakazano uprawiania Seksu, sfiksowali na tym punkcie. Szczytem głupoty jest •danie im władzy, aby mogli dyktować innym, jak ma wyglądać ich życie płciowe. To tak, jakby kazać ślepcom uczyć historii sztuki. v.. — Dlaczego nigdy wcześniej mi tego nie mówiłaś?

— Bo zawarliśmy ugodę. Obiecałam, że nie będę się Wtrącać do religijnej edukacji dzieci.

— Ale to są brednie! — zawołał, uderzając pięścią w otwartą książkę.

v — Pewnie, że brednie — oznajmiła spokojnie. — Podobnie jak większość spraw, z którymi młodzież styka się na ulicy.

— Nie rozumiem.

— Reklamy klubów erotycznych, oferty seksu przez telefon. Cały ten szajs i belkot tego szaleńca... — wskazała pogardliwie książkę, którą trzymał — ...to dwie strony jednego medalu. W obu wypadkach seks stał się obsesją. — Wróciła do notatek.

Brunetti się zamyślił.

— Ale... — poczekał, aż Paola znów na niego spojrzy. — Czy na lekcjach religii rzeczywiście uczą ich takich bzdur?

— Nie wiem, Guido; tę sferę życia pozostawiam tobie. To ty twierdziłeś, dokładnie pamiętam twoje słowa, że dzieci powinny dogłębnie poznać dziedzictwo kulturowe Zachodu. A pisma mądrali, którego złotą myśl przytoczyłeś mi przed chwilą, niewątpliwie stanowią część tego dziedzictwa.

— Przecież nie mogą uczyć dzieciaków czegoś takiego!

Paola wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Spytaj Chiare — powiedziała i znów pochyliła się nad notatkami.

Brunetti postanowił, że uczyni to nazajutrz z samego rana. Wciąż gotował się w środku, ale ponieważ Paola najwyraźniej nie chciała kontynuować rozmowy, zamknął tom pism kościelnych, po czym ze stosu książek piętrzącego się przy kanapie wziął Dzieje wojny żydowskiej Józefa Flawiusza. Doszedł do opisu oblężenia Jerozolimy przez wojska Wespazjana, kiedy zadzwonił telefon.

Komisarz wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

— Brunetti — powiedział.

— Commissario, mówi Miotti.

— Tak, Miotti, o co chodzi?

— Uznałem, że powinienem do pana zadzwonić.

— W jakiej sprawie?

— Jedna z osób, które pan odwiedzał z sierżantem Vianellem, nie żyje.

— Kto?

— Signor da Pre.

— Co się stało?

— Nie jesteśmy pewni.
— Jak to nie jesteście pewni?
— Może byłoby najlepiej, gdyby sam pan tu przyjechał, commissario.
— Tu? Czyli gdzie? \ — Do jego mieszkania, commissario. Mieści się...
— Znam adres — przerwał mu Brunetti. — Co się i wydarzyło?
— W mieszkaniu piętro niżej woda zaczęła kapać z su- i, więc sąsiad pobiegł na górę, żeby zobaczyć, co się !eje. Miał klucz, wszedł do środka i znalazł da Pre leżą- go na posadzce w łazience.
s., — Nie żył?
— Wygląda na to, że upadł i skręcił kark, commissario.
Brunetti czekał na dalsze informacje, ale ponieważ ' słuchawce zaległa cisza, rzekł:
— Zadzwoń po doktora Rizzardiego.
— Już to zrobiłem, commissario.
— Dobrze. Będę za dwadzieścia minut. — Brunetti tozłączył się i zerknął na Paolę, która przerwała czytanie, |iaciekawiona usłyszczanymi strzępami rozmowy. — Chodzi > da Pre. Upadł i skręcił kark. W — To ten mały garbus, tak?
— Tak.
Jej reakcja była natychmiastowa.
— Biedak, co za potworny pech! Brunetti milczał przez chwilę. ?— Może i pech — powiedział w końcu. Różnica w ich wypowiedziach wynikała nie tylko z od- ennych charakterów; przez komisarza przemawiała żarowa podejrzliwość. Ale Paola nie skomentowała słów za, jedynie spojrzała na zegarek.
— Już prawie jedenasta.
Brunetti rzucił Józefa Flawiusza na Ojców Kościoła i wstał z kanapy.
— Więc zobaczymy się dopiero rano.
Paola pogładziła go po ręce.
— Weź szalik, Guido. Noc może być zimna.
Pochylił się i pocałował Paolę w czubek głowy, po czym udał się do przedpokoju; włożył płaszcz, zgodnie z przykazaniem żony owinął szyję szalikiem i wyszedł z domu.
Kiedy zbliżał się do budynku, w którym mieszkał da Pre, na wprost drzwi wejściowych zobaczył policjanta w mundurze. Funkcjonariusz zasalutował na widok komisarza, a gdy ten spytał go o doktora Rizzardiego, odpowiedział, że lekarz zdążył już przyjechać.

Inny mundurowy policjant, Corsaro, stał w otwartych drzwiach na drugim piętrze. Zasalutował i odsunął się, żeby przepuścić komisarza.
— Dottor Rizzardi jest w środku — rzekł.
Brunetti ruszył na koniec mieszkania, skąd docierały męskie głosy. Wszedł do pogrążonego w półmroku pokoju, który najwyraźniej był sypialnią, albowiem przy jednej ścianie znajdowało się niskie łóżko, niewiele większe od dziecięcego. Nagle poczuł, że stąpa po czymś miękkim i mokrym. Stanął jak wryty.
— Miotti! — ryknął.
W drzwiach na końcu sypialni pojawił się młody policjant.
— Tak, commissario?
— Zapal światło.
Pokonując irracjonalny strach, że stoi w kałuży krwi, Brunetti zmusił się, by spojrzeć w dół. Odetchnął z ulgą, Jjiedy się przekonał, że pod nogami ma dywan nasiąknięty wodą, która przelała się przez próg. Po chwili wsunął głowę do jasno oświetlonej łazienki, skąd dochodziły odgłosy krzątania.

Ujrzał doktora Rizzardiego dokładnie w tej samej pozie, w jakiej widywał go mnóstwo razy: pochylonego nad nieruchomym ciałem nieboszczyka.

Zorientowawszy się, że Brunetti wszedł do łazienki, lekarz podniósł się. Już wyciągał na powitanie rękę, kiedy zobaczył, że wciąż jest obleczona cienką gumową rękawiczką. Zdjął ją i dopiero wtedy przywitał się z komisarzem.

— Buona sera, Guido.

Patolog nie uśmiechnął się, zresztą uśmiech nie byłby w stanie złagodzić jego surowych, ascetycznych rysów. Zbyt częsty kontakt z gwałtowną śmiercią we wszystkich możliwych odmianach sprawił, że nos Rizzardiego się wyostrzył, a policzki zapadły; patrząc na jego twarz, odnosiło się wrażenie, iż jest wyrzeźbiona w marmurze, a każdy zgon, z którym lekarz miał styczność, odłupywał z niej kolejną drobinę kamienia.

Rizzardardi odsunął się, żeby nie zasłaniać wyciągniętych na posadzce zwłok. Da Pre po śmierci wydawał się jeszcze mniejszy niż za życia; w porównaniu z nim lekarz i komisarz byli olbrzymami. Leża! na wznak, z głową dziwnie przekrzywioną w bok i zawieszoną w powietrzu; przypominał jakąś osobliwą odmianę żółwia w ludzkim ubraniu, którego okrutni chłopcy położyli na grzbiecie i tak zostawili.

— Co się tu stało? — zapytał Brunetti.

Zauważył, że nogawki spodni lekarz ma przemoczone od kolan do mankietów. I nagle sam poczuł wilgoć w butach. Podłogę w łazience wciąż pokrywała półcentymetrowa warstwa wody.

— Hmm, pewnie odkręcił kran, żeby napuścić wody do wanny, po czym poślizgnął się na posadzce.

Brunetti spojrział na wannę; woda zdążyła już wyciec. Okrągły czarny korek z gumy leżał przy otworze spustowym. Komisarz przeniósł wzrok na nieboszczyka. Da Pre miał na sobie garnitur, koszulę i krawat, ale był boso — widocznie zdjął buty i skarpetki przed wejściem do łazienki.

— Poślizgnął się gołą stopą?

— Tak przypuszczam.

Brunetti wycofał się z łazienki. Patolog, który zakończył już swoje czynności, wyszedł za nim. Stojąc w sypialni, komisarz rozglądał się dokoła, chociaż sam nie wiedział, czego szuka. Ciężkie kotary szczelnie zasłaniały okna, skutecznie zabezpieczając wnętrze przed chłodem nocy. Obrazy na ścianach wyglądały tak, jakby powieszono je kilkadziesiąt lat temu i więcej się nimi nie interesowano. Wyblakłe barwy przemoczonego perskiego dywanu świadczyły o jego starości. Na skraju łóżka leżał jedwabny czerwony szlafrok; nieco dalej, gdzie woda nie zdążyła dojść, stały równo obok siebie dwa maleńkie buty, a na nich spoczywała para złożonych ciemnych skarpetek.

III

w

??w

Sii: i ! ' * .1 l(1 r

l

w;

'i 'i

???'?!; '-i-

hi

Brunetti przeszedł przez pokój i schylił się po buty. Trzymając skarpetki w jednej ręce, drugą obrócił obuwie

eszwami do góry. Czarna guma była gładka i lśniąca i^k w pantoflach, które nosi się wyłącznie po domu. Nie «l|8uważył żadnych śladów zużycia oprócz niewielkich otarć na tylnej krawędzi obcasów. Odstawił buty na miej- tśce, a na nich położył z powrotem skarpetki. i'.», — Pierwszy raz widzę, żeby ktoś zginął w ten spo- lób — rzekł Rizzardi.

— Przed laty był film o człowieku, który cierpiał na słoniowaciznę. Pamiętasz? Chyba też się tak zabił.

Lekarz potrząsnął głową.

— Filmu nie widziałem, ale oczywiście czytałem o tego rodzaju wypadkach. Ludzie, którzy tak upadają, łamią sobie kręgi... ale raczej nie szyjne. — Umilkł i spojrzał § gdzieś w bok.

Brunetti domyślił się, że patolog usiłuje sobie przypomnieć, czy faktycznie nigdy nie trafił na taki opis w lite- taturzc fachowej. Xi — Nie, szyjne też — oznajmił po chwili Rizzardi. — Zdarza się bardzo rzadko, ale jednak się zdarza.

— Może więc to złamanie okaże się na tyle ciekawe, jffe twoje nazwisko trafi do podręczników medycyny — „J? izekł bez cienia ironii Brunetti.

% — Kto wie? — Lekarz podszedł do czarnej torby, któ- v;| tą pozostawił na stoliku przy drzwiach. Wrzucił do niej H gumowe rękawiczki, po czym ją zatrzasał. — Zajmę się A Bim z samego rana, Guido, ale przypuszczam, że nie odżyję nic, czego bym nie wiedział już teraz. Po prostu kiedy się poślizgnął, głowa poleciała mu do tyłu z taką siłą, nastąpiło złamanie kręgów szyjnych.

— Śmierć była natychmiastowa?

— Tak sędzę; złamanie jest czyste. Podejrzewam, że poczuł wstrząs, kiedy upadł na plecy, ale nie zdążył poczuć już bólu.

Brunetti skinął głową.

— Dzięki, Ettore. Ale na wszelki wypadek zadzwonię do ciebie. Może jednak coś znajdziesz.

— W porządku. Tylko nie przed jedenastą — powiedział patolog, znów podając komisarzowi dłoń, tym razem na pożegnanie.

Po chwili Brunetti usłyszał, jak lekarz mówi coś do Miottiego, potem dobiegł go odgłos zamykanych drzwi. Parę sekund później do sypialni wkroczył młody policjant, a za nim ekipa techniczna: Foscolo i Pavese.

Brunetti przywitał ich skinieniem głowy.

— Chcę mieć wszystkie odciski, jakie uda się wykryć, zwłaszcza w łazience i zwłaszcza wokół wanny. A także zdjęcia zrobione z wszelkich możliwych stron.

Usunął się w bok, żeby technicy mogli zajrzeć do łazienki.

Pavese postawił walizkę w suchym rogu pokoju, wyjął z niej części statywu i zaczął je składać. Tymczasem Brunetti opadł na kolana, nie przejmując się tym, że zamoczy spodnie. Wsparłszy się na obu rękach, schylił się nisko i przekrzywił głowę, żeby lepiej widzieć podłogę tuż przed wejściem do łazienki.

— Postaraj się znaleźć suszarkę do włosów i osusz podłogę na tym odcinku — polecił Foscolowi, wskazując, o które miejsce mu chodzi. — Tylko przypadkiem jej nie ieraj! A ty — zwrócił się do Pavese — obfotografuj dokładnie.

— Po co, commissario? — zapytał fotograf.

— Chcę się przekonać, czy nie ma żadnych śladów dczących o tym, że faceta wciągnięto do łazienki.

— Podejrzewa pan, że ktoś go załatwił? — Pavese za- tł mocować aparat do statywu.

f Brunetti bez słowa wskazał na drobne zadrapania, le-

Ipbw) widoczne pod cienką warstwą wody.

— Tu. I jeszcze tu.

I|;t — Na pewno ich nie przeoczę, commissario. Może pan być spokojny.

IV — Dzięki. — Brunetti podniósł się z klęczek i popatrzył na Miottiego. — Masz gumowe rękawiczki? Bo zapomniałem zabrać.

Miotti wyjął z kieszeni marynarki niedużą foliową torbę z rękawiczkami. Rozerwał ją i podał komisarzowi jedną parę, drugą włożył sam.

— Gdyby pan powiedział, commissario, czego szukamy...

— Nie wiem. Czegoś, co by przemawiało za tym, że ktoś go zabił albo miał ku temu powód.

Miotti skinął głową. Brunettiemu spodobała się reakcja młodego policjanta, bo przecież odpowiedź, której mu ielił, była mało konkretna.

Komisarz wszedł do salonu, w którym nie tak dawno tonu on i Vianello rozmawiali z da Pre. Tabakierki wciąż cieleły każdą płaską powierzchnią. Brunetti zbliżył się kredensu i wyciągnął jedną z szuflad w jego środkowej

części. Zobaczył rzędy małych pudełeczek: niektóre, owinięte w watę, wyglądały jak prostokątne jaja w białych gniazdach. Druga i trzecia szuflada też zawierały tabakierki. Dopiero w najniższej były papiery. Na wierzchu leżała brązowa koperta wypełniona starannie posegregowanymi dokumentami. Jednakże papierów pod nią nikt nigdy nie próbował uporządkować: leżały ciśnięte byle jak, jedne tekstem do góry, inne tekstem do dołu, niektóre złożone w pół, inne na czworo. Brunetti wyjął wszystko, i kopertę, i luźne kartki, ale nie miał gdzie ich przejrzeć, bo każdy kąt zajmowały tabakierki.

W końcu zaniósł papiery do kuchni i rozłożył na drewnianym stole. Nie zdziwił się, widząc, że dokumenty w brązowej kopercie dotyczą tabakierek: były to głównie kopie listów wysłanych przez da Pre do antykwariuszy i kolekcjonerów z zapytaniem o wiek, pochodzenie i cenę okazów wystawionych na sprzedaż oraz rachunki za setki małych pudełeczek, często kupowanych w partiach po dwadzieścia sztuk i więcej.

Brunetti odłożył kopertę i zaczął przeglądać pozostałe dokumenty. Jeśli liczył, że trafi choć na jeden, który uzasadniłby jego podejrzenia co do śmierci małego człowieczka, spotkał go srogi zawód. Oprócz rachunków za elektryczność i garści pism urzędowych, takich jak list od właściciela domu, w którym da Pre mieszkał poprzednio, znalazł reklamę sklepu meblowego w Vicenzie, wyrwany z gazety artykuł o następstwach długotrwałego zażywania aspiryny oraz ulotkę podającą skutki uboczne różnych środków przeciwbólowych.

My Brunetti przeszukał dokładnie kuchnię, po czym wrócił do sypialni. Fotograf i specjalista od daktyloskopii zajmowali się innymi pomieszczeniami. Od czasu do czasu dochodziły go odgłosy ich pracy lub kątem oka widział błysk flesza. Mimo wysiłków nie znalazł jednak nic, co by gwiadczyło o tym, że śmierć da Pre spowodowała cokolwiek innego niż nieszczęśliwy wypadek. Miotti przejrzał pudło starych pism i gazet, ale też nie wpadł na żaden trop.

Wkrótce po pierwszej pozwolono sanitariuszom zabrać ciało; o drugiej ekipa techniczna zakończyła prace. Brunetti z Miottim, którzy skrupulatnie przeszukali każdy kąt, odłożyli na miejsce papiery. Chcieli zostawić wszystko w idealnym porządku, ale nie umieli sobie poradzić z setkami tabakierek, które Foscolo poprzesuwał, poprzestawiał lub poukładał na podłodze, kiedy posypywał je białym proszkiem. Wreszcie Brunetti się poddał; zdjął rękawiczki i powiedział Miottiemu, żeby zrobił to samo.

Kiedy Foscolo i Pavese zobaczyli, że komisarz szykuje się do wyjścia, zaczęli pakować pośpiesznie torby, futerały, kasetki i pędzle, chcąc uwolnić się od tych koszmarnych pudełeczek, które kosztowały ich tyle godzin pracy.

Brunetti rzucił na odchodne Miottiemu, że nie musi pojawiać się na komendzie przed dziesiątą, podejrzewał jednak, że młody policjant i tak stawi się o ósmej, albo nawet wcześniej.

Na ulicy z miejsca poczuł, jak wilgotna mgła oblepia mu twarz. Była głucha noc, wszyscy spali. Komisarz owieszony szalikiem i ruszył do przystanku Accademia, ale ; kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że poprzedni vapo- retto odpłynął przed niespełna kwadrans, a

następny będzie dopiero za czterdzieści minut. Brunetti postanowił wrócić do domu na piechotę. Po pewnym czasie przeciął Campo San Barnaba, potem minął zamkniętą bramę uniwersytetu, a jeszcze później zabarykadowany na noc pałac, w którym urodził się i tworzył Goldoni. Nie napotkał nikogo, dopóki nie doszedł do Campo San Polo, gdzie zobaczył odzianego w zielony mundur strażnika przemierzającego plac; u boku mężczyzny kroczył potulnie owczarek niemiecki. Brunetti i strażnik pozdrowili się skinieniem głowy, natomiast pies — marząc zapewne o tym, żeby jak najprędzej wrócić ze swoim panem do ciepłego domu — zupełnie zignorował komisarza. Zbliżając się do przejścia podziemnego na końcu placu, Brunetti usłyszał ciche plus- nięcie. Kiedy wszedł na most, wyrzął przez barierkę i zobaczył w wodzie oddalającego się wolno szczura o długim ogonie. Komisarz syknął, ale szczur go zignorował tak samo jak pies; pewnie też myślał tylko o powrocie do ciepłego domu.

Rozdział 14

Nazajutrz, w drodze na komendę, Brunetti ponownie odwiedził budynek, w którym mieszkał da Pre; chciał osobiście porozmawiać z Luigim Venturim, sąsiadem, który znalazł zwłoki. Nie dowiedział się jednak niczego, czego nie mógłby się dowiedzieć w rozmowie telefonicznej. Da Pre miał niewielu przyjaciół, bardzo rzadko ktoś go odwiedzał, a Venturi nie znał nazwiska żadnego z jego gości. Jedyna krewna, o jakiej wspominał kolekcjoner tabakierek, to córka kuzyna mieszkająca gdzieś pod Weroną. Ubiegłego wieczoru Venturi nie widział i nie słyszał niczego niezwykłego aż do momentu, kiedy ujrzał w kuchni wodę ściekającą z sufitu. Nie, da Pre nigdy nie mówił, że ma wrogów, którzy chcieliby wyrządzić mu krzywdę. Słyszając to pytanie, Venturi spojrział dziwnie na komisarza, więc ten pośpiesznie zapewnił go, że po prostu chce wykluczyć tę mało prawdopodobną ewentualność. Nie, ani da Pre, ani sam Venturi nigdy nie otwierali drzwi bez sprawdzenia, kto za nimi stoi. Kolejne pytania ujawniły, że przez większość ubiegłego wieczoru signor Venturi oglądał w telewizji mecz piłki nożnej; nie myślał o da Pre ani o tym, co się dzieje w jego mieszkaniu, dopóki nie poszedł do kuchni, żeby — przed udaniem się na spoczynek — przyrządzić sobie filiżankę orzoro. Dopiero wtedy zobaczył wodę i pobiegł na górę sprawdzić, co się stało.

Nie, nie można powiedzieć, żeby się przyjaźnili; on sam był wdowcem, a da Pre starym kawalerem. Ponieważ mieszkali w jednym budynku, postanowili dać sobie nawzajem komplet swoich kluczy. Do ubiegłego wieczoru żaden nie miał okazji z nich korzystać. Brunetti nie zdołał dowiedzieć się nic więcej; był jednak przekonany, że wyciągnął z sąsiada wszystkie informacje, jakie ten posiadał.

Wśród papierów w najniższej szufladzie komody w salonie nieboszczyka znajdowało się kilka listów od adwokata, którego kancelaria mieściła się w Dorsoduro. Brunetti zadzwonił do niego wkrótce po powrocie na komendę. Prawnik, typowy weneccjanin, słyszał już o śmierci da Pre i nawet usiłował zawiadomić córkę jego kuzyna. Okazało się jednak, że poleciała na tydzień do Toronto, towarzysząc mężowi, który udał się na międzynarodową konferencję ginekologiczną. Prawnik obiecał, że będzie próbował się z nią skontaktować, ale nie wie, czy wiadomość o śmierci krewnego skłoni ją do wcześniejszego powrotu.

Niewiele umiał powiedzieć Brunettiemu na temat zmarłego. Aczkolwiek da Pre od lat był jego klientem, łączyły ich wyłącznie stosunki zawodowe. Nic nie wiedział o prywatnym życiu kolekcjonera. Kiedy komisarz spytał o wartość spadku po zmarłym, adwokat wyjaśnił, że oprócz mieszkania da Pre nic nie zostawił; wszystkie pieniądze inwestował w tabakierki, a te zapisał Museo Correr.

Następnie Brunetti zadzwonił do Rizzardiego.

— Oprócz stłuczenia wzdłuż kręgosłupa znalazłem jłuczenie po lewej stronie podbródka — rzekł patolog. — Oba mogły powstać podczas upadku. Kiedy biedak się poślizgnął, jego głowa poleciała do tyłu, tak jak ci mówiłem Wczoraj. Śmierć była natychmiastowa.

„... — Czy ktoś mógł go uderzyć albo popchnąć? i — Mógł. Ale stwierdzam to nieoficjalnie, Guido. W obdukcji na pewno tego nie napiszę.

Brunetti wiedział, że przekonywanie lekarza nic nie da, więc podziękował, po czym się rozłączył i wykrecił numer wewnętrzny pracowni fotograficznej. Pavese zaproponował komisarzowi, żeby zszedł na dół i sam obejrzał zdjęcia.

Od razu po wejściu Brunetti zobaczył cztery duże powiększenia, dwa kolorowe, dwa czarno-białe, przypięte do I korkowej tablicy wiszącej na ścianie. Zaczął się w nie wpatrywać, ale dopiero gdy przysunął nos tak blisko, że niemal dotykał nim papieru, w lewej dolnej ćwiartce pierwszego zdjęcia dojrzał dwie niewyraźne równoległe smugi, t — To te ślady? — spytał, wskazując palcem. ... — Tak — potwierdził fotograf. Stanąwszy obok komisarza, delikatnie odsunął ołówkiem jego palec, po czym końcówką z gumką przejechał wzdłuż śladów.

— Mogły je pozostawić obcasy butów, jeśli ktoś go ciągnął po podłodze?

— Mogły. Ale mogły też powstać zupełnie inaczej, f — Sprawdziłeś buty?

4 — Foscolo je obejrzał. Krawędzie obcasów są nieco starte z tyłu, ale nie wiadomo, od jak dawna.

— Nie dałoby rady dopasować otarć na obcasach do śladów na podłodze?

Pavese potrząsnął głową.

— Nie. W każdym razie nie w sposób przekonujący.

— Ale ktoś mógł go zaciągnąć do łazienki?

— Mógł — zgodził się Pavese, po czym szybko dodał: — Ale równie dobrze facet sam mógł wcześniej coś ciągnąć. Walizkę. Krzesło. Odkurzacz.

— A ty co sądzisz? Ze jak powstały? — spytał Brunetti.

Pavese uderzył w zdjęcie końcem ołówka.

— Nie mam pojęcia, commissario. Wiem tylko to, co widzę. A widzę dwa równoległe ślady pozostawione na podłodze. Nic więcej.

Świadom, że nie zdoła skłonić fotografa, by postawił jakąkolwiek hipotezę, Brunetti podziękował i wyszedł z pracowni.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, zastał na biurku dwie notatki sporządzone znajomym charakterem pisma Elettry. Na pierwszej kartce widniała wiadomość, że kobieta, która przedstawiła się jako Stefania, prosi o telefon. Na drugiej kartce sekretarka Patty napisała, że udało jej się uzyskać pewne informacje „w sprawie tego księdza”. Tylko tyle.

Brunetti wykrecił numer Stefanii. Radosny ton, jakim wypowiedziała nazwę agencji, wyraźnie świadczył o tym, że na rynku nieruchomości panuje zastój.

— Mówi Guido. Sprzedałaś już to mieszkanie w Can- naregio?

— Jutro po południu finalizuję umowę — odparła z zadowoleniem.

— Palisz w kościele świeczki, żeby nie było acqua aha'!

— Guido, gdybym wierzyła, że to powstrzyma przybór wody, byłabym gotowa przeczłgać się stąd do Lourdes.

— Interesy idą tak kiepsko?

— Lepiej nie pytaj.

— I kto kupuje? Niemcy?

— Ja — potwierdziła.

— Sehr gut. Dowiedziałaś się może czegoś o tych mieszkaniach, których adresy ci podałem?

— Tak, ale niczego ciekawego. Wszystkie trzy od miesiący są wystawione na sprzedaż, lecz przeprowadzenie transakcji komplikuje fakt, że właściciel mieszka w Kenii.

— W Kenii? Myślałem, że w Turynie. Tak wynikało z testamentu.

— Może kiedyś mieszkał w Turynie, ale od siedmiu lat przebywa w Afryce. A skoro nie ma prawa do stałego pobytu w Wenecji, podatki będą horrendalne, więc żadna agencja nie chce

zając się sprzedażą. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy taką posuchę. Mogłabym ci jeszcze długo wyjaśniać, na czym polegają trudności ze sprzedażą, ale nie wiem, czy miałyby to sens.

Nie, nie miałyby — pomyślał Brunetti; wystarczyła mu informacja, że spadkobierca spędził ostatnie siedem lat w Kenii.

— Jeśli... — Wypowiedź Stefanii przerwało brzęczenie drugiego aparatu. — Ktoś dzwoni, Guido. Muszę kończyć. Módl się, żeby to był bogaty klient.

— Już to robię. I dzięki, Steffi. Auf Wiedersehen.

Roześmiała się i odłożyła słuchawkę.

Brunetti zszedł niżej, żeby spytać sekretarkę Patty, czego dowiedziała się na temat katechety Chiary. Kiedy stanął w drzwiach, signorina Elettra podniosła wzrok i uśmiechnęła się nieznacznie. Zobaczył, że ma na sobie czarny kostium o stójkowym kołnierzu i surowym kroju. Nad kołnierzem ujrzał pasek śnieżnej bieli, kojarzący się z księżą koloratką.

— Czy tak wyobraża sobie pani prostotę zakonną? — spytał Brunetti, świadom, że kostium jest uszyty z jedwabiu.

— Ach, chodzi panu o to — powiedziała takim tonem, jakby tylko czekała na najbliższą zbórkę ubrań dla biednych, żeby pozbyć się łacha, który miała na sobie. — Zapewniam pana, commissario, że podobieństwo do strojów duchownych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone. — Podała mu kilka odbitych na kserokopiarce kartek, które leżały na jej biurku. — Proszę przeczytać. Zrozumie pan, dlaczego nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi.

Przebiegł wzrokiem pierwsze dwa wiersze tekstu.

— To o tym księdzu? — zapytał.

— Tak. Jak się pan przekona, Don Luciano nigdzie długo nie zagrzał miejsca.

Wróciła do komputera, dając komisarzowi czas na zapoznanie się z informacjami, które dla niego zdobyła.

Na pierwszej stronie znajdował się krótki życiorys Luciana Beneventa, urodzonego w Pordenone przed czterdziestoma siedmioma laty. Dalej następowała lista szkół, do których uczęszczał; do seminarium duchownego wstąpił w wieku lat siedemnastu. Z załączonych kopii świadectw wynikało, że nie był prymusem.

Po raz pierwszy zetknął się z policją, kiedy jeszcze uczył się w seminarium. Był zamieszany w awanturę, która wybuchła w pociągu, gdy współpasażerka z przedziału poszła kupić kanapki w sąsiednim wagonie, pozostawiając pod opieką Luciana dziecko płci żeńskiej. Nie było jasne, co się właściwie wydarzyło pod nieobecność kobiety; oskarżenia wysuwane przez dziewczynkę przypisano jej wybujałej wyobraźni.

Po wyświęceniu na księdza dwadzieścia trzy lata temu Don Luciano został skierowany do niewielkiej wioski w Tyrolu, skąd jednak przeniesiono go po trzech latach, kiedy ojciec pewnej dwunastolatki zaczął opowiadać sąsiadom dziwne historie o katechecie i pytaniach, jakie zadaje jego córce podczas spowiedzi.

Następne siedem lat spędził na południu kraju, skąd trafił do prowadzonego przez Kościół zakładu dla księży lproblemami. Jakiego rodzaju problemy miał Don Luciano, nie było powiedziane.

Po rocznym pobycie w zakładzie wysłano go do małej parafii w Dolomitach, gdzie przez pięć lat, nie odznaczając się niczym szczególnym, pomagał proboszczowi znanemu z surowości w całych północnych Włoszech. Gdy proboszcz zmarł, parafię przydzielono młodszemu księdzu. • Po dwóch latach zabrano go stamtąd — winę za to iosił miejscowy burmistrz, określony w dokumencie jako »rozrabiaka i komunista".

Następne piętnaście miesięcy Don Luciano spędził odprawiając msze w niewielkim kościółku pod Treviso, a przed czterema laty przeniesiono go do kościoła San Polo, gdzie wygłaszał kazania i uczestniczył w katechezie weneckiej młodzieży.

— Jak pani to zdobyła? — zapytał Brunetti, kiedy skończył czytać.

— Niezbadane są ścieżki Pana, commissario — odparła, uśmiechając się łagodnie.

— Tym razem pytam poważnie, signorina — rzekł, nie odwzajemniając jej uśmiechu. — Chciałbym wiedzieć, jak pani weszła w posiadanie tych materiałów.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

— Mój znajomy pracuje w kurii, w sekretariacie patriarchy — odparła w końcu.

— Jest księdzem?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— A jednak dał pani te kopie?

Przytaknęła.

— Jak pani go przekonała, signorina? Sądziłem, że Kościół nie udostępnia nikomu takich dokumentów.

— Bo i nie udostępnia, commissario.

Telefon na jej biurku zadzwonił, ale nie podniosła słuchawki. Po siedmiu dzwonek umilkł.

— Ten ksiądz ma romans z moją przyjaciółką — wyjaśniła wreszcie.

— Rozumiem — rzekł Brunetti, po czym spytał neutralnym tonem: — Więc uciekła się pani do szantażu?

— Nie. Bynajmniej. Ksiądz, o którym mówię, od wielu miesięcy chce zerwać ze stanem kapłańskim i rozpocząć normalne życie. Ale moja przyjaciółka przekonała go, żeby na razie niczego nie zmieniał i dalej pracował tam, gdzie dotąd.

— W sekretariacie patriarchy?

Skinęła głową.

— Jako ksiądz?

Znów skinęła.

— Gdzie ma dostęp do akt dotyczących tak drażliwych spraw jak ta?

— Zgadza się.

— Dlaczego pani przyjaciółce zależy, żeby tam nadal pracował?

— Wolałabym nie mówić, commissario.

Brunetti nie powtórzył pytania, ale i nie odszedł od biurka.

— Przecież on nie łamie żadnego prawa — powiedziała signorina Elettra. — Wręcz przeciwnie — dodała.

— Muszę mieć pewność.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracować w policji, Elettra popatrzyła na komisarza z jawną niechęcią w oczach, j — A jeśli dam panu słowo?

h- Brunetti spojrział na papiery, które trzymał w dłoni, epskiej jakości odbitki oryginalnych dokumentów. Widniejąca na nich pieczęć Patriarchy Wenecji była trochę nie- stra, ale wciąż czytelna. ?— To nie będzie konieczne, signorina — rzekł, prze- sząc wzrok na sekretarkę. — Gdybym nie ufał pani, ie dobrze mógłbym nie ufać sobie.

Elettra nie uśmiechnęła się, ale napięcie ją opuściło.

— Dziękuję, commissario.

— Czy sądzi pani, że jej znajomy mógłby również uzyskać informacje o duchownym, który nie jest księdzem parafialnym, lecz członkiem zakonu?

— Jeśli powie mi pan, o kogo chodzi...

— Pio Cavaletti z zakonu Świętego Krzyża.

Signorina Elettra zapisała dane, po czym ponownie skierowała spojrzenie na komisarza.

— Coś jeszcze?

— Tak. Jedna drobna rzecz. Słyszałem plotkę o hrabinie Crivoni. — Ponieważ jego rozmówczyni była rodowitą wenecką, uznał, że nie musi wdawać się w szczegóły. — O

hrabinie i o księdzu. Nie mam pojęcia, jak on się nazywa, ale może pani znajomy zdołałby się czegoś dowiedzieć.

Sekretarka zanotowała sobie kolejne zlecenie.

— Poczekam z tym do wieczora. Powinniśmy się spotkać dziś na kolacji.

— U pani przyjaciółki? — zapytał Brunetti.

— Tak. O pewnych sprawach nigdy nie rozmawiam z nią przez telefon.

— Z obawy o niego? — spytał komisarz, nie bardzo wiedząc, czy Elettra mówi poważnie, czy żartuje.

— Częściowo — odparła.

— A częściowo?

— Z obawy o siebie.

Popatrzył na nią, przekonany, że jednak stroi żarty, ale wyraz twarzy miała surowy, a nawet posepny.

— Wierzy pani, signorina, że coś może jej zagrażać?

— Nie jest to organizacja znana z miłosierdzia wobec swych wrogów.

— A uważa się pani za jej wroga?

— Zdecydowanie tak.

Już chciał ją zapytać dlaczego, ale ugryzł się w język. Nie dlatego, że nie był ciekaw odpowiedzi — był, i to bardzo — po prostu uzmysłowił sobie, że nie powinni omawiać tego tematu w tym momencie, w dodatku przed drzwiami gabinetu, z którego w każdej chwili mógł się wyłonić vice-questore Patta. Powiedział więc tylko:

— Będę niezmiernie wdzięczny pani znajomemu za wszelkie informacje, jakie zechce mi przekazać.

Telefon na biurku ponownie zadzwonił; tym razem signorina Elettra podniosła słuchawkę. Spytała, z kim rozmawia, po czym poprosiła rozmówcę, aby zaczekał, aż otworzy odpowiedni plik w komputerze.

Brunetti skinął jej głową na pożegnanie i wyszedł na korytarz, niosąc w dłoni kserokopie.

Rozdział 15

Więc takiemu człowiekowi bezwiednie powierzyłem religijną edukację Chiary! — pomyślał Brunetti, wracając do gabinetu. Nie mógł obarczyć częścią winy Paoli, bo od początku twierdziła, że nie chce, aby dzieci chodziły na lekcje religii. Wiedział o tym, zanim jeszcze poszły do szkoły; uważał jednak, że ostracyzm społeczny wywołany decyzją rodziców spadnie na barki dzieci, a wolał nie narażać ich na przykrości. Bo gdzie miałyby się podziewać w tym czasie, kiedy inne dzieci uczyłyby się katechizmu i żywotów świętych? Jak przebiega rozwój dziecka, które nie uczestniczy w takich zbiorowych obrzędach inicjacyjnych jak pierwsza komunika i bierzmowanie?

Przypomniał sobie proces, który w ubiegłym roku często gościł na pierwszych stronach gazet. Pewne bezdzietne małżeństwo, on prawnik, ona lekarka, chciało adoptować dziecko, lecz sąd w Turynie nie wyraził zgody, uzasadniając swoją decyzję tym, że oboje są ateistami, czyli nie będą należycie wypełniać rodzicielskich obowiązków.

Komisarz śmiał się, kiedy czytał artykuł o tych księżach w łaźni w Dublinie, zupełnie jakby Irlandia była krajem Trzeciego Świata, żyjącym w śmiertelnym uścisku prymitywnej religii; jednakże w jego ojczyźnie Kościół też sprawował własne rządy, aczkolwiek tylko ludzie negatywnie do niego nastawieni uświadamiali to sobie w pełni.

Brunetti nie wiedział, jakie kroki przedsięwziąć w sprawie Don Luciana, bo nie miał żadnych podstaw prawnych. Ksiądz nigdy nie był o nic oskarżony, a komisarz wątpił, czy we wszystkich parafiach, w których przebywał, znalazłaby się choć jedna osoba gotowa złożyć przeciw niemu zeznania. Pozbyli się go jak zarazy i zapewne cieszyli z tego, a decyzja, żeby odtąd odgrodzić się od niego murem milczenia, była absolutnie zrozumiała. To jasne, że chcieli o nim jak najszybciej zapomnieć.

Komisarz uważał, że społeczeństwo włoskie ma zbyt liberalne podejście do przestępstw na tle seksualnym, składając je na karb nadpobudliwości mężczyźn. Nie zgadzał się z takimi poglądami. Zastanawiał się, jakiej terapii poddawano takich księży jak Don Luciano w zakładzie, do którego został wysłany. Niezbyt skutecznej, sądząc po tym, ile razy znów go potem przynoszono.

Brunetti usiadł przy biurku i cisnął na nie kserokopie. Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym wstał i wyjrzał przez okno. Na zewnątrz nie działo się jednak nic ciekawego, więc wrócił do biurka i zaczął gromadzić wszelkie notatki i raporty, które w jakikolwiek sposób wiązały się ze sprawą Marii Testy oraz z tym, co była zakonnica powiedziała mu tamtego spokojnego dnia przed prawie trzema tygodniami. Potem przeczytał wszystkie papiery od deski do deski, co jakiś czas coś sobie notując. Kiedy 'kończył, przez kilka sekund wpatrywał się w ścianę, po czym podniósł słuchawkę i polecił telefonistce, żeby połączyła go z Ospedale Civile.

Ku jego zaskoczeniu nie robiono mu żadnych trudności; natychmiast poproszono do aparatu siostrę oddziałową, ta zaś poinformowała go, gdy tylko się przedstawił, że pacjentkę, którą „opiekuje się” policja, przeniesiono do jedyńki. Nie, stan pacjentki nie uległ zmianie; wciąż nie odzyskała przytomności. Tak, jeśli pan komisarz poczeka, zaraz zawoła policjanta pilnującego drzwi.

Okazało się, że dyżur pełni Miotti.

— O co chodzi, commissario? — spytał, kiedy dowiedział się, kto dzwoni.

— Jak sytuacja w szpitalu?

— Spokojnie, nic się nie dzieje.

— Co robisz?

— Czytam. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

— Nie. Lepsze to, niż gdybyś miał łpać okiem na pielęgniarki. Czy ktoś odwiedzał pacjentkę?

— Tylko ten jej znajomy z Lido, Sassi. Poza nim nikt.

— Rozmawiałeś z bratem, Miotti?

— Tak, commissario. Wczoraj wieczorem.

— I spytałeś go o tego księdza?

— Tak, commissario.

— No i co?

— Z początku nic nie chciał powiedzieć. Pewnie dlatego, że nie lubi plotek. Marco taki już ma charakter, commissario — rzekł lekko protekcyjnym tonem, jakby prosił szefa o wyrozumiałość dla ułomności brata. — Ale kiedy oznajmiłem, że to ważne, wyjawiał, że krążą pogłoski... podkreślił, że to tylko pogłoski... iż ten ksiądz ma powiązania z Opera Pia. Tak powiedział. Proszę pamiętać, commissario, że nie są to sprawdzone informacje.

— Rozumiem. Coś jeszcze?

— Właściwie nie, commissario. Chociaż... Próbowałem zgadnąć, co jeszcze będzie pan chciał wiedzieć. Przyszło mi do głowy, że może zainteresuje pana, czy Marco wierzy tym pogłoskom. Więc go o to spytałem.

— I co?

— Wierzy, commissario.

— Dziękuję, Miotti. Wracaj do lektury.

— Dobrze, commissario.

— Co czytasz?

— „Ouattroute” — odparł Miotti.

Był to tytuł najpopularniejszego włoskiego pisma poświęconego motoryzacji.

— Aha. Jeszcze raz dziękuję.

— Nie ma za co, commissario.

Słodki miłosierny Jezu, miej nas wszystkich w opiece! Na wieść o tym, że ksiądz, o którego się dopytuje, ma powiązania z Opera Pia, Brunetti przywołał w myślach fragment ulubionej modlitwy matki. Jeśli istniała organizacja naprawdę owiana tajemnicą, była nią właśnie Opera Pia — stowarzyszenie kościelne zrzeszające osoby Reckie i kapłanów, bezgranicznie wierne papieżowi i stapiające sobie za cel odnowę wpływów i władzy Kościoła, tyle wiedział o organizacji Brunetti. Kiedy zaczął się zastanawiać, jakie jeszcze ma o niej informacje, uzmysłowił sobie, że strzępy wiedzy, jakimi dysponuje, mogą być fałszywe. Tajne stowarzyszenie z samego założenia jest tajne, toteż w opiniach krążących na jego temat nie musi tkwić nawet źdźbło prawdy.

Masoni ze swoimi sygnetami, kielniami i fartuszkami podobnymi do tych, jakie noszą kelnerki, mieli w oczach komisarza pewien osobliwy urok. Nie znał zbyt wielu wiarygodnych faktów związanych z ich sprzysiężeniem, ale zawsze wydawali mu się niegroźni; po części wynikało to stąd, iż Czarodziejski flet, którego pięknem i humorem tyle razy się zachwycał, ukazywał ich w tak korzystnym świetle.

Z Opera Pia było zupełnie inaczej. Wiedział o jej członkach jeszcze mniej — a właściwie nic — lecz wystarczyło, że słyszał nazwę stowarzyszenia, a ciarki chodziły mu po krzyżu.

Usiłował uwolnić się od głupich uprzedzeń i przypomnieć sobie jakieś konkretne dane dotyczące Opera Pia, informacje, które czytał lub które słyszał z ust osób godnych zaufania; nie zdołał jednak przywołać w pamięci niczego takiego. Pomyślał o Cyganach, bo jego wiedza na ich temat była dokładnie taka sama: stanowiła zlepek zasłyszanych i powtarzanych plotek i bajd. Nie znał ani jednego nazwiska, ani jednej daty, nie dysponował żadnymi sprawdzonymi faktami. Obie grupy otaczała identyczna atmosfera tajemnicy, podobnie zresztą jak i inne społeczności o charakterze zamkniętym, pilnie strzegące swoich sekretów przed osobami postronnymi.

Zaczął dumać nad tym, od kogo mógłby uzyskać obiektywne informacje, ale nie przyszedł mu do głowy nikt oprócz anonimowego przyjaciela Elettry, księdza z sekretariatu patriarchy. Cóż, skoro Kościół hodował na swoim łonie żmiję, to właśnie do niej należało się zwrócić.

Signorina Elettra zdziwiła się, tak szybko widząc go ponownie.

— Tak, commissario?

— Mam jeszcze jedną prośbę do pani znajomego.

— O co chodzi? — zapytała, sięgając po notes.

— O Opera Pia.

Choć tylko minimalnie uniosła brew, Brunetti nie miał wątpliwości, że zaskoczyły ją jego słowa. I — Co chciałby pan wiedzieć, commissario? X — Czy członkowie stowarzyszenia mogą być zamieszani w sprawę, którą się zajmuję. 4 — Ma pan na myśli testamenty i tę kobietę w szpitalu?

— No właśnie — odparł, po czym takim tonem, jak- dopiero teraz przyszło mu to do głowy, dodał: — I czy Ire Cavaletti jest jakoś z nimi powiązany? To pytanie również zapisała.

— A przy okazji, czy coś łączy z nimi tego księdza, irego nazwiska pan nie zna. Tego od hrabiny Crivoni —

proponowała Elettra.

— Świetnie — zgodził się Brunetti. — A co pani wie nich? O ich organizacji?

Potrząsnęła głową.

Niewiele. Są skryci, oddani sprawie i bardzo nie- »leczni.

Nie sądzi pani, że to przesadna opinia? Nie.

— Wie pani może, czy mają... — przez moment szukał właściwego słowa; na próżno — ...czy mają filię w naszym mieście?

— Zupełnie się nie orientuję, commissario.

— To dziwne, nieprawdaż? Nikt z nas nie ma żadnych konkretnych informacji, a jednak boimy się ich i podejrzewamy nie wiadomo o co.

Signorina Elettra milczała, więc po chwili Brunetti powtórzył pytanie:

— Dziwne, nieprawdaż?

— Jestem odmiennego zdania, commissario — odpowiedziała w końcu.

— To znaczy?

— Uważam, że gdybyśmy znali prawdę, balibyśmy się znacznie bardziej.

Rozdział 16

p-

V W papierach na biurku Brunetti odnalazł prywatny numer telefonu dyrektora domów opieki. Połączywszy się, powiedział, że chciałby mówić z doktorem Messinim. Kobieta, która podniosła słuchawkę, oznajmiła, że dottore jest zajęty i nie może podejść do telefonu, po czym spytała, kto dzwoni. Brunetti ograniczył się do jednego słowa: „Policja”; to wystarczyło, aby kobieta — z wyraźną niechęcią — oświadczyła, że dowie się, czy dottore nie mógłby jednak przejąć swoich zajęć.

Minęła długa chwila, zanim w słuchawce rozległ się ęski głos.

— Słucham?

— Dottor Messini?

— Tak, oczywiście. Kto mówi?

— Commissario Brunetti. — Brunetti zrobił wymowną pauzę, aby jego rozmówca dobrze sobie uzmysłowił,

kim ma do czynienia. — Chciałbym zadać panu kilka pytań, dottore.

Na jaki temat, commissario? Chodzi o pańskie domy opieki.

— Co chciałby pan wiedzieć? — Z głosu dyrektora przebijała nie tyle ciekawość, ile zniecierpliwienie.

— Interesują mnie niektóre osoby, które tam pracują.

— Nie ja zajmuję się zatrudnianiem personelu — odparł Messini tak szybko, że Brunetti natychmiast pomyślał, że warto sprawdzić, czy Filipinki zatrudnione jako pielęgniarki w domu opieki, w którym przebywa jego matka, mają pozwolenie na pracę.

— Wolałbym nie rozmawiać o tej sprawie przez telefon — oznajmił Brunetti, świadom, że nieco tajemniczości nigdy nie zaszkodzi, a zwykle wzmaga ciekawość osoby, z którą chcemy się spotkać.

— Chyba nie oczekuje pan, że przyjdę na komendę, co? — spytał Messini sarkastycznym tonem człowieka pewnego swojej pozycji i władzy.

— Jeśli woli pan, żeby Guardia di Frontiere przeprowadziła nalot i zakłóciła spokój pańskich pensjonariuszy, to może pan nie przychodzić. A Guardia chętnie przesłucha pracujące u pana Filipinki... — komisarz zrobił sekundową pauzę i dopiero wtedy dodał: — ...dottore.

— Nie wiem, o czym pan mówi — oświadczył dyrektor, choć z jego głosu wynikało coś wręcz przeciwnego.

— Jak pan sobie życzy, dottore. Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać jak dżentelmeni i wyjaśnić sprawę, unikając zbędnych kłopotów, ale widać się myliłem. Przykro mi, że zająłem panu tyle czasu — powiedział Brunetti takim tonem, jakby szykował się do odłożenia słuchawki.

— Chwileczkę, commissario. Może wyraziłem się zbyt krótko. Chyba rzeczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy się

— Jeśli jednak jest pan zbyt zajęty...

— Jestem zajęty, oczywiście, ale może zdołałbym do pana zajrzeć. Może jeszcze dziś po południu. Tylko i prawdę swój terminarz, dobrze? — Messini zasłonił ręką słuchawkę; Brunetti dobiegły stłumione odgłosy szybkiej wymiany zdań między dyrektorem a kimś, kto

; Białdował się z nim w jednym pomieszczeniu. — Okazy- jfesię, że osoba, z którą byłem umówiony na obiad, odwołała spotkanie. Czy w tej sytuacji mógłbym pana zaprosić? V Brunetti milczał, czekając, aż padnie nazwa restaura- , tji. Wiedział, że ten drobny szczegół pozwoli mu się zo- gHentować co do wysokości łapówki, jaką Messini spodzie- ?m się zapłacić.

— Może do Da Fiori? — dodał dyrektor. Była to najdroższa restauracja w Wenecji. Zaproszenie Da Fiori po pierwsze świadczyło o tym, że Messini jest tyle ważnym klientem, aby mieć pewność, iż zawsze sjdzie się dla niego wolny stół. Po drugie oznaczało, Brunetti miał nosa w sprawie pielęgniarek pracujących

<asa di cura-, innymi słowy, zdecydowanie warto spraw- ć paszporty i pozwolenia na pracę wszystkich zatrud- nych tam cudzoziemek.

?— Nie — odparł komisarz stanowczym tonem urzęd- państwowego, który nie da się przekupić drogim dem.

- Wielka szkoda, commissario. Myślałem, że milej bę- nam się poznać w przyjemnej atmosferze.

— Może jednak poznamy się na komendzie, w moim gabinecie — rzekł Brunetti, po czym zaśmiał się, jakby powiedział coś dowcipnego. — Jeśli to panu pasuje, dottore.

— Oczywiście. Czy wpół do trzeciej panu odpowiada?

— Jak najbardziej.

— Więc do zobaczenia, commissario — powiedział Messini i rozłączył się.

Zanim minęły trzy godziny dzielące ich od spotkania na komendzie, Brunetti miał już w ręku listę cudzoziemek zatrudnionych jako pielęgniarce we wszystkich kierowanych przez Messiniego domach opieki. Zdecydowanie przeważały Filipinki, ale były też dwie dziewczyny z Pakistanu i jedna ze Sri Lanki. Zdobycie informacji nie nastęczało żadnych trudności, nazwiska figurowały bowiem na liście płac znajdującej się w komputerze dyrektora. Zdaniem Elettry dostanie się do tych danych było tak proste, że nawet Brunetti by sobie z tym poradził. Ponieważ obsługa sprzętu komputerowego nadal pozostawała dla niego nieprzeniknioną tajemnicą, komisarz nie miał pojęcia, czy sekretarka żartuje, czy mówi poważnie. Jak zwykle nie zapytał jej o to, nie zastanawiał się też, czy przeprowadzone przez nią operacje są legalne.

Z listą cudzoziemek udał się do Anity z Ufficio Stra- nieri; po godzinie zjawiała się w jego gabinecie, niosąc odszukane teczki. Okazało się, że wszystkie kobiety przyjechały do Włoch jako turystki; przedłużono im wizy, ponieważ przedstawiły zaświadczenia, że zapisały się na uniwersytet w Padwie. Brunetti uśmiechnął się, kiedy zo- :zył, na jakich kierunkach rzekomo studiowały. Miał enie, że wydziały specjalnie tak dobrano, aby za- dczenia nie wzbudzały w urzędnikach podejrzeń, ztą pewnie żaden urzędnik nie oglądał ich równie donie jak on teraz: historia, prawo, nauki polityczne, rchologia, agronomia. Rozbawiła go zwłaszcza agrono- , bo wiedział, że na uniwersytecie w Padwie nie ma kie- J^funków rolniczych. Przemknęło mu przez myśl, że może Kessini jest człowiekiem obdarzonym dużym poczuciem %imoru.

ł\$& Dyrektor przybył punktualnie o ustalonej porze; była lówno druga trzydzieści, kiedy Riverre otworzył drzwi ga- ietu komisarza i wprowadził gościa.

— Dottor Messini, commissario. Brunetti spojrzał znad akt pielęgniarek i skinął dyrek- owi głową, po czym — jakby po namyśle — wstał

I Wskazał mu fotel przed swoim biurkiem.

— Dzień dobry, dottore.

— Dzień dobry, commissario. Messini zajął miejsce i rozejrzał się po gabinecie, za-

e chcąc się czegoś dowiedzieć o komisarzu. Wyglądał jak bogaty arystokrata z epoki renesansu — bogaty i skorumpowany arystokrata. Był postawnym czyzną, który osiągnął już

wiek, kiedy mięśnie wiot- ą i coraz szybciej obrastają tłuszczem. W jego twarzy rdziej mogły podobać się usta: kształtne, pełne, o lek- fr uniesionych kącikach, chyba rzeczywiście świadczące Wesołym usposobieniu. Nos miał zbyt mały w stosunku 0rozmiarów głowy, a oczy odrobinę za blisko osadzone,

aby mógł uchodzić za pięknego, choć niewątpliwie był przystojny.

Elegancki garnitur gościa zdawał się mówić: „Pieniądze, pieniądze...”; lśniąca buty powtarzały to samo.

Skończywszy lustrować gabinet, Messini przeniósł wzrok na Brunettiego i odsłonił w przyjaznym uśmiechu koronki wykonane tak fachowo, że wyglądały jak ładne, naturalnie postarzałe zęby.

— Mówił pan, że chce spytać o osoby, które u mnie pracują, commissario? — Głos Messiniego brzmiał spokojnie.

— Zgadza się, dottore. Interesują mnie zatrudnione przez pana pielęgniarki.

— Dlaczego, commissario?

— Ciekawi mnie, na jakiej podstawie pracują we Włoszech.

— Tak jak panu powiedziałem rano przez telefon, commissario... — Messini wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę papierosów, zapalił jednego, nie pytając komisarza o pozwolenie, a ponieważ na biurku nie było popielniczki, położył zdmuchniętą zapalną na samym jego skraju — ...nie ja zajmuję się angażowaniem personelu. To należy do obowiązków kierowników poszczególnych domów. Za to im płacę.

— Zapewne szczerze? — spytał Brunetti z wymownym, miał nadzieję, uśmiechem.

— Bardzo szczerze — oświadczył Messini, zachęcony zarówno uśmiechem komisarza, jak i samym pytaniem, którego podtekst bynajmniej nie umknął jego uwagi. — A o co chodzi? f. — Wygląda na to, że część zatrudnionych u pana osób óie ma pozwolenia na pracę. , Messini uniósł brwi w wyrazie najwyższego zdumienia.

— Trudno mi w to uwierzyć! Jestem przekonany, że ?ożyliśmy wszystkie wymagane dokumenty i załatwiliśmy wszystkie wymagane formalności — rzekł, spoglądając na Brunettiego.

Komisarz siedział ze wzrokiem utkwionym w papierach, które trzymał w dłoni, uśmiechając się leciutko pod nosem.

— Oczywiście, commissario, jeśli przez niedopatrzenie nie wypełniono jakichś niezbędnych formularzy czy kwestionariuszy, zapewniam pana, że bardzo chętnie... — na moment umilkł, szukając najtaktowniejszych słów; znalazł je prawie natychmiast — ...zapłacę za rozpatrzenie ich W trybie pilnym. Zależy mi, aby jak najrychlej unormować f Sytuację prawną, w jakiej się znalazłem.

Brunetti pokręcił z uśmiechem głową; sprawność, z jaką Messini przeszedł do kwestii łapówki, zrobiła na nim wrażenie.

| — To dobrze, że chce pan szybko wyjaśnić sprawę — oznajmił. — Jednakże przyśpieszenie formalności może sporo kosztować.

— Oczywiście, ale chcę być w porządku wobec władz. Tak więc rozumiem, że przyśpieszenie formalności jest jedynym wyjściem.

— Może sporo pana kosztować — powtórzył Brunet - starając się przywołać na usta chciwy uśmiezek. Najwyraźniej mu się udało, bo Messini rzekł:

— Proszę tylko powiedzieć, jaką sumę mam przekazać.

Brunetti odłożył papiery i spojrzał na gościa, który dość dziwnie trzymał papierosa, pilnując, by nie spadł z niego popiół.

— Prawdę mówiąc, wcale nie interesują mnie pielęgniarki, lecz zakon Świętego Krzyża.

— Zakon Świętego Krzyża? Chodzi panu o siostry? — spytał dyrektor, wyraźnie zaskoczony.

Brunetti wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy mają coś do ukrycia, rzadko zachowują się naturalnie; zdziwienie Messiniego wydało mu się jednak całkowicie autentyczne.

— Należą do niego również mężczyźni, prawda?

Wyglądało na to, że dyrektor nie bardzo się w tym wszystkim orientuje.

— Tak, chyba faktycznie — odparł po chwili. — Ale w domach opieki pracują wyłącznie zakonnice.

Papieros dopalił się już niemal do filtra. Messini spojrzął na podłogę, jakby zamierzał rzucić na nią niedopalek. Zrezygnowawszy z tego pomysłu, bardzo ostrożnie postawił niedopalek pionowo, filtrem do dołu, na skraju biurka, tuż obok zgaszonej zapalki.

— Mniej więcej przed rokiem przeniesiono jedną z sióstr.

— Aha — mruknął bez zainteresowania dyrektor, najwyraźniej zbity z tropu niespodziewaną zmianą tematu.

— Przeniesiono ją z casa di cura w Dolo do tutejszego domu San Leonardo.

— Skoro pan tak twierdzi, commissario. Niewiele wiem o naszym personelu.

— Podobnie jak o zagranicznych pielęgniarce?

Messini uśmiechnął się. Przynajmniej gdy chodziło o pielęgniarki, był na znajomym gruncie.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego ją przeniesiono — oświadczył Brunetti i dodał szybko, nim dyrektor zdążył cokolwiek powiedzieć: — Proszę to potraktować jako zaliczkę na poczet sumy, którą był pan gotów zapłacić, dot- tor Messini.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wszystko jedno, dottore. Chciałbym usłyszeć, co panu wiadomo o przeniesieniu tej zakonnicy. Wątpię, żeby sprawa w ogóle nie oblała się panu o uszy, skoro jest pan dyrektorem obu domów.

Przez dłuższą chwilę Messini milczał. I gdy tak dumał, ?usiłując przewidzieć niebezpieczeństwa, jakie może na siebie ściągnąć nierozważną odpowiedzią, Brunetti z zainteresowaniem obserwował jego twarz.

— Rozumiem, że z jakiegoś powodu interesuje się pan tą sprawą, commissario, ale niestety, mnie osobiście nic o niej nie wiadomo — rzekł w końcu. — Wszystkie kwestie związane z personelem zakonnym załatwia matka przełożona. Chętnie bym panu pomógł, proszę mi wierzyć, ale przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego.

Chociaż zwykle ci, którzy proszą, żeby im uwierzyć, kłamią jak najęci, Brunetti miał wrażenie, że dyrektor mówi prawdę. Skinął więc głową i oznajmił: é — Ta sama siostra odeszła z domu San Leonardo przed kilkoma tygodniami. Wiedział pan o tym?

— Nie.

Tym razem Brunetti również uwierzył mu na słowo.

— A dlaczego akurat siostry z zakonu Świętego Krzyża pracują u pana, dottore!

— To długa i skomplikowana historia — odparł Messini z uśmiechem, który komuś innemu niż Brunetti przypuszczalnie wydałby się niezwykle czarujący.

— Mnie się nie spieszy, dottore. A panu? — W uśmiechu komisarza zdecydowanie nie było niczego czarującego.

Messini wyjął z kieszeni paczkę papierosów, ale zaraz schował ją z powrotem, nawet jej nie otwierając.

— Osiem lat temu, kiedy zostałem dyrektorem pierwszego domu opieki, wszystkie były utrzymywane i zarządzane przez zakon, ja pełniłem tylko funkcję dyrektora do spraw medycznych. Wkrótce jednak się okazało, że jeśli domy będą nadal opłacane wyłącznie z datków wiernych, grozi im zamknięcie. — Spojrzał przeciągle na Brunettiego. — Mało jest szczodrych ludzi.

— Fakt — potwierdził krótko Brunetti; oczywiście zrozumiał aluzję.

— W każdym razie zastanawiając się, jak poprawić sytuację finansową domów, żeby dalej móc zapewniać opiekę ludziom starym i chorym, których los zawsze leżał mi na sercu, doszedłem do wniosku, że trzeba je przekształcić w prywatne casa di cura, w których pobyt byłby płatny. Tak też się stało. Wprowadzono pełną odpłatność, a ja zostałem równocześnie dyrektorem medycznym i administracyjnym.

— A zakon Świętego Krzyża?

Sr

f; — Od samego początku główną misją zakonu była opieka nad starymi ludźmi, więc zdecydowano, że siostry pozostaną na miejscu, tyle że teraz ich praca będzie odpowiednio wynagradzana.

— Otrzymują pensję?

— Tak. Oczywiście wypłacaną zakonowi.

— Oczywiście — powtórzył z ironią Brunetti i szybko, żeby Messini nie zdążył zgłosić zastrzeżeń do jego tonu, zapytał: — A komu konkretnie?

— Nie mam pojęcia. Chyba czeki są wręczane matce przełożonej.

— A na kogo są wystawiane? ' — Na zakon.

Choć komisarz uśmiechnął się uprzejmie, dyrektor był 4 wyraźnie skonfundowany. Coraz mniej rozumiał, o co w tym Ji wszystkim chodzi. Zapalił kolejnego papierosa i położył za- "l pałkę po drugiej stronie stojącego pionowo niedopałka.

— Ile zakonnic pracuje w pańskich domach opieki, dottore?

J' — Musi pan zasięgnąć języka u mojego księgowego. ?Sądzę, że około trzydziestu.

II — A ile wynoszą ich pensje? — zapytał Brunetti i nie czekając, aż dyrektor znów odeśle go do księgowego, pomorzył: — Ile wynoszą ich pensje?

— O ile pamiętam, około pół miliona lirów miesięcznie.

— Czyli mniej więcej jedną czwartą tego, co normalce zarabiają pielęgniarki.

— Większość z nich nie jest pielęgniarkami — oznajmił defensywnym tonem Messini. — To raczej wykwalifikowane salowe.

— A ponieważ należą do zakonu, podejrzewam, że nie musi pan płacić za nie podatków ani dokonywać wpłat na fundusz zdrowotny i emerytalny.

— Commissario... — po raz pierwszy od początku rozmowy pojawiła się w głosie dyrektora gniewna nuta — ...skoro wie pan to wszystko, przepytывanie mnie nie ma chyba najmniejszego sensu. A jeśli zamierza pan dalej rozmawiać ze mną w ten sposób, chciałbym wezwać tu mojego adwokata.

— Mam jeszcze tylko jedno pytanie, dottore. I zapewniam pana, że adwokat jest panu niepotrzebny. Guardia di Frontiere oraz Guardia di Finanza byłyby zapewne zainteresowane, kogo pan zatrudnia i ile płaci, ale mnie to naprawdę nie obchodzi.

— Niech pan pyta.

— Ilu pensjonariuszy zapisało w testamencie pieniądze panu albo domowi opieki?

Chociaż pytanie wyraźnie zdziwiło Messiniego, odpowiedział szybko, bez wahania.

— Chyba troje. Odwodzę ich od takich gestów, jeśli dowiaduję się, że ktoś chce nam pozostawić coś w spadku, kontaktuję się z jego rodziną i proszę, żeby go przekonała, aby tego nie czynił.

— Można rzec, że to wspaniałomyślne z pana strony, dottore. Bardzo wspaniałomyślne.

Messini, który miał już dość utarczek słownych z komisarzem, odpowiedział brutalnie i szczerze: , — Tylko dureń tak by to ocenił. — Cisnął niedopałek lia podłogę i zgniótł go czubkiem buta. — Niech pan pomyśli, co by było, gdyby pensjonariusze zaczęli nam zapisywać pieniądze. Wieść rozniosłaby się lotem błyskawicy \ rodziny rzuciłyby się szturmem, żeby zabierać od nas swoich bliskich i lokować ich gdzie indziej.

— Rozumiem. Czy może mi pan podać nazwisko kogoś, kogo zniechęcił pan do sporządzenia zapisu na rzecz domu? Albo raczej nazwisko jego krewnych?

— Po co to panu? Co pan zamierza zrobić?

— Zadzwoń do nich.

— Kiedy?

— Jak tylko opuści pan mój gabinet, dottore. Zanim dojdzie pan do najbliższego telefonu. Messini uznał, że nie ma sensu udawać oburzenia.

— Caterina Lombardi — rzekł. — Jej syn ma na imię Sebastiano. Mieszka w Mestre.

Brunetti zanotował te informacje, po czym podniósł głowę.

— Myślę, że to już wszystko, dottore — rzekł. — : Dziękuję, że zechciał się pan tu pofatygować. | Messini wstał, lecz ani nie wyciągnął ręki na pożegnajcie, ani nie powiedział do widzenia. Po prostu w milczeli ruszył do drzwi. I nawet nimi nie trzasnął. Dyrektor nie zdążył jeszcze opuścić komendy, a już na wio nie zdążył wyjąć z kieszeni komórki, kiedy Brunet-

połączył się z mieszkaniem Sebastiana Lombardiego. ynowa Cateriny Lombardi potwierdziła, że dottor Mes- rzeczywiście zwrócił się do nich z prośbą, aby postarali się wyperswadować teściowej pomysł uwzględnienia w testamencie casa di cura. Signora Lombardi nie mogła się nachwalić dyrektora i troskliwej opieki, jaką otaczał wszystkich pensjonariuszy. Brunetti też zaczął się rozpylić nad Messinim, choć jego entuzjazm był całkowicie nieszczerzy.

Pożegnali się w przyjemnym nastroju.

Rozdział 17

Resztę popołudnia komisarz postanowił spędzić w Bi- blioteka Marciana. Wyszedł z komendy, nie informując nikogo, dokąd się wybiera.

%. Zanim zrobił dyplom z prawa na uniwersytecie w Padwie, przez trzy lata studiował na wydziale historycznym weneckiej uczelni, mieszczącym się w C? Foscari; nauczył >8ię wtedy przeprowadzać kwerendę i odtąd czuł się swoim żywiole zarówno pośród półek z opasłymi toma- mi w Biblioteca Marciana, jak i w labiryntach Archivio di Stato.

Podążając wzdłuż Riva degli Schiavoni, z oddali ujrzał lach biblioteki zaprojektowany przez Sansovina i — jak awsze — rozpromienił się na widok tej pełnej wdzięku, chitektonicznie niezdiscyplinowanej budowli. Wielcy iidowniczo wie- z czasów potęgi Republiki Weneckiej mie- do dyspozycji tylko tratwy, liny, krążki i siłę ludzkich a jednak potrafili wznosić istne cacka. Brunettiemu rzesunęły się przed oczami szkaradne konstrukcje, jaki- @i współcześni weneccanie szpecą swoje miasto: hotel uer Grunwald, Banca Cattolica, stacja kolejowa, i nie po pierwszy zadumał się nad ceną ludzkiej cheiwości.

Kiedy jednak pokonał ostatni most i znalazł się na Pia- za San Marco, jego przygnębienie przysło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; po prostu na tym najpiękniejszym z placów nie sposób się smucić. Wiosenny wiatr poruszał ogromnymi chorągwiemi wiszącymi przed bazyliką; Brunetti uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl, że Lew Świętego Marka, przeący się groźnie na szkarłatnym polu, wygląda znacznie bardziej imponująco niż trzy równoległe pasy na fladze Włoch.

Przeciął plac, kierując się w stronę jasnego portyku, i po chwili był już w bibliotece, miejscu rzadko odwiedzanym przez turystów, choć nikt z miejscowych bynajmniej nie rozpaczał z tego powodu. Minał dwie ogromne rzeźby, osobie w okienku pokazał legitymację i wszedł do holu z katalogami. Zaczął szukać hasła „Opera Pia”; po kwadransie miał tytuły czterech książek i siedmiu artykułów, które ukazały się w czasopiśmie.

Kiedy wręczył wypełnione fiszki bibliotekarce, ta uśmiechnęła się i poprosiła, żeby usiadł i zaczekał, bo realizacja zamówienia zajmie około dwudziestu minut. Brunetti skierował się w stronę długich stołów, starając się stapać jak najdelikatniej, aby nie zakłócić głębokiej ciszy, pośród której nawet szelest przekręcanej strony wydawał się głośny. Czekał, zdjął z półki na chybił trafił jeden z tomów serii pisarzy klasycznych i ciekaw, czy po latach coś jeszcze pamięta z łaciny, zagłębił się w lekturze. Okazało się, że były to listy Pliniusza Młodszego;

zaczął kartkować tom, szukając listu z opisem erupcji Wezuwiusza, podczas której wuj autora stracił życie.

Przeczytał tekst do połowy — nie mogąc się nadziwić, ; mało uwagi autor poświęcił katastrofie, którą z czasem nano za jedno z największych wydarzeń świata antyczne- ?>, a także temu, jak wiele sam zapamiętał z języka, którym służywano się w owym świecie — kiedy do stołu podeszła bibliotekarka z zamówionymi książkami i pismami. Podziękował jej uśmiechem, odstawił Pliniusza, by da- jfej gromadził kurz, i sięgnął po przyniesione książki. Dwie p nich były napisane przez osoby należące do Opera Pia, [« przynajmniej bardzo pozytywnie nastawione do stowa- tycznego i jego celów. Brunetti zaczął przeglądać tomy, ile natchniona retoryka i bezustanne powoływanie się na „świętą misję” sprawiły, że — zirytowany — szybko od- nął je na bok. Autorzy pozostałych dwóch książek pa- yli na organizację nieprzychylnym okiem, toteż te pu- likacje okazały się znacznie ciekawsze. Stowarzyszenie Opera Pia założył w Hiszpanii w 1918 roku Paolo Echeveste, ksiądz z pretensjami do arystokra- cznego pochodzenia; głównym celem organizacji jest, [przynajmniej tak się wydaje, przywrócenie Kościołowi Btołickiemu dominacji politycznej. Do oficjalnie gloszo- ych zadań należy szerzenie w świecie zasad chrześcijań- ch, a tym samym umacnianie władzy kościelnej. Członkowie są zobowiązani do propagowania poglądów ganizacji i doktryn chrześcijańskich w miejscu pracy, r gronie rodziny i w swoim środowisku. Wkrótce po powstaniu stowarzyszenia jego przywód- ' w swej głębokiej mądrości orzekli, iż przynależność do Ego nie powinna być jawna. Choć członkowie Opera Pia stanowczo i konsekwentnie sprzeciwiają się zarzutom, iż to czyni z ich stowarzyszenia organizację tajną, to jednak bacznie pilnują, aby informacje o jego dążeniach, działalności, a nawet liczbie członków nie przedostały się do wiadomości publicznej. Brunetti był przekonany, że za uzasadnienie takiej postawy służą dwa stare, wyświechtane argumenty: istnienie fikcyjnego wroga, który pragnie zniszczyć stowarzyszenie, oraz potrzeba strzeżenia ładu moralnego we wszechświecie. Ze względu na wpływy polityczne wielu członków, a także poparcie i przychyłność obecnego papieża, Opera Pia nie płaci podatków ani nie jest poddawana kontroli żadnej z agencji rządowych w państwach, w których realizuje swoją „świętą misję”. I choć skrytość cechuje każdy aspekt działalności stowarzyszenia, najbardziej nieprzeniknione pozostają jego finanse.

Brunetti przekartkował szybko dalsze partie pierwszej książki, omawiające takie tematy, jak „członkowie liczbowi”, „wybrańcy”, „sodalicje”, po czym sięgnął po drugą. Zawierała mnóstwo domysłów, jeszcze więcej podejrzeń, ale prawdziwych informacji jak na lekarstwo. Książki wrogów i zwolenników organizacji, mimo że pisane z krańcowo odmiennych pozycji, były w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobne: składało się na nie wiele emocji, lecz faktów tyle co kot napłakał.

Komisarz sięgnął po pisma. Wkrótce jednak stwierdził coś bardzo niepokojącego: wszystkie artykuły dotyczące stowarzyszenia zostały precyzyjnie wycięte żyłką. Zerwał się na nogi i ruszył do stanowiska bibliotekarki; przy są* stole, w jasnych kręgach światła rzucanych przez py, drzemało dwóch wiekowych czytelników.

Z tych pism wycięto artykuły — rzekł, kładąc je 1 bibliotekarką.

— Znowu przeciwnicy aborcji? — spytała zatroskana, niespecjalnie zdziwiona.

i— Nie, Opera Pia. r— Ci są jeszcze gorsi — odparła. Przysunęła pisma bliżej i zaczęła je oglądać; od razu erały się w miejscach, gdzie powinny się znajdować ujące strony.

Potrząsnęła głową na widok barbarzyń- , jakiego się dopuszczono z tak niezwykłą staranno- i skrupulatnością.

Nie wiem, czy bibliotekę stać na to, żeby wciąż ku- _ać nowe egzemplarze archiwalne — powiedziała, od- ając pisma na bok. Uczyniła to delikatnie, jakby nie ala okaleczyć ich jeszcze bardziej.

— Czy to się często zdarza? Od kilku lat tak — odparła. — To najnowsza forma estu. Ludzie wycinają i niszczą wszystkie artykuły, któ- jakiegoś powodu im się nie podobają. Przed laty był ta- i o społeczeństwie, w którym palono książki... Fahrenheit 451. Na szczęście u nas się tego nie ro- Brunetti uśmiechnął się, próbując dodać jej otuchy. Jeszcze nie — przyznała kwaśno, po czym zwróci- ? do jednego z wiekowych czytelników, który podszedł Jej stanowiska. »wyjściu na plac Brunetti najpierw popatrzył w stronę o di San Marco, a następnie na bazylikę i jej idiotycz- ne kopuły. Czytał kiedyś o jakiejś miejscowości w Kalifornii, do której jaskółki powracają co roku tego samego dnia. Zdaje się, że na świętego Józefa. Z Wenecją było podobnie — turyści zawsze pojawiali się w drugim tygodniu marca, zupełnie jakby jakiś wewnętrzny kompas kazał im się kierować właśnie tu. Z roku na rok przybywało coraz więcej zwiedzających, miasto zaś przyjmowało ich coraz gościnniej, ze szkodą dla własnych mieszkańców. Likwidowano sklepy owocowo-warzywne i warsztaty szewskie, zastępując je kolejnymi punktami sprzedaży masek, fabrycznie produkowanych koronek oraz plastikowych modeli gondoli.

Brunetti winił za swój podły humor kontakt ze stowarzyszeniem Opera Pia, a ponieważ wiedział, że nic tak nie poprawia nastroju jak spacer, postanowił się przejść. Wracając wzdłuż zalanego popołudniowym słońcem Riva de- gli Schiavoni, miał teraz wodę po prawej, hotele zaś po lewej. Kiedy różnym marszem minął kolejny most, poczuł się znacznie lepiej. A kiedy ujrzał holowniki zacumowane w równym rzędzie przy nabrzeżu, każdy z łacińską nazwą wypisaną na dziobie, zrobiło mu się tak lekko na duszy, że gotów byłby w ślad za przepływającym obok vaporetto pofrunąć na wyspę San Giorgio.

Na widok znaku wskazującego drogę do Ospedale Civile powziął nagłą decyzję. Dwadzieścia minut później był już na Campo Santi Giovanni e Paolo. Siostra oddziałowa poinformowała go, że stan Marii Testy nie uległ zmianie; powiedziała też, że chorą przeniesiono do jedyńki.

— Pokój trzysta siedemnaście. Prosto tym korytarzem i w prawo. Przed pokojem Marii natknął się na puste krzesło, na któ- leżał najnowszy numer „Topolino”. Nie zastanawiając nawet nie pukając, pchnął drzwi i wpadł do środka, po m — nim zdążyły się zamknąć — odruchowo uskoczył lewo i błyskawicznie omiótł wzrokiem pomieszczenie. x Na łóżku leżała postać przykryta kocem, spod którego chodziły liczne rurki połączone z plastikowymi pojem- 'kami. Pacjentka wciąż miała zabandażowane ramię >głowę. Ale kiedy komisarz podszedł bliżej, odniósł wra- nie, że patrzy na kogoś całkiem innego; nos Marii zwę- " się i wydłużył, upodabniając do ptasiego dziobu, oczy padły w głąb czaszki, a ciało tak schudło, że koc zdawał się zasłaniać niemal sam materac. Tak jak poprzednim razem, Brunetti utkwiał spojrzenie twarzy Marii, mając nadzieję, że coś z niej wyczyta. Nie- zytomna, oddychała bardzo powoli; między jednym drugim oddechem następowały tak długie przerwy, że ~misarza dosłownie co kilka sekund ogarniał lęk, iż pra- płuc ustała. Rozglądając się po izolatce, nie zobaczył kwiatów, ksią- k ani żadnych innych przedmiotów, które zwykle się wi- uje w pokojach szpitalnych. Przepełnił go smutek. Pięk- kobieta leżała bez czucia, pogrążona w mroku, ledwo dychając, a nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek tym wiedział, ktokolwiek cierpiał na myśl, że jej noc mo- się nigdy nie skończyć. Kiedy komisarz wyszedł z pokoju, Alvisie siedział przed zwiłkami, jednakże tak był pochłonięty komiksem, że na- t nie podniósł głowy.

— Alvisie — powiedział Brunetti.

Policjant niechętnie odwrócił wzrok od wypełnionej rysunkami strony; na widok komisarza natychmiast poderwał się z krzesła i zasalutował, choć pisma nie odłożył.

— Gdzie byłś?

— Zrobiłem się śpiący, więc poszedłem na dół, żeby napić się kawy. Bałem się, że zasną i ktoś zakradnie się do środka.

— A nie przyszło ci do głowy, że ktoś może wejść do pokoju pod twoją nieobecność?

Alvise był bardziej zdumiony tą sugestią niż Korteż, kiedy zobaczył Pacyfik.

— Skąd by wiedział, że odszedłem? — spytał.

Brunetti nie skomentował.

— No, skąd by wiedział, commissario? — powtórzył policjant.

— Kto cię tu przysłał, Alvise?

— Mamy na komendzie grafik dyżurów; przychodzimy na zmianę.

— O której kończysz?

Alvise rzucił komiks na krzesło i spojrział na zegarek.

— O szóstej.

— Kto ma cię zastąpić?

— Nie wiem, commissario. Sprawdziłem tylko godziny swoich dyżurów.

— Nie wolno ci się stąd ruszać, dopóki nie zjawi się twój zmiennik. Nie rozumiesz tego?

— Nie, commissario. To znaczy tak, commissario.

— Alvise... — Brunetti przysunął się tak blisko p0^

jjanta, że poczuł bijący z jego ust kwaśny zapach kawy rappy— ...jeśli wrócę i zobaczę, że siedzisz, czytasz albo cię w ogóle nie ma, wylecisz z policji na zbity pysk. Nawet zdążysz się poskarżyć w związku zawodowym. Alvise otworzył usta, chcąc powiedzieć coś na swoją stronę, ale Brunetti nie zamierzał wdawać się w dyskusję. — Jedno słowo, Alvise, jedno słowo, i już po tobie. Odwrócił się i odszedł.

Brunetti zaczekał, aż skończą jeść kolację, zanim pomniał Paoli, że w prowadzonym dochodzeniu wypły- *a nazwa Opera Pia. Uczynił tak nie dlatego, iż nie wie- ł w dyskrecję żony, ale ponieważ chciał odwlec chwilę nieuchronnie gwałtownej reakcji. Tak więc wybuch, otnie głośny i spektakularny, nastąpił dopiero wtedy, 'y dzieci poszły już do swoich pokoi — Raffi odrobić ~cę domową z greki, a Chiara coś poczytać.

— Opera Pia?! Opera Pia?! — wrzasnęła Paola na ca- gardło z drugiego końca salonu, gdzie przyszywała gu- do koszuli męża.

Brunetti, który siedział wygodnie na kanapie, z noga- opartymi na niskim stoliku i skrzyżowanymi w kost- -h, aż się skurczył, trafiony salwą żoninego krzyku.

— Opera Pia?! — rozdarła się ponownie, zapewne na adek, gdyby któreś z dzieci nie słyszało jej za pierw-

razem. — Opera Pia ma powiązania z domami opieki Nic dziwnego, że pensjonariusze umierają! Mordują łych staruszków, żeby za ich pieniądze nawracać ja- hś dzikusów na jedyną świętą wiarę!

Brunetti dawno przywykł do tego, że żona często hołduje ekstremalnym poglądom; wiedział też, że kiedy mowa o Kościele, łatwo wpada w gniew i rzadko wypowiada się klarownie. Ale nigdy się nie myliła.

— Nie wiem, czy Opera Pia rzeczywiście ma powiązania z domami opieki, czy nie. Wiem tylko to, co powiedział brat Miottiego: krążą pogłoski, że kapelan domów opieki jest członkiem stowarzyszenia.

— To ci nie wystarczy?!

— Do czego?

— Żeby go aresztować!

— Aresztować? Za co? Że ma inne poglądy w sprawach religijnych niż ty?

— Nie żartuj sobie ze mnie, Guido. — Paola pogroziła mu ręką, w której trzymała igłę.

— Nie żartuję. Ani mi to w głowie. Ale przecież nie mogę aresztować księdza tylko dlatego, że podobno należy do jakiejś organizacji religijnej.

Brunetti podejrzewał, że zgodnie z wyobrażeniami Pa- oli o sprawiedliwości to absolutnie wystarczający powód, ale niczego takiego nie powiedział, uznając, że chwila nie jest ku temu odpowiednia.

Cisza oznaczała, że Paola przyznała mu słuszność, ale energiczne ruchy, jakimi wbijała igłę w mankiet koszuli, dowodziły, że uczyniła to bardzo niechętnie.

— Wiesz, że to banda żądnych władzy zbirów mruknęła.

— Możliwe. Wielu ludzi tak uważa. Ale nie mam na to żadnych dowodów.

— Och, daj spokój, Guido. Wszyscy znają prawdę Opera Pia.

! — Wcale nie jestem tego pewien — rzekł, prostując się. Zdjął nogi ze stolika i założył jedną na drugą.

— Co takiego? — Paola spojrzała gniewnie na męża.

— Wszyscy myślą, że znają prawdę, ale to przecież taj- [t organizacja. Wątpię, żeby ktokolwiek, kto nie jest

lonkiem, wiedział zbyt wiele o stowarzyszeniu i lu- iach, którzy do niego należą. A jeśli ktoś taki by się zna- ł, nie miałbym zaufania do jego informacji. Brunetti obserwował żonę.

Siedziała zadumana, trzy- jąc rękę z igłą nieruchomo i długo nie podnosząc wzro- znad koszuli. Mimo całej swojej zapalczowości była nak logicznie myślącym naukowcem, toteż w końcu po- trzymała na męża.

— Masz rację — przyznała po raz drugi, krzywiąc z niezadowolenia, że znów musi skapitulować. —

Me czy nie wydaje ci się dziwne, że tak mało o nich Wemy?

— Nie, w końcu są tajną organizacją,

k — Na świecie istnieje pełno tajnych organizacji, ale Nększość jest śmiechu warta: masoni, różokrzyżowcy, te pszystkie satanistyczne kultury, które wciąż powstają I* Ameryce.

Tymczasem ludzie boją się Opera Pia. Na- pawdę się boją, tak jak bojówek terrorystycznych.

| — Paolo, chyba się zagalopowałaś, r " — Dobrze wiesz, że krew mnie zalewa na samą myśl ?eh, więc nie wymagaj ode mnie racjonalności! Przez chwilę oboje milczeli.

— Ale to faktycznie dziwne, że udało im się zyskać taką opinię, nie ujawniając nic o sobie ani o swoich metodach działania. — Paola odłożyła koszulę i wbiła igłę w leżącą obok poduszeczkę. — Czego oni chcą?

— Mówisz jak Freud: czego pragnie kobieta?

Paola parsknęła śmiechem; pogarda dla Freuda i jego dzieł była istotnym spoiwem ich związku.

— Nie, serio. Jak ci się zdaje, czego oni chcą? — spytała.

— Nie mam pojęcia — odparł Brunetti, ale po chwili zastanowienia dodał: — Podejrzewam, że władzy.

Paola zamrugnęła oczami i potrząsnęła głową.

— Zawsze przeraża mnie myśl, że komuś może zależeć na władzy.

— To dlatego, że jesteś kobietą. Twierdzicie, że nie chcecie władzy. Nas jednak władza pociąga.

Spojrzała na męża z cieniem uśmiechu na ustach, przekonana, że to wstęp do kolejnego żartu, ale Brunetti nie miał wesołej miny.

\$

, 'ij l', i ?, > ? 'l', i Vf

m-

f W

— Mówię poważnie, Paolo. Myślę, że kobiety nie rozumieją, jak ważne dla nas, mężczyzn, jest posiadanie władzy. — Zobaczył, że żona chce coś powiedzieć, ale nie pozwolił sobie przerwać: — 1 ręczę ci, że nie ma to nic wspólnego z kompleksem macicy. No wiesz, z poczuciem niższości spowodowanym faktem, że nie rodzimy dzieci, i rekompensowaniem braków anatomicznych na inne sposoby. Przynajmniej tak mi się wydaje... — Na moment

urwał, bo nigdy z nikim, nawet z Paolą, nie rozmawiał na ten temat. — Raczej chodzi o to, że od małego chcemy

ć duzi i silni, żeby nikt nam nie dokuczał, tylko żeby- iy sami mogli dokuczać innym.

— To strasznie symplistyczne wyjaśnienie, Guido.

— Wiem. Ale nie znaczy, że błędne. Paola znów potrząsnęła głową.

— Naprawdę tego nie rozumiem. Przecież każdy, oćby miał największą władzę, z czasem się starzeje, tra- siły i w końcu umiera.

Brunettiego uderzyło, jak bardzo słowa Paoli są zbież- e z tym, co mówił Vianello. Nie tak dawno sierżant prze- nywał go, że posiadanie przedmiotów materialnych jest iluzją; teraz żona twierdziła, iż władza jest nie mniej ilu- oryczna. Poczul się nagle jak wulgarny materialista wśród uduchowionych anachoretów. Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas. reszcie Paola spojrzała na zegarek; było po jedenastej. ? — jutro od rana mam zajęcia.

Brunetti wstał z kanapy. Zanim Paola też zdążyła się nieść, zadzwonił telefon. Komisarz podszedł szybko aparatu i podniósł słuchawkę, pewien, że to Vianello ktoś ze szpitala.

— Pronto — powiedział, z trudem maskując strach podniecenie.

— Signor Brunetti? — spytał obcy kobiecy głos.

— Tak.

— Signor Brunetti, muszę z panem pomówić — ajmiła jednym tchem kobieta, po czym umilkła, jakby ła straciła rezon. — A właściwie... właściwie wołała- mówić z pana żoną.

Głos trząsł się jej ze zdenerwowania, więc z obawy, że kobieta się rozłączy, komisarz nawet nie spytał, z kim ma przyjemność.

— Jedną chwileczkę. Zaraz ją poproszę. — Położył słuchawkę na stole.

— Kto to? — spytała szeptem Paola.

— Nie wiem. Chce mówić z tobą.

Paola podeszła do telefonu.

— Pronto.

Brunetti zamierzał odejść, kiedy raptem Paola wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. Spojrzała na niego tak, jakby chciała mu coś przekazać wzrokiem, ale potem, skupiona na tym, co mówi kobieta na drugim końcu linii, zwolniła uchwyt.

— Tak, tak. Zawsze może pani do nas dzwonić. — Jak to miała w zwyczaju, zaczęła bawić się sznurem od telefonu, nawijając go sobie na palce. — Tak, pamiętam panią z wywiadówki.

— Oswobodziła ze sznura lewą dłoń i zaczęła robić z niego pierścienie na palcach prawej ręki. — Cieszę się, że pani zadzwoniła. Postąpiła pani bardzo słusznie. — Wtem znieruchomiała. — Błagam, signo- ra Stocco, niech pani zachowa spokój. Do niczego nie doszło, prawda? A pani mąż? Kiedy wróci? Najważniejsze, że Nicoletta jest cała i zdrowa.

Zerknęła na Brunettiego. Kiedy uniósł pytająco brew, dwa razy skinęła głową, ale nie wiedział, co to ma oznaczać. Potem oparła się o niego, a on objął ją ramieniem i stał tak, słuchając głosu żony oraz trzasków dobiegających ze słuchawki.

— Oczywiście, że powtórzę mężowi. Ale nie sądzę, żeby mógł coś zrobić, chyba że...

Signora Stocco przerwała jej i przez dłuższy czas perorowała coś do słuchawki.

— Rozumiem, doskonale rozumiem — powiedziała Paola. — No tak, skoro do niczego nie doszło... Nie, uważam, że nie powinna jej pani o nic wypytywać, signora Stocco... Tak, porozmawiam z nim jeszcze dziś i oddzwonię do pani jutro. Może pani mi podać swój numer?

Paola odsunęła się od męża, żeby zanotować numer telefonu.

— Czy na pewno nic nie możemy dziś dla pani zrobić? — zapytała po chwili. — Nie, absolutnie, w niczym mi pani nie przeszkodziła. Cieszę się, że pani dzwoni. — Kolejna pauza. — Tak, słyszałam plotki, ale nic konkretnego, to pierwsza taka historia... Oczywiście, oczywiście,

pełni się z panią zgadzam... Porozmawiam z mężem i zatelefonuję jutro rano... Naprawdę, signora Stocco, bardzo dobrze, że się pani do nas zwróciła.

Ze słuchawki znów popłynęła długa seria trzasków.

— Niech pani spróbuje zasnąć, signora Stocco. Grunt, Nicoletcie nic się nie stało...

Oczywiście, może pani do

dzwonić, kiedy tylko pani będzie chciała porozmawiać, względu na porę, naprawdę... Nie, nigdzie nie wycho- imy... Oczywiście, że tak. Naprawdę nie ma za co, si- ra. Dobranoc.

Paola odłożyła słuchawkę i spojrzała na Brunettiego. "— To signora Stocco — wyjaśniła. — Jej córka Nico- letta chodzi do jednej klasy z Chiarą. I ten sam ksiądz uczy ją religii.

— Don Luciano?

Paola skinęła głową.

— Co się stało?

— Tego nie powiedziała. Chyba sama nie wie. Kiedy dziś wieczorem pomagała córce odrabiać lekcje — są w domu same, bo mąż wyjechał na tydzień do Rzymu w interesach — Nicoletta rozplakała się na widok podręcznika religii. Matka spytała ją, dlaczego płacze, ale dziewczynka się zaparła; nie chciała nic wyjawić. Dopiero po jakimś czasie wyznała, że Don Luciano mówił różne dziwne rzeczy, kiedy była u spowiedzi, a potem jej dotykał.

— Gdzie dotykał? — Brunetti zainteresował się zarówno jako policjant, jak i ojciec dziewczynki w tym samym wieku co Nicoletta.

— Nie chciała powiedzieć, a signora Stocco nie naciskała. Bardzo się jednak zdenerwowała. Płakała, rozmawiając ze mną. Prosiła, żeby ci wszystko powtórzyć.

Brunetti mógł się złościć, mógł współczuć dziewczynie i jej matce, ale żeby mógł cokolwiek zrobić jako policjant...

— Nicoletta musi złożyć zeznania — rzekł.

— Wiem. Ale nie sądzę, żeby matka chciała ją do tego nakłaniać.

Brunetti pokiwał głową.

— Jeśli tego nie zrobi, mam związane ręce.

— Wiem. — Paola zamyśliła się. — Ale ja nie.

Brunetti aż sam się zdziwił, jak bardzo przestraszyły g^o słowa żony.

— Co masz na myśli?

— Nie bój się, Guido, nawet go nie dotknę. Tyle mo- ci obiecać. Ale dopilnuję, żeby go spotkała zasłużona ra.

— jaka kara? Przecież nawet nie wiesz, co zrobił. Paola cofnęła się kilka kroków i spojrzała na męża. rorzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknę-

% Jeszcze dwukrotnie otwierała i zamykała usta, po czym ieszła do Brunettiego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie martw się. Obiecuję, że nie złamię prawa. Ale ~ania ukarzę, a jeśli będzie trzeba, zniszczę.

Widziała, jak zaskoczenie malujące się na twarzy mę- ustępuje miejsca zrozumieniu.

— Przepraszam, zawsze zapominam, że nie cierpisz "terii i melodramatów. — Zerknęła na zegarek i znów

iniosła wzrok. — Tak jak mówiłam, jest późno, a od ra- mam zajęcia.

Zostawiwszy Brunettiego w salonie, wyszła na korytarz skierowała się do sypialni.

Rozdział 18

Brunetti zwykle spał jak kamień, ale tej nocy zbudził go koszmarny sen, z którego zapamiętał tylko to, że były w nim lwy, żółwie i jakieś groteskowe monstrum o łysej czaszce i długiej brodzie. Dzwony San Polo odliczały godziny, dotrzymując komisarzowi towarzystwa, kiedy ciskał się z boku na bok, nie mogąc ponownie zasnąć. O piątej nagle zrozumiał, że Maria Testa musi odzyskać przytomność i zacząć mówić; kiedy to sobie uświadomił,

natychmiast zapadł w głęboki, niczym niezmacony sen i przespał nawet wyjście Paoli do pracy.

Obudził się trochę przed dziewiątą; przez dwadzieścia minut leżał w łóżku, obmyślając plan i daremnie usiłując usmierzyć niepokój, że to na Marii skupi się całe niebezpieczeństwo wywołane jej „wskrzeszeniem”. Wreszcie chęć wprowadzenia planu w życie sprawiła, że wstał i wziął prysznic, a następnie udał się na komendę. Stamtąd zadzwonił do ordynatora neurologii w Ospedale Civile i już na wstępie poniósł pierwszą porażkę, lekarz bowiem oświadczył, że Marii Testy w żadnym wypadku nie wolno nigdzie przenosić — jej stan na to nie pozwala. Jako weteran wieloletnich bojów ze służbą medyczną Brunetti podejrzewał, że jej ordynator pragnie oszczędzić sobie dodatkowej „< ale wiedział, że nie ma się co spierać. Właśnie Vianella i wyjaśnił mu swój plan. Najważniejsze to zamieścić w jutrzejszym wydaniu „zettino” informację o tym, że się przebudziła — lił na koniec. — Wiesz, że gazety uwielbiają takie pewnie zatytułują artykuł „Powrót znad grobu” koś podobnie. A wtedy osoba, która ją potrafiła, uje jeszcze raz.

Sierżant wpatrywał się w twarz komisarza, jakby dojrzał coś nowego, ale nic nie powiedział. No i co? — spytał Brunetti. Starczy czasu, żeby wiadomość ukazała się w jutrzejszym wydaniu? Komisarz spojrzął na zegarek. Oczywiście — rzekł, a ponieważ Vianello nadal nie wyrażał najmniejszego entuzjazmu dla jego pomysłu, dodał: — Co ci się nie podoba?

To, że możemy narazić Marię na niebezpieczeństwo — odparł z ociąganiem sierżant. — Ze ma służyć za ęć.

Tak jak mówiłem, przez cały czas ktoś będzie z nią koju.

Commissario... — zaczął Vianello tym cierpliwym, który zawsze sprawiał, że Brunetti czuł się jak uczeń — ...przecież ktoś ze szpitala powinien być z tym tajemniczony.

Oczywiście. No więc?

— No więc co? — warknął Brunetti, którego gniewna reakcja wynikała z własnych obaw. Sam dokładnie wszystko przemyślał i zdawał sobie sprawę z zagrożenia.

— To zwiększa ryzyko. Ludzie lubią gadać. Wystarczy, że ktoś zajrzy do bufetu na parterze i zacznie pytać o Marię, a jakaś pielęgniarka, sanitariusz czy lekarz wyjawia, że w pokoju pacjentki stale dyżuruje policjant.

— Więc nie będziemy mówić, że Marii pilnują policjanci. Powiemy, że zrezygnowaliśmy z ochrony, a w pokoju dyżurują krewni.

— A może członkowie jej zakonu? — zaproponował Vianello tak beznamiętnym głosem, że Brunetti nie był w stanie ocenić, czy sierżant ironizuje, czy mówi serio.

— Nikt w szpitalu nie wie, że Maria była zakonnica — rzekł, choć miał co do tego wątpliwości.

— Nie wierzę.

— Dlaczego?

— Szpital nie jest zbyt duży — odparł sierżant. — Trudno w takim miejscu utrzymać coś w tajemnicy. Powinniśmy raczej założyć, że wiedzą tam o niej wszystko.

Ponieważ Vianello przejął się sugestią, że Maria ma służyć jako przynęta, Brunetti nie chciał przyznać wprost, iż właśnie na tym opiera się jego plan. Zresztą miał już dość wysłuchiwanie zastrzeżeń sierżanta; bądź co bądź od rana starał się zminimalizować własne.

— Czy to ty układasz grafik dyżurów?

— Tak, commissario.

— Znakomicie. Wyznacz ludziom dyżury, ale powiedz im, że mają je pełnić nie na korytarzu, tylko w pokoju — przykaż, aby pod żadnym pozorem nigdzie nie wychodzili; jeśli już koniecznie muszą, to mają wezwać pielęgniarkę i prosić, by ich na chwilę zastąpiła — dodał, przypominając sobie rozmowę z Alvisem. — Mnie też wpisz, od północy do ósmej, poczynając od dzisiaj. I — Dobrze, commissario.

Vianello wstał, więc Brunetti pochylił się nad papierami, ale po chwili zauważył, że sierżant jeszcze nie wyszedł.

— Jedną z zalet ćwiczeń na siłowni... — Vianello poczekał, aż komisarz znów na niego spojrzy — ...jest to, że potrzebuję znacznie mniej snu. Jeśli pan chce, możemy obaj podzielić się tą zmianą. Wtedy będziemy potrzebowali jeszcze tylko dwóch ludzi, a to ułatwi sprawę. | Brunetti uśmiechnął się z wdzięcznością. I — Chcesz dyżurować pierwszy? — spytał. L — Dobrze. Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo. | — Przecież mówiłeś, że wystarczy ci mniej snu. I — To prawda. Ale Nadia nie będzie zadowolona. I Brunetti pomyślał, że Paola też nie.

Vianello przystanął w drzwiach, uniósł dłoń na wysokość czoła i wykonał nią dziwny ruch; komisarz nie miał wątpliwości, czy nie chciało mu się poprawnie zaszalutować, był to znak, jaki wymieniają spiskowcy. Kiedy sierżant zszedł na dół, żeby przygotować plan urów i poprosić Elettę, by zatelefonowała do „U Gazino”, Brunetti postanowił namieszać jeszcze bardziej, zwoił do domu opieki San Leonardo i zostawił wiadomość dla matki przełożonej, że Maria Testa — nie żałując posługiwać się jej imieniem zakonnym — powoli wraca do zdrowia w Ospedale Civile i liczy na to, że jak tylko będzie mogła przyjmować gości — co powinno nastąpić już wkrótce, zapewne na początku przyszłego tygodnia — matka przełożona zechce ją odwiedzić. Zanim się rozłączył, poprosił siostrę, z którą rozmawiał, żeby przekazała tę samą wiadomość dyrektorowi Messiniemu. Następnie odszukał i wykrcił numer siedziby zakonu; ku jego zdziwieniu włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrał wiadomość tej samej treści dla Padre Pio.

Miał ochotę wykonać jeszcze dwa telefony, ale ostatecznie uznał, że o powrocie do zdrowia byłej zakonnicy contessa Crivoni i signorina Lerini mogą się dowiedzieć z gazety.

Kiedy kilka minut później wszedł do sekretariatu, Elettra podniosła głowę, ale nie uśmiechnęła się, jak to zwykła czynić.

— Coś pani leży na wątrobie, signorina?

— Aha. — Wskazała tekturową teczkę na biurku. — Padre Pio Cavaletti.

— Aż tak źle? — spytał, choć sam nie wiedział, co ma na myśli, mówiąc „aż tak”.

— Sam się pan przekona.

Brunetti sięgnął po cieką teczkę i otworzył ją z zainteresowaniem. W środku znajdowały się odbitki trzech dokumentów: zawiadomienia z oddziału Union des Banques Suisses w Lugano, listu pisanego ręką trzęsącą się ze starości lub w wyniku choroby — na pierwszym z tych pism adresat figurował jako signor Pio Cavaletti, na drugim jako Padre Pio — oraz urzędowej decyzji, na której widniała znajoma już pieczęć Patriarchy Wenecji.

Komisarz ponownie spojrzął na sekretarkę, która siedziała w milczeniu, z rękami złożonymi na biurku, czekając, by zapoznał się z dokumentami. Przeczytał je kolejno bardzo dokładnie.

Signor Cavaletti. Potwierdzamy wpłatę sumy 27 000 franków szwajcarskich, dokonaną na pański rachunek w naszym oddziale w dniu 29 stycznia.

Był to wydruk komputerowy, bez podpisu.

Świątobliwy Ojcze!

To dzięki Tobie moje grzeszne oczy zwrócone są teraz ku Bogu. Zaiste, Jego łaska jest nie z tego świata. Miałaś rację — moja rodzina odwróciła się od Niego. Wyrzekli się Go, wyparli. Postać mi tylko Ty, Świątobliwy Ojcze, Ty i błogosławieni, do których codziennie zanoszę modły. Słowa nie wystarają, żeby okazać Ci wdzięczność. Odchodzę do Pana naszego, wiedząc, że podjęta przeze mnie decyzja jest słuszna.

Podpis był nieczytelny.

Niniejszym udziela się zgody stowarzyszeniu kościelnemu „Pia” na założenie w naszym mieście misji pod kierunkiem re. Pio Cavalettiego w celu szerzenia pobożności i wiary.

U dołu widniał podpis i pieczęć dyrektora wydziału or-

acji religijnych. — I co pani o tym sądzi, signorina? — zapytał Brunetti, kiedy przestudiował odbitki.

fH; ? i

— Myślę, że sprawa jest jasna, commissario.

— To znaczy?

— Mamy do czynienia z wyłudzeniem pieniędzy po- przez szantaż duchowy. Kościół uprawia ten proceder od wieków; różnica polega na tym, że ksiądz Cavaletti działa na mniejszą skalę i w wyjątkowo podły sposób.

— Skąd pochodzą te dokumenty?

— Drugi i trzeci z sekretariatu patriarchy, choć z innych akt.

— A pierwszy?

— Z wiarygodnego źródła — oświadczyła, dając do zrozumienia, że więcej nie zamierza wyjawić.

— Wierzę pani na słowo, signorina.

— Dziękuję — odparła z prostotą.

— Czytałem o nich. O Opera Pia. Czy przyjaciel pani przyjaciółki może wie, jak bardzo są... — chciał powiedzieć „silni i wpływowi”, ale uległ irracjonalnemu głosowi, by nie kusić losu — ... liczni w Wenecji?

— Mówił, że trudno uzyskać o nich jakiekolwiek informacje. Ale jest przekonany, że są groźni i że ich wpływy sięgają daleko.

— To samo opowiadano niegdyś o czarownicach, signorina.

— Czarownice nigdy nie były właścicielkami całych połaci Londynu, commissario. Żaden papież nie wychwalał ich „świętej misji”. Ani też nikt nie udzielał im zgody na zakładanie agentur — dodała, wskazując na teczkę, którą wciąż trzymał w dłoni.

— Nie wiedziałem, że ma pani tak zdecydowane po- łądy na temat religii.

— Tu nie chodzi o religię, commissario.

— Nie? — spytał, szczerze zdziwiony.

— Tu chodzi o władzę. Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami.

— Tak, ma pani rację — przyznał w końcu.

— Vice-questore Patta polecił, bym przekazała panu, że wizyta szefa policji szwajcarskiej została przełożona.

— Moja żona też tak uważa — powiedział Brunetti, który zadumał się do tego stopnia, że ostatnia wypowiedź sekretarki właściwie do niego nie dotarła. — Mówię o władzy — dodał, widząc zdziwienie malujące się na jej twarzy. I— Przepraszam, co pani przed chwilą powiedziała?

— Ze wizyta szefa policji szwajcarskiej została przełożona.

| — Ach, w ogóle o niej zapomniałem. Dziękuję, signorina. Zostawił teczkę na jej biurku, po czym wrócił do gabinetu, żeby włożyć płaszcz.

Tym razem otworzył mu mężczyzna w średnim wieku, ubrany w coś, co zapewne miało kojarzyć się z habitem, a w czym wyglądał tak, jakby włożył damską kieckę, w dodatku sporo za długą. Kiedy Brunetti wyjaśnił, że chce rozmawiać z Padre Pio, furtian złączył ręce, skłonił głowę i nie odzywając się słowem, wpuścił go do środka. Idąc Przez ogród, komisarz nigdzie nie dostrzegł starego ogrodnika. Zapach bzu był jeszcze bardziej intensywny niż podczas poprzedniej wizyty. Czulo się go również w budynku, choć tam mieszała się z ostrą wonią środków czyszczących i wosku do podłóg. Na korytarzu minęli młodego mężczyznę idącego z naprzeciwka. Dwaj zakonnicy w milczeniu i z powagą skinęli sobie głowami; Brunetti odniósł wrażenie, że tylko zgrywają się na świętoszków.

Przewodnik, którego nazywał w myślach pobożnym niemową, zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Padre Pio i wskazał je brodą. Komisarz wszedł bez pukania; okazało się, że słusznie postąpił, bo pokój był pusty.

Dziś okna były zamknięte, wiatr nie wiewał do środka zapachu bzu, za to Brunetti zauważył krzyż wiszący na przeciwległej ścianie. Nie przepadał za tym symbolem, więc tylko pobieżnie rzucił na niego okiem, nie zastanawiając się, czy ma jakieś walory artystyczne.

Po chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł Padre Pio. Dziś też habit zakonu leżał na nim wyjątkowo dobrze i zdawał się wcale nie krępować ruchów. Uwagę Brunettiego znów przyciągnęły pełne wargi księdza, ale tak jak i poprzednim razem uznał, że kluczem do jego duszy są oczy — szarzielone i błyszczące inteligencją.

— Miło mi, że znów zechciał mnie pan odwiedzić, commissario. I dziękuję za pozostawioną wiadomość. Modliliśmy się wszyscy bardzo żarliwie o zdrowie Suor'Immacolaty.

Brunetti miał ochotę powiedzieć duchownemu, żeby dał sobie spokój z hipokryzją; z trudem się powstrzymał.

— Chciałbym zadać księdzu jeszcze kilka pytań.

— Oczywiście. Odpowiem z przyjemnością, o ile, jak już o tym mówiliśmy, nie będą wymagały ujawnienia informacji, których ujawnić nie mogę.

Chociaż kapłan nie przestawał się uśmiechać, widać było, że wyczuwa zmianę w nastawieniu komisarza.

— Nie, nie sędzę, aby informacje, o które mi chodzi, chroniła tajemnica spowiedzi.

— Świetnie. Ale zanim pan zacznie, może usiądziemy, dobrze? Nie ma powodu, żebyśmy rozmawiali na stojąco. — Podprowadził komisarza do tych samych foteli, w których siedzieli poprzednio, i wprawnym ruchem ob- ; ciągnął habit, pierwszy zajął miejsce. Ujął w prawą dłoń różaniec i zaczął przesuwać paciorki. — Co pana interesuje?

p. — Proszę mi opowiedzieć o swojej pracy w domach ?opieki.

Cavaletti zaśmiał się cicho.

— Nie nazwałbym tego, co robię, pracą, commissario. Jestem kapelanem mieszkających tam pensjonariuszy

części personelu. Cóż może być większą radością niż po- edniczenie między ludźmi a Stwórcą? To nie praca; to romne szczęście.

Spojrzał na drugi koniec gabinetu, świadom, że inetti bez entuzjazmu przyjął jego szumne słowa.

— Spowiada ich ksiądz?

— Nie wiem, czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu, 'missario.

Cavaletti uśmiechnął się, aby komisarz nie poczuł się ażony jego wypowiedzią.

— Pytanie.

— A więc odpowiem. Tak, spowiadam pensjonariuszy, jak również część personelu. To wielka odpowiedzialność, zwłaszcza w wypadku ludzi starych.

— Dlaczego, proszę księdza?

— Bo ich pobyt na ziemi zbliża się do kresu.

— Rozumiem — rzekł Brunetti, po czym spytał takim tonem, jakby jego pytanie było logicznym następstwem otrzymanej odpowiedzi: — Czy ksiądz ma konto w Union des Banques Suisses, oddział w Lugano?

Pobłażliwy uśmiech pozostał na pełnych ustach Cavalet- tiego, ale Brunetti dostrzegł, że oczy kapłana się zwały — ledwo zauważalnie, dosłownie na moment, ale jednak.

— Cóż za dziwne pytanie... — Cavaletti zmarszczył brwi, jakby czegoś nie rozumiał. — Jaki to ma związek ze spowiadaniem pensjonariuszy?

— Właśnie tego próbuję się dowiedzieć, proszę księdza.

— Doprawdy nie pojmuję...

— Czy ma ksiądz konto w Union des Banques Suisses w Lugano?

Kapłan przesunął różaniec o jeden paciorek.

— Tak — odparł. — W kantonie Ticino mam krewnych, których odwiedzam dwa, trzy razy do roku. Uznałem, że wygodniej jest otworzyć konto w Lugano niż za każdym razem wozić ze sobą gotówkę.

— Ile pieniędzy trzyma ksiądz na tym koncie?

Cavaletti uniósł oczy ku sufitowi, jakby coś sobie przeliczał w myślach.

— Około tysiąca franków — rzekł po chwili, po czym dodał usłużnie: — To mniej więcej milion lirów.

— Potrafię przeliczać franki szwajcarskie na liry, pro- ;ę księdza. To jedna z pierwszych umiejętności, jakie po- icjant w tym kraju musi opanować — oznajmił Brunetti | uśmiechnął się, aby pokazać rozmówcy, że żartuje. | Cavaletti nie odwzajemnił uśmiechu. [— Czy jest ksiądz członkiem stowarzyszenia Opera Pia?

Duchowny puścił różaniec i w błagalnym geście uniósł 'obie ręce.

| — Och, commissario, cóż za dziwne zadaje mi pan ?dziś pytania! Nie mogę dociec, jaki związek zachodzi między nimi w pańskiej głowie.

— A zatem odpowiedź brzmi: tak czy nie? iłS Cavaletti milczał przez dłuższą chwilę.

— Tak — rzekł w końcu. 'jt Brunetti wstał.

— To wszystko, proszę księdza. Dziękuję za rozmowę. Kapłan po raz pierwszy nie był w stanie ukryć zdumie-

I

?Bia: przez kilka sekund siedział bez ruchu, wpatrując się p Brunettiego. Potem jednak poderwał się na nogi, odpro- padził gościa do drzwi i nawet sam je otworzył. Idąc ko- rzem, komisarz świadom był dwóch rzeczy: oczu księ- wwiercających mu się w plecy oraz zapachu bzu, który iwał się coraz bardziej intensywny, w miarę jak on sam liżał się ku wyjściu do ogrodu. Żadne z tych doznań nie 'rawiało Brunettiemu przyjemności.

Rozdział 19

Chociaż nie sądził, aby Marii groziło niebezpieczeństwo przed ukazaniem się w „Il Gazzettino” informacji o przebudzeniu — nie miał zresztą żadnej pewności, czy później cokolwiek będzie jej zagrażać — to jednak kilka minut po trzeciej odsunął się od Paoli i wstał z łóżka. Dopiero kiedy zapinał koszulę, rozbudził się na tyle, że usłyszał deszcz bębniący o szyby sypialni. Zaklął pod nosem, następnie podszedł do okna i otworzył lufcik, chcąc sprawdzić, czy jest ciepło, czy zimno, ale zamknął go pośpiesznie, gdyż wilgotne powietrze, które wpadło do środka, było wręcz lodowate. W korytarzu włożył płaszcz przeciwdeszczowy i chwycił parasol; drugi wziął z myślą o sierżancie.

Oczy Vianella, podkrążone z niewyspania, patrzyły z wyrzutem na komisarza, mimo iż zjawił się w pokoju Marii Testy prawie pół godziny przed ustaloną porą. Żaden z mężczyzn nie podchodził do łóżka, na którym leżała nieprzytomna kobieta; jej bezbronność była niczym ognisty miecz trzymający ich na dystans. Przywitani sif szeptem i wyszli do holu, żeby porozmawiać.

Brunetti oparł parasole o ścianę.

i — I co? — spytał, ściągając płaszcz. i — Mniej więcej co dwie godziny zagłada pielęgniarka — odparł sierżant. — Patrzy na nią, mierzy jej puls, zapisuje w karcie choroby i to wszystko. i> — Mówi coś? v — Kto? Pielęgniarka? I — Tak.

| — Nie, w ogóle się do mnie nie odzywa, jakbym był niewidzialny. — Vianello ziewnął. — Musiałem się szczypać, żeby nie zasnąć.

— Trzeba było robić pompki. Sierżant bez słowa popatrzył na Brunettiego.

— Naprawdę jestem ci wdzięczny za pomoc — powie- ilział komisarz pojednawczym tonem. — Przyniosłem pa-

«sol, bo leje jak z cebra, f Vianello podziękował skinieniem głowy.

— Kto przychodzi rano? — spytał Brunetti.

— Gravini. Potem Pucetti. A po nim znów ja. Na szczęście nie dodał, że jego dyżur ponownie wy-
dnie o północy.

— Dzięki, Vianello. Idź się przespać. Sierżant skinął głową, tłumiąc potężne ziewnięcie, po-
TO podniósł złożony parasol i ruszył holem. Brunetti już 'ciągał rękę, żeby otworzyć drzwi do
izolatki, kiedy na-
coś sobie przypomniał.

— Były jakieś narzekania z powodu dyżurów?! — za- ał za sierżantem. Vianello się
zatrzymał. ! — Na razie nie.

— Jak sądzisz, ile mamy czasu? — spytał enigmatycznie, nie chcąc dopytywać się wprost,
kiedy zdaniem sierżanta vice-questore Patta dowie się, że policjanci z jego komendy pełnią
dyżury w szpitalu, choć nikt z nim tego nie uzgadniał.

Vianello odgadł, o co chodzi przełożonemu.

— Diabli wiedzą, ale myślę, że miną ze trzy, cztery dni, zanim porucznik Scarpa coś
zwytry. Może nawet tydzień. Na pewno nie więcej.

— Miejmy nadzieję, że do tego czasu zwierzyna wpadnie w pułapkę.

— Jeśli w ogóle jest jakaś zwierzyna — powiedział Vianello, ujawniając sceptyczne
nastawienie, po czym odwrócił się i zaczął oddalać.

Brunetti obserwował szerokie plecy sierżanta, dopóki ten nie skręcił w prawo w kierunku
schodów i nie znikł mu z oczu. Dopiero wtedy, gdy został sam na korytarzu, wszedł do
pokoju Marii. Powiesił płaszcz na oparciu krzesła, na którym wcześniej siedział Vianello,
parasol zaś postawił w kącie.

Przy łóżku paliła się lampka, tworząc nieduży świetlisty krąg wokół głowy nieprzytomnej;
resztę pomieszczenia spowijał półmrok. Brunetti wątpił, by górne światło przeszkadzało
Marii — zresztą byłoby dobrze, gdyby ją zbudziło — ale nie miał ochoty go zapalać, więc po-
prostu usiadł na krzesle, nie wyjmując z kieszeni zabranej z domu książki; Rozmyślenia
Marka Aureliusza już nieraz przynosiły mu otuchę w ciężkich chwilach.

Ponownie przebiegł w myślach wydarzenia, o których mówiła mu Maria Testa, oraz te,
które nastąpiły po jej w>*

cie na komendzie. Zgon kilku pensjonariuszy domu pieki w stosunkowo krótkim okresie,
potrącenie Marii czez samochód, śmierć da Pre. Rozpatrywane oddzielnie, aogły być
przypadkowymi incydentami, ale ich skumulowanie wykluczało w oczach Brunettiego
możliwość, że t grę wchodzi zbieg okoliczności. To oznaczało, że wy- arzenia są ściśle ze
sobą powiązane, choć jeszcze nie po- |afił odgadnąć, w jaki sposób.

Messini odwoził pensjonariuszy od zapisywania pieniędzy jemu albo domom opieki, Padre
Pio nie był wymie- aony w żadnym z testamentów, zakonnice nie mogły nic »siadać.
Contessa Crivoni sama była zamożną osobą, węc nie zależało jej na spadku po mężu; da Pre
myślał tyl- 10 o swoich tabakierkach; signorina Lerini najwyraźniej Jawno temu wyrzekła się
bogactw tego świata. Cui bono? lui bono? Należało się dowiedzieć, kto zyskiwał najwię- ej na
zabójstwach. Dopiero gdy się pozna odpowiedź na i) pytanie, ujrzy się ścieżkę wiodącą do
mordercy, ujrzy Bk wyraźnie, jakby oświecił ją anioł z pochodnią.

Brunetti nie uważał się za człowieka wolnego od sła- lości: pycha, lenistwo i gniew to
główne przywary, jakie usuwały mu się na myśl; wiedział natomiast, że nie ce- huje go
chciwość, i ilekroć miał do czynienia z jej prze- twami, czuł się bezradny, jakby stykał się z
czymś obcym, ieznanym. Zdawał sobie sprawę, że chciwość jest jedną ??najpospolitszych
wad, jeśli nie najbardziej pospolitą, fihoć potrafił zrozumieć jej mechanizmy, nie znajdował
topatii dla ludzi zachłannych — wręcz napawali go @trętem.

Spojrzał przez pokój na kobietę leżącą nieruchomo na łóżku. Żaden z lekarzy nie umiał
ocenić, jak rozległe są odniesione przez nią obrażenia mózgu. Jeden twierdził, że pacjentka
prawdopodobnie w ogóle nie obudzi się ze śpiączki. Inny, że powinna odzyskać przytomność

w ciągu kilku dni. Brunetti miał wrażenie, że wyrazem najgłębszej mądrości były słowa jednej z zakonnicy zatrudnionej w szpitalu: „Nie traćmy nadziei, módlmy się i ufajmy w miłosierdzie Pana”.

Kiedy patrzył na Marię, wspominając dobroć promieniejącą z jej oczu, do izolatki weszła inna siostra. Postawiła tacę na stoliku przy głowie pacjentki, po czym uniosła z pościeli jej rękę. Trzymała ją przez chwilę za nadgarstek, cały czas spoglądając na zegarek, po czym opuściła rękę nieprzytomnej i podeszła do karty choroby wiszącej w nogach łóżka, aby zapisać wynik.

Następnie sięgnęła po tacę i skierowała się w stronę drzwi. Zobaczywszy Brunettiego, bez uśmiechu skinęła mu głową.

Do rana nic więcej się nie wydarzyło. Kiedy o szóstej ponownie weszła ta sama zakonnica, komisarz nie siedział już na krześle; z obawy przed zaśnięciem stał wsparty o ścianę.

Była za dwadzieścia ósma, kiedy zjawił się funkcjonariusz Gravini, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, kalosze i dzinsy.

— Sierżant Vianello powiedział, żebyśmy nie wkładali mundurów, commissario — zaczął się usprawiedliwiać przed przełożonym, jeszcze zanim się przywitał.

— Tak, wiem, Gravini. Bardzo słusznie. Wciąż moc- pada? — spytał Brunetti.

Nie wiedział, jak jest na zewnątrz, gdyż jedyne okno oju wychodziło na osłonięte przejście. — Leje, commissario. I podobno nie ustanie aż do tku.

Brunetti podniósł z krzesła płaszcz, żałując, że nie włożył kaloszy. Wcześniej planował, że zanim uda się na komendę, wpadnie do domu i weźmie prysznic, ale byłoby 'eństwem iść taki kawał w deszczu, skoro stąd do komendy miał tylko parę kroków. Podejrzał zresztą, że kilka w szybciej postawi go na nogi. Były to złudne marzenia; zjawił się na komendzie sen- , rozdrażniony, w paskudnym nastroju, który jeszcze pogorszył, kiedy dwie godziny później zadzwonił vice-questore Patta i wezwał go do siebie. Elettory nie było przy biurku, więc nie mogła go uprzedzić, jak to zwykle czyniła, czego może się od Patti spodziewać. Ale tego dnia czuł się tak podle z niewyspania nadmiaru wypitej kawy, że w gruncie rzeczy było mu stko jedno.

— Otrzymałem bardzo niepokojące wieści od mojego rucznika — oznajmił Patta bez żadnego wstępu. Brunettiego normalnie rozbawiłaby ta wypowiedź, że szefowi niechcący wyszło się coś, o czym od dawna wiedziała cała komenda, mianowicie, że porucznik rpa jest jego donosicielem. Tego ranka jednak komi-

był tak otumaniony brakiem snu, iż ledwo zarejestrował zaimięk dzierżawczy użyty przez Pattę.

— Słyszysz, co mówię, Brunetti?

— Tak. Ale nie mam pojęcia, co mogło zaniepokoić porucznika.

— Twoje postępowanie! — zawołał Patta, prostując się w fotelu.

— Moje postępowanie, vice-questore?

Brunetti zauważył, że Patta ma bielszą cerę, niż kiedy go widział ostatnio; albo schodziła mu opalenizna, albo pobladł z gniewu.

— Chodzi o tę krucjatę przeciw Świętej Matce Kościołowi, którą rozpętałeś! — ryknął, po czym nagle umilkł, jakby zdał sobie sprawę — choć to było mało prawdopodobne — że trochę przesadził.

— Czy mógłby się pan wyrażać nieco jaśniej, vice-questore — poprosił Brunetti, drapiąc się po brodzie i natrafiając na kępkę zarostu; najwyraźniej musiał ją ominąć, kiedy po przyjsciu do pracy golił się maszynką elektryczną, którą trzymał w biurku.

— Prześladujesz przedstawicieli kleru! Obraziłeś matkę przełożoną zakonu Świętego Krzyża! — Patta zrobił wymowną pauzę, aby dać Brunettiemu czas na uzmysłowienie sobie powagi kierowanych przeciw niemu oskarżeń.

— No i rozpytuję o stowarzyszenie Opera Pia. Porucznik Scarpa chyba umieścił ten zarzut na swojej liście?

— Skąd wiesz? — zapytał Patta.

— Bo jeśli porucznik sporządza listę moich uchybień, to tego zarzutu nie mógł pominąć. Zwłaszcza jeśli, tak jak podejrzewam, rozkazy wydaje mu Opera Pia.

tta uderzył pięścią w biurko. To ja wydaję Scarpie rozkazy, commissariol. — Czy mam rozumieć, że pan też należy do stowarzy- ia?

Patta przysunął się wraz z fotelem do biurka i nachylił onę Brunettiego.

— Nie wezwałem cię po to, żebyś ty zadawał mi py-
Brunetti wzruszył ramionami.

— Słyszysz, co mówię?

— Tak, vice-questore — powiedział komisarz, stwier- jąc ze zdumieniem, że wcale nie musi się wysilać, aby hować spokój; Patta i Scarpa obchodzili go tyle co nic.

— Miałem na ciebie skargi, bardzo liczne skargi — tynuował komendant. — Przeor zakonu Świętego
za dzwonił, żeby wyrazić protest w związku z tym, jak ktujesz członków jego wspólnoty. Co więcej, podobno rywasz zbiegłą zakonnicę.

— Ukrywam?

— Słyszałem, że przebywa w szpitalu, bo miała wupa- k, ale jest już przytomna i szkaluje zakon na prawo i le- . Czy to prawda?

— Tak.

— Wiesz, gdzie jest?

— Tak jak pan powiedział, w szpitalu.

— A ty ją tam odwiedzasz i nikogo do niej nie dopusz- sz, tak?

— Przydzieliłem jej ochronę policyjną.

— Ochronę policyjną?! — Patta rozdarł się tak, że zapewne było go słychać na parterze. — Kto ci pozwolił? Dlaczego nie jest to zaznaczone w grafiku?

— A widział pan grafik, vice-questore?

— Nie twoja sprawa, czy widziałem, Brunetti. Powiedz mi lepiej, dlaczego jej nazwisko tam nie figuruje.

— Bo kazałem wpisać dyżury nie jako „ochrona świadka”, lecz „czynności śledcze”.

— Czynności śledcze?! — Patta niczym echo powtórzył ostatnie słowa Brunettiego, ale z taką mocą, że aż zatrzęśły się ściany. — Funkcjonariusze siedzą beczynnie na tyłkach w szpitalu, a ty masz czelność nazywać to „czynnościami śledczymi”?

Brunetti chciał zaproponować przełożonemu, że skoro tak bardzo mu na tym zależy, odąd mogą pisać w grafiku „ochrona świadka”, ale posłuchał głosu rozsądku i się nie odezwał.

— Kto tam jest teraz?

— Gravini.

— Więc natychmiast go tu ściągnij! Policja w tym mieście ma ważniejsze zadania niż pilnowanie zbiegłej zakonnicy, która była na tyle nieostrożna, że wylądowała w szpitalu.

— Uważam, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, vice-questore.

— Nie chcę o tym słyszeć. — Patta gniewnie machnął ręką. — Zresztą nie obchodzi mnie, czy zagraża, czy nie zagraża. Skoro zdecydowała się uciec spod ochrony Świętej Matki Kościoła, musi sama sobie radzić ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie czyhają na nią w laickim świecie, za którym tak nagle zatęskniła.

runetti otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Patta dał sobie przerwać.

— W ciągu dziesięciu minut Gravini ma wrócić na kodę — oznajmił, podnosząc głos. — Nie życzę sobie, ktokolwiek pełnił dyżur przed pokojem tej kobiety, kcjonariusz, który tam się pojawi, natychmiast wyleci pysk. — Pochylił się jeszcze bardziej i dodał złowiesz- n tonem: — Ten sam los spotka również tego, kto go wyśle. Rozumiemy się, commissario?

— Tak.

— I trzymaj się z dala od członków zakonu Świętego ?yza. Przeor nie domaga się przeprosin. Po tym, co sły-
łem o twoim karygodnym zachowaniu, uważam, że to prawdę wielkoduszną z jego strony.

Brunetti nie pierwszy raz miał kłopoty z Patta, ale chyba dy dotąd nie widział go tak wzburzonego i roztrzęsionego. Podczas gdy vice-questore dalej łajał go w tym duchu, podkręcając gałkę swojej irytacji, komisarz zaczął się "tanawiać, co spowodowało tak nerwową reakcję szefa, końcu doszedł do wniosku, że przyczyna może być tylko na: strach. Gdyby Patta należał do Opera Pia, pewnie by zwymyślał i kazał mu przestać interesować się stowarzy-
eniem — awantura, jaką by zrobił, nie różniłaby się od zystkich wcześniejszych. Patta jednak zachowywał się pełnie inaczej — kierował nim strach. Głos szefa wyrwał komisarza z zamyślenia.

— Rozumiesz, co mówię, Brunetti?

— Tak, vice-questore — potwierdził komisarz, wsta- c. — Zaraz ściągnę Graviniego ze szpitala.

— Jeśli poslesz tam kogoś innego, Brunetti skonczoney. Jasne/

— Tak, oczywiście.

Na

szczęście Patta nie mógł rozporządzać czasem po licjantów po służbie, lecz nawet gdyby mógł, nie zmieniliby to decyzji, którą podjął Brunetti.

Zadzwoił do szpitala z telefonu stojącego na biurku wciąż nieobecnej sekretarki i poprosił, żeby przywołano Graviniego. Nastąpiła wymiana komunikatów przekazywanych przez posłańców, gdyż policjant odmówił opuszczenia izolatki, nawet kiedy go poinformowano, że dzwoni komisarz. Minęło dobre pięć minut, zanim wreszcie wziął do ręki słuchawkę.

— W pokoju chorej jest lekarz. Będzie tam do mojego powrotu — oznajmił szybko i dopiero potem zapytał, czy to rzeczywiście Brunetti jest na drugim końcu linii.

— Tak, to ja, Gravini. Wracaj.

— Kończymy dyżury, commissario!

— Wracaj na komendę, Gravini — powiedział Brunetti. — Tylko najpierw idź do domu i włóż mundur.

— W porządku, commissario — rzekł młody policjant, odgadując z tonu komisarza, że najlepiej o nic nie pytać.

Przed powrotem do swojego gabinetu Brunetti wstąpił do sali ogólnej i wziął z czyjś biurka najnowsze wydanie „Il Gazzettino”. Otworzył je na dziale miejskim, ale nie znalazł artykułu o ozdrowieniu Marii Testy. Sprawdził kronikę wypadków, ale tam też nie było żadnej wzmianki. Wreszcie przysunął sobie krzesło, rozłożył gazetę na biurku i zaczął ją studiować dokładnie, szpalta po szpal-
jc. Wiadomości nie wydrukowano, a jednak ktoś na tężny, aby Patta się go bał, wiedział, iż była zakon- 'zyskała przytomność. Bardzo ciekawe — pomyślał arz. Kiedy wracał schodami na górę, cień uśmiechu knął mu po twarzy.

Rozdział 20

Podczas obiadu panował przy stole taki sam minorowy nastrój jak ten, który towarzyszył Brunettiemu przez cały dzień w pracy. Komisarz pomyślał, że posępne milczenie Raffiego przypuszczalnie jest wynikiem sprzeczki z Sarą Paganuzzi, natomiast Chiara wciąż smuci się kiepskim stopniem z religii, największą porażką w jej dotychczasowej karierze szkolnej. Jak zwykle najtrudniej było mu odgadnąć, co jest powodem złego humoru Paoli.

Nikt się nie śmiał, nikt nie żartował, choć zazwyczaj właśnie w ten sposób okazywali sobie serdeczne uczucia. W pewnym momencie Brunetti stwierdził ze zgrozą, że rozmawiają o pogodzie, a potem — jakby ten temat był nie dość ponury — przeszli na politykę. Wszyscy wyraźnie odetchnęli z ulgą, kiedy posiłek dobiegł końca. Dzieci, niby zwierzątka kryjące się w norach na widok odległej błyskawicy przecinającej niebo, znikły w swoich pokojach.

Brunetti skierował się do salonu i skupił na obserwacji deszczu lejącego strugami na okoliczne dachy. Gazetę przeczytał już od deski do deski na komendzie.

Kiedy do salonu weszła Paola, niosąc na tacy dwie filiżanki kawy, potraktował to jako zaproszenie do pojedynka, choć nie miał pewności, jakie warunki rozejmu zemu zaproponować. Podziękował, biorąc jedną z filiżek, po czym spytał:

— No i?

— Rozmawiałam z ojcem — odparła, siadając obok go na kanapie. — Nie przyszedł mi do głowy nikt inny, do kogo mogłabym się zwrócić.

— Co mu powiedziałaś?

— To, co signora Stocco mówiła mi przez telefon i co ześniej mówiły nam dzieci.

— O Don Lucianie?

— Tak.

— I?

— Obiecał, że się rozejrzy.

— Wspominałaś mu o Padre Pio? Spojrzała na męża, zaskoczona.

— Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym wspominać?

— Tak tylko zapytałem.

— Guido, dobrze wiesz, że nigdy nie wtrącam się do rojej pracy. — Odstawiła na stół opróżnioną filiżankę. — Jeśli chcesz zapytać ojca o Padre Pio i stowarzyszenie Opera Pia, musisz to zrobić osobiście.

* Brunetti nie miał najmniejszej ochoty mieszać w tę sprawę teścia. Nie chciał jednak mówić Paoli, iż wynika to z 2 niepewności, po której stronie będą sympatie hrabiego Orazio: zięcia czy tajnej organizacji. Ponieważ nie orientował się co do wielkości majątku ani wpływów hrabiego, Podobnie jak nie znał źródeł jego bogactwa i władzy, nie wiedział też, z jakimi siłami teść jest powiązany i komu winien lojalność.

— Uwierzył ci?

— Naturalnie, że tak — odparła Paola. — Jak możesz o to pytać?

Brunetti chciał ją zbyć wzruszeniem ramion, ale spojrzenie, jakie mu posiała, sprawiło, że się powstrzymał.

— Nie masz zbyt godnych zaufania świadków — rzekł.

— Co przez to rozumiesz? — spytała gniewnie.

— Dzieci wyrażające się krytycznie o nauczycielu, który jednemu z nich postawił słaby stopień. Słowa innego dziecka, powtórzone przez matkę, która była na granicy hysterii, kiedy z tobą rozmawiała.

— Bawisz się w adwokata diabła, Guido? Pokazałeś mi przecież te materiały z sekretariatu patriarchy. Myślisz, że dlaczego przenosili skurwiela z parafii do parafii? Dlatego że wyciągał tysiąclitrowe banknoty ze skarbonki?

Brunetti potrząsnął głową.

— Nie, nie mam żadnych wątpliwości co do jego winy. Ale brakuje mi dowodów.

Paola niecierpliwie machnęła ręką.

— Zobaczysz, załatwię go!

— Załatwisz czy sprawisz, że go przeniosą, tak jak to robią od lat?

— Załatwię raz na zawsze, chyba wyraźnie to mówię — powiedziała, dobitnie akcentując każdą sylabę.

— W porządku. Oby ci się udało. Naprawdę bardzo bym tego chciał.

. jego zaskoczeniu Paola odpowiedziała cytatem: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej 'eń młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza". Skąd to?

Ewangelia według świętego Mateusza. Rozdział masty, wers szósty.

— Niewiarygodne! — zawołał Brunetti, potrząsając głową. — Kto jak kto, ale żebyś ty cytowała Biblię...!

— Podobno nawet diabeł ma tę umiejętność — oznajmiła Paola, uśmiechając się po raz pierwszy od początku

~mowy.

Brunettiemu wydało się, że w salonie od razu zrobiło jaśniej.

Naprawdę mam nadzieję, że twój ojciec będzie stanie coś zaradzić.

Oczekiwał, że żona powie, iż ojciec jest w stanie zara- ić wszystkiemu; zresztą sam też często wierzył, iż wła- teścia jest nieograniczona. Paola jednak zapytała: A co tam z twoimi księżmi?

— Został tylko jeden — odparł.

— Jak to?

— Signorina Elettra dowiedziała się od swojego zna- ~mego z sekretariatu patriarchy, że contessa Crivoni i ten

jej ksiądz, człowiek skądinąd bardzo zamożny, romansują ze sobą od lat. Podobno mąż wiedział o ich związku.

— Serio? — W oczach Paoli odmalowało się zdumienie.

— Sam wołał młodych chłopców.

— Wierzysz w tę historyjkę?

Brunetti skinął głową.

— Tak. To, że była mężatką, odpowiadało i jej, i księdzu; służyło im za parawan. Nie mieli powodu, żeby życzyć hrabiemu śmierci.

— Więc faktycznie został ci jeden.

— No właśnie — rzekł Brunetti, po czym opowiedział jej o awanturze, jaką zrobił mu Patta, zakazując dalszego ochraniania Marii Testy. Nie ukrywał przed żoną głębokiego przekonania, że vice-questore spełnia polecenia wychodzące od Padre Pio i stojącej za nim organizacji.

— Co zamierzasz? — spytała Paola, kiedy skończył mówić.

— Rozmawiałem z Vianellem. Jego przyjaciel, który pracuje w Ospedale Civile jako sanitariusz, obiecał, że będzie zaglądał do Marii w ciągu dnia.

— Wiele to nie da. A w nocy?

— Vianello zaproponował... nie prosiłem go, sam zaproponował... że popilnuje Marii do północy.

— A ty posiedzisz przy niej od północy do ósmej rano, tak?

Brunetti skinął głową.

— Jak długo to potrwa?

Wzruszył ramionami.

— Aż zdecydują się na ruch — odparł.

— Myślisz, że kiedy to nastąpi?

— Zależy, jak bardzo się boją. Albo ile, ich zdaniem, Maria wie.

— Jesteś pewien, że za wszystkim stoi Padre Pio?

; Brunetti starał się nigdy nie ujawniać żonie, kogo po- " zewa o popełnienie zbrodni; trzymał się tej zasady n razem, ale jego milczenie było aż nadto wymowne. Paola podniosła się z kanapy.

— Jeśli masz czuwać przez kolejną noc, lepiej się prze- 'j-

— „Zona jest największym skarbem męża swego, pocą mu i podporą; tak jak winnica, której nie otacza ży-

-opłót, zostanie stratowana, tak człek bez żony będzie się kać żałośnie niby osioł, co się odłączył od stada" — ecytował z pamięci, zadowolony, że też się może po- sać.

Paola przyklasnęła z uciechy.

— A więc to prawda! — zawołała.

— Co?

» — Że diabeł umie cytować pisma święte.

Tej nocy Brunetti ponownie zwlókł się z ciepłego łóżka i ubrał, słuchając bębnienia deszczu. Paola otworzyła oczy, posłała mu całusa i natychmiast zapadła w sen. Tym razem włożył kalosze, ale nie wziął drugiego parasola dla Vianella; wiedział, że sierżant będzie miał własny.

Kiedy zjawił się w szpitalu, znów wyszli na korytarz, żeby zamienić parę słów. Okazało się, że porucznik Scarpa rozmawiał z sierżantem tego popołudnia i powtórzył mu decyzję Patty w sprawie dyżurów. Ale, podobnie jak sam vice-questore, nie wspomniał o tym, że policjanci nie mogą pełnić dyżurów po służbie. Tak więc Vianello pogadał z Gravinim, Pucettim i nawet skruszonym Alvisem;

wszyscy trzej wyrazili gotowość pilnowania chorej po godzinach pracy, a Pucetti obiecał zastąpić Brunettiego o szóstej rano.

— Naprawdę wszyscy się zgodzili? Nawet Alvis? — zapytał Brunetti.

— Nawet Alvis. To, że jest głupi, nie oznacza, że nie ma dobrego serca.

— Fakt. Głupota i podłość idą w parze tylko u naszych parlamentarzystów!

Vianello roześmiał się, włożył płaszcz, po czym życzył komisarzowi dobrej nocy.

Brunetti wszedł do pokoju Marii i przystanął metr od łóżka; przyjrzawszy się pogrążonej w śpiączce kobiecie, stwierdził, że jej policzki zapadły się jeszcze bardziej. Właściwie gdyby przez rurkę odchodzącą od plastikowej butelki zamocowanej nad pacjentką nie sączył się do jej ramienia przezroczysty płyn, a pierś nie falowała lekko, nic nie wskazywałoby na to, że Maria żyje.

— Mario! — zawołał cicho. — Suor'Immacolata!

Pierś unosiła się i opadała, unosiła i opadała, przejrzysta ciecz spływała kropla po kropli, lecz nic więcej się nie działo.

Brunetti zapalił górne światło, wyjął z kieszeni pisma Marka Aureliusza i zaczął czytać. O drugiej do izolatki weszła pielęgniarka; zmierzyła Marii puls i wpisała wynik do karty choroby.

— Jak z nią? — spytał Brunetti.

— Tętno jest szybsze. Czasem tak się dzieje, kiedy ma nastąpić przesilenie.

— Czy to znaczy, że jednak się zbudzi?

— Może — odparła siostra, ale głos miała posępny.

\ Opuściła pokój, zanim zdążył spytać, co w wypadku "arii jeszcze może oznaczać przesilenie.

O trzeciej komisarz zgasił światło i zamknął oczy, ale 'edy poczuł, że głowa opada mu na klatkę piersiową,

lusił się do wstania z krzesła, oparł o ścianę i stał tak, przymkniętymi oczami i głową odchyłoną do tyłu.

Po jakimś czasie drzwi się otworzyły i inna pielęgniarka weszła do pogrążonego w półmroku pomieszczenia, rzymała tacę, podobnie jak zakonnica, która zajrzała do 'arii poprzedniej nocy. Brunetti obserwował ją bez słowa. Zatrzymała się przy łóżku, w kręgu światła rzucanym przez lampkę nocną. Wysunęła rękę i odciągnęła koc, odrywając chorą; zapewne wymagały tego czynności, którą miała wykonać. Brunetti, powodowany wrodzoną kromnością, spuścił oczy.

I wtedy zobaczył mokre ślady, jakie buty pielęgniarki zostawiły na podłodze, znacząc jej trasę od drzwi do łóżka. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, uniósł pra-

ą rękę wysoko nad głowę i rzucił się w stronę kobiety. Dzieliło go od niej kilka kroków, kiedy zsunął się ręcznik zakrywający tacę. Oczom Brunettiego ukazało się długie ostrze. Komisarz wydal z siebie przeraźliwy krzyk, a gdy na ten dźwięk fałszywa pielęgniarka odwróciła się ku pędzącej z mroku postaci, ujrzał Benedettę Lerini.

Taca upadła z brzękiem na podłogę, kobieta zaś chwyciła nóż i wzięła potężny zamach. Brunetti nie zdążył uskoczyć; ostrze przecięło jego lewy łękaw i mięśnie nad łokciem. Znow krzyknął, a potem jeszcze raz i jeszcze raz w nadziei, że usłyszy go ktoś z personelu.

Zaciskając prawą dłoń na poharatanym ramieniu, obserwował bacznie Benedettę Lerini, przekonany, że zaraz znow się zamachnie. Ale ją bardziej interesowała nieprzytomna postać leżąca na łóżku; odwróciła się do niej, kurczowo ściskając nóż. Brunetti ponownie ryknął, licząc na to, że zdoła odciągnąć jej uwagę od Marii. Si- gnorina Lerini nawet na niego nie spojrzała; podeszła do chorej.

Puściwszy krwawiące ramię, komisarz zwinął prawą dłoń w pięść, uniósł ją, następnie z całej siły uderzył kobietę w łokieć, żeby wytrącić jej z ręki nóż. Najpierw poczuł, a ułamek sekundy później usłyszał trzask pękającej kości. Zaskoczony, w pierwszej chwili nie wiedział, czy połamał sobie palce, czy zdołał unieszkodliwić morderczynię.

Odwróciła się do niego twarzą, z nożem w bezwładnie zwisającej ręce.

— Antychryst! — krzyknęła. — Zabić antychrysta! Wdeptać w pył wrogów Pana, aby nie powstali więcej. Jam jest narzędziem zemsty Pana; obronię sługi Jego przed fałszywym świadectwem!

Usiłowała podnieść dłoń, ale jej palce poluzowały uchwyt i nóż upadł z brzękiem na posadzkę. Zdrową ręką Brunetti złapał kobietę za sweter i szarpnął mocno, żeby odciągnąć ją od łóżka. Nie opierała się. Zdołał tym sposobem dojść z nią niemal do drzwi, gdy te nagle się otworzyły i w progu stanęli pielęgniarka z lekarzem.

Co się tu dzieje?! — zawołał lekarz, włączając gór- światło.

— Światłość dnia nie skryje wrogów Pana przed spr- dliwym gniewem Jego — oświadczyła pełnym przeje- głosem signorina Lerini. — Pan pomiesza im szyki, ' h samych zetrze w proch. — Uniosła lewą rękę i wy- 'erzyła w Brunettiego drżący palec. — Wydaje ci się, że ożesz stanąć na drodze Jego dziełu? Wiedz, głupcze, że nie równa się z potęgą Pana! Czy tego chcesz, czy nie, nie się wola Jego! Lekarz zauważył zarówno krew kapiącą z ramienia ęczyzny, jak i drobinki śliny tryskające z ust perorują- j gniewnie kobiety, która kontynuowała swoją tyradę, ~acając się teraz do dwojga pracowników szpitala: — Daliście schronienie grzesznicy, choć wiedzieliście, jest nieprzyjacielem Pana.

Otoczyliście ją opieką i tro-

ką, nic sobie nie robiąc z Jego praw, lecz ktoś potężniejmy od was przejrzał wasze plany i przysłał mnie, abym wy- ierzyła grzesznicy boską sprawiedliwość!

— Co się tu...? — zaczął lekarz, ale Brunetti uciszył o gestem dłoni.

Podszedł do Benedetty Lerini i położył łagodnie zdro- ą rękę na jej ramieniu.

— Niezliczone są zastępy sług Jego, droga siostró — zepnął przymilnym tonem. — Inny posłaniec dokończy

ą misję i wypełni wolę Pana.

Signorina Lerini wbiła w niego wzrok; źrenice miała rozszerzone, z trudem łapała oddech.

— Czyżbyś też był wysłannikiem Pana? — spytała.

— Rzekłaś. I wiedz, siostró w Chrystusie, że nie ominie cię nagroda za to, co dotąd zrobiłaś... — Brunetti zawiesił głos, licząc, że zdoła sprowokować ją do zwierzeń.

— Byli grzesznikami! Obaj byli grzesznikami i zasłużyli na to, aby Bóg ich pokarał.

— Tak, słyszałem, siostró, że twój ojciec był bezbożnikiem, który szydził z Pana. Bóg jest cierpliwy i wszystkich darzy miłością, ale nie pozwoli, aby naigrywano się z Niego.

— A on, nawet w chwili śmierci, naigrywał się z Pana! — zawołała, wytrzeszczając z przejęcia oczy. — Zasłoniłam mu twarz, a on wciąż naigrywał się z Pana!

Brunetti usłyszał, jak za jego plecami lekarz z pielęgniarką naradzają się szeptem.

— Cicho! — rozkazał im.

Stanowczość tonu komisarza oraz szaleństwo pobrzmiewające w głosie kobiety sprawiły, że umilkli natychmiast.

— Kara była konieczna — rzekł, ponownie zwracając się do Benedetty Lerini. — Bóg tak chciał.

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

— Tylko spełniłam wolę Pana, prawda?

Brunetti skinął głową. Czuł, że ból ramienia wzmaga się z sekundy na sekundę, a kiedy spojrział na podłogę, zobaczył kałużę krwi.

— A pieniądze? — spytał. — Potrzeba wiele pieniędzy, aby skutecznie zwalczać wrogów Pana.

— Tak, tak! — potwierdziła z mocą Lerini. — RaZ podjęta walka musi trwać, dopóki nie przywrócimy KJO- stwa Bożego. Mamonę bezbożników należy tak spoży- -wać, by szerzyć święte dzieło Pana.

Niepewny, jak długo uda mu się powstrzymać lekarza pielęgniarkę od ingerencji, komisarz postanowił zaryzy- ować.

— Świątobliwy ojciec opowiadał mi o hojności siostry.

Lerini uśmiechnęła się, rozanielona.

— Tak, usłuchałam go, kiedy powiedział, że trzeba ziałać bezzwłocznie — przyznała. — Nie można czekać tam. Rozkazy Pana powinno się wykonywać natychmiast.

Brunetti ponownie skinął głową, jakby uważał za cał- 'em zrozumiałe, że ksiądz polecił jej zabić własnego ojca.

— A da Pre? — spytał takim tonem, jakby chodziło drobiazg, na przykład o kolor chustki. — Też był z nie- o grzesznik — dodał, choć okazało się to zbyt ciche.

— Widział mnie! Widział mnie tego dnia, kiedy jako arzędzie sprawiedliwości Pana wypełniłam Jego wolę wo- ec mojego grzesznego ojca. Ale dopiero później mi o tym wiedział. — Pochyliła się w stronę Brunettiego. — Tak, eż był wielkim grzesznikiem. Chciwość to straszny zech.

Komisarz usłyszał za sobą szuranie; kiedy się obejrzał, karza i pielęgniarki nie było już w pokoju. Z korytarza obiegł go oddalający się tupot nóg, a potem podniesio- e głosy. Ignorując hałasy, ponownie zwrócił się do Be- edetty Lerini.

— A inni pensjonariusze? Jakie były ich grzechy?

Tym razem w oczach, które na niego skierowała, ujrział e tyle szaleństwo, ile zaskoczenie.

— Co? Jacy pensjonariusze?

Jej reakcja nie pozostawiała żadnych wątpliwości: si- gnorina Lerini więcej zbrodni nie miała na sumieniu. Bru- netti postanowił więc wypytać ją dokładniej o śmierć małego człowieczka.

— Jak to było z da Pre? Groził ci, moja siostrze?

— Chciał pieniędzy. Próbowalam mu wyjaśnić, że tylko spełniałam wolę Pana, ale orzekł, że Boga nie ma. Błuź- nił, drwił sobie z Pana.

— Opowiedziałas o tym świątobliwemu ojcu?

— On jest prawdziwym świętym! — zawołała kobieta.

— Oczywiście, oczywiście — potwierdził szybko Bru- netti. — To on cię pouczył, co masz zrobić, siostrze?

Signorina Lerini przytaknęła.

— Powiedział mi, jaka jest wola Pana, a ja postarałam się ją wypełnić — odparła. — Trzeba tępić grzech i niszczyć grzeszników.

— Czy ksiądz... — zaczął Brunetti, ale nagle tupot nóg i podniecone głosy wypełniły pomieszczenie, kładąc kres jego rozmowie z Lerini.

Do izolatki wpadł lekarz i trzech sanitariuszy.

Niedługo później Benedettę Lerini zabrano na oddział psychiatryczny, gdzie nastawiono jej złamany łokieć, naszpikowano ją środkami uspokajającymi i umieszczono pod strażą.

Brunettiego zawieziono w wózku inwalidzkim na urazówkę; dostał zastrzyk znieczulający, po czym założono mu na ramię czternaście szwów. Ordynator oddziału psychiatrii, wezwany do szpitala przez pielęgniarkę, tę samą, która słysząc krzyki Brunettiego, wkroczyła lekarzem do izolatki, uznał stan Lerini za „bardzo poważny” i zarządził, że nikomu nie wolno jej niepokoić. Pytani przez komisarza o rozmowę, której byli świadkami, irówno pielęgniarka, jak i lekarz umieli powiedzieć jedy- nie, że szalona kobieta wygadawała jakieś religijne brednie. Chciał, aby potwierdzili to, co mówiła o swoim ojcu i da Pre, ale upierali się, że nic nie zrozumieli z jej bełko- diwych wypowiedzi.

Za kwadrans szóstą do pokoju Marii Testy wszedł Pucetti. Choć płaszcz komisarza wisiał na oparciu krzesła, jego samego nie było w środku, za to podłogę znaczyła kałuża krwi. Funkcjonariusz, zatrwożony o bezpieczeństwo pacjentki, podbiegł szybko do łóżka i odetchnął z ulgą, widząc, że jej klatka piersiowa unosi się miarowo. A potem spojrzął na twarz chorej.

Kobieta wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Rozdział 21

O tym, że stan Marii uległ zmianie, Brunetti dowiedział się dopiero koło jedenastej, kiedy z ręką na temblaku pojawił się na komendzie. Zanim zdążył zdjąć płaszcz, do gabinetu wpadł Vianello.

— Obudziła się.

— Maria Testa? — spytał Brunetti, choć z miejsca odgadł, kogo sierżant ma na myśli.

- Tak.

— Coś wiadomo?

— Nie bardzo. Pucetti zostawił wiadomość około siódmej, ale przekazano mi ją dopiero pół godziny temu. Telefonowałem do pana do domu, ale pan już wyszedł.

— [ak się czuje?

— Nie mam pojęcia. Pucetti powiedział, że kiedy się obudziła, natychmiast zawiadomił lekarzy. Trzech od razu do niej pobiegło, ale jego nie wpuścili. Uznał, że będą ją badać, więc pognął do telefonu i zadzwonił na komendę, żeby nas o wszystkim poinformować.

— Co jeszcze mówił?

— Już nic, commissario.

— A co z Lerini?

— Wiemy tylko, że podano jej środki uspokajające i zabroniono z nią rozmawiać.

— Dzięki, Vianello.

— Ma pan dla mnie jakieś nowe rozkazy, commissario?

— Nie, nie w tej chwili. Później sam wybiorę się do szpitala. — Zsunął płaszcz z pleców i rzucił na fotel. — Znasz reakcję vice-questorel

— Nie, commissario. Dotąd nie wystawił nosa z gabinetu. Ale ponieważ przyszedł dopiero o dziesiątej, myślę, że jeszcze o niczym nie wie.

— Dzięki — powtórzył komisarz.

Kiedy sierżant znikł za drzwiami, Brunetti wyjął z płaszcza fiolkę ze środkami przeciwbólowymi, po czym udał się do toalety na końcu korytarza, żeby nalać sobie szklanek wody. Połknął dwie pastylki, potem jeszcze jedną i schował fiolkę do kieszeni. Tej nocy w ogóle nie zmrużył oka; jak zwykle, gdy zarywał noc, czuł nie tyle senność, ile pieczenie pod powiekami. Usiadł wygodnie w fotelu, ale dotknąwszy ramieniem oparcia, skrzywił się z bólu i szybko pochylił do przodu.

Signorina Lerini nazwała grzesznikami obu mężczyzn — swojego ojca i da Pre. Najwyraźniej mały człowieczek podczas jednej z rzadkich wizyt u siostry zobaczył Benedettę Lerini wychodzącą z pokoju ojca. Czyżby wizyta Brunettiego oraz jego pytania dały kolekcjonerowi na tyle do myślenia, że postanowił ją zaszantażować? Jeśli tak, popełnił błąd,

lekceważąc jej poczucie boskiej misji, a tym samym podpisał na siebie wyrok. Stając się przeszkodą na drodze realizacji zamiarów Pana, musiał zginąć.

Brunetti przebiegł w myślach rozmowę, jaką odbył w izolatce z Benedettą Lerini. Szaleństwo w jej oczach sprawiło, że zabrakło mu odwagi, aby mówiąc o „świętobliwym ojcu”, który wydawał rozkazy, wymienić go z imienia i nazwiska. Z drugiej strony co by to dało, skoro świadkowie, którzy powinni słyszeć, jak Lerini przyznaje się do zamordowania dwóch osób, skołowani religijnym żargonem płynącym z jej ust nie umieli powiedzieć, czego dotyczyła rozmowa. Jak miał przekonać sędziego, żeby wydał nakaz aresztowania? Zresztą pamiętając obłąkane spojrzenie i natchniony ton morderczyni, sam wątpił, czy jakkolwiek sędzia zdecydowałby się na proces. Chociaż od czasu do czasu stykał się z wariatami, bynajmniej nie uważał się za eksperta w kwestii niepoczytalności; wierzył jednak, że w wypadku Benedetty Lerini nie może być mowy o symulowaniu. A to oznacza, że nie sposób postawić ją przed sądem; ani ją, ani człowieka, który — co do tego Brunetti nie miał żadnych wątpliwości — zlecił jej wykonanie „świętej misji”.

Komisarz zadzwonił do szpitala, ale nie udało mu się połączyć z oddziałem, na którym leżała Maria Testa. Pochyliwszy się do przodu, wolno wstał z fotela. Rzucił okiem przez okno; na szczęście przestało padać. Posługując się tylko prawą ręką, wciągnął płaszcz na ramiona i wyszedł z gabinetu.

Na widok Pucettiego w cywilnym ubraniu, trzymającego straż przed izolatką Marii Testy, uzmysłowił sobie, że ma pełne prawo przydzielić byłej zakonnicy ochronę, skoro o mało nie padła ofiarą zamachu.

— Dzień dobry, commissario] — zawołał funkcjonariusz, zrywając się z krzesła i salutując.

— Dzień dobry, Pucetti — odpowiedział komisarz. — Co się dzieje?

— Przez cały ranek lekarze i pielęgniarki tylko chodzą tam i z powrotem. Próbowałem się czegoś od nich dowiedzieć, ale mnie kompletnie ignorują.

— Ktoś jest teraz w środku?

— Tak, commissario. Siostra zakonna. Chyba wniosła śniadanie. A w każdym razie coś do jedzenia, sądząc po zapachu.

— To dobrze — rzekł Brunetti. — Maria musi dużo jeść. Ile dni była nieprzytomna?

— Pięć, commissario.

— No tak. Pięć. — Zdawało mu się, że dłużej, ale nie miał powodu wątpić w słowa podwładnego. — Pucetti?

— Tak, commissario?

— Zejdź na dół i zadzwoń do Vianella. Powiedz mu, żeby przysłał kogoś, kto cię zastąpi. I niech oficjalnie wciągnie do grafiku dyżury w szpitalu. Sam jedź do domu i coś przekąś. Kiedy znów wypada twoja kolej?

— Pojutrze, commissario.

— Dziś miałeś wolne? Pucetti spojrzał na swoje adidasy.

— I tak, i nie, commissario.

— Czyli?

— Mam trochę zaległego urlopu. Pomyślałem, że pomogę sierżantowi. Zresztą w taką pogodę i tak nie miałbym co robić. — Pucetti wbił spojrzenie w plamkę na ścianie na lewo od głowy komisarza.

— Rozmawiając z Vianellem, powiedz mu, że pełniłeś dziś normalny dyżur. Urlop wykorzystasz w lecie.

— Dobrze, commissario. Czy to wszystko?

— Chyba tak.

— A zatem do widzenia, commissario.

Funkcjonariusz skierował się w stronę schodów.

— Dzięki, Pucetti! — zawołał za nim komisarz.

Młody policjant nie obejrzał się, tylko uniósł rękę; był to jedyny znak, że cokolwiek usłyszał.

Brunetti zapukał do drzwi izolatki. Odpowiedział mu kobiecy głos:

— Avanti!

Komisarz nacisnął klamkę i wszedł do środka. Nad łóżkiem Marii Testy pochylała się zakonnica, ale ubrana nieco inaczej niż siostry, które wcześniej widywał przy chorej; sądząc po habicie, należała do zakonu Świętego Krzyża. Wytarła Marii usta ręcznikiem i spojrzała bez słowa na Brunettiego. Zobaczył, że na stoliku nocnym stoi taca, a na niej talerz z resztkami zupy. Kałuża krwi — jego krwi — znikła z podłogi.

— Dzień dobry.

Zakonnica skinęła głową, ale się nie odezwała. Odeszła pół kroku od łóżka, jakby — może nieświadomie — chciała zablokować mu dostęp do chorej. Brunetti przesunął się w lewo, aby Maria mogła go zobaczyć. Kiedy dojrzała komisarza, wytrzeszczyła oczy, po czym zmarszczyła brwi, jakby starała się go sobie przypomnieć.

— Signor Brunetti? — spytała wreszcie.

— Tak.

— Co pan tu robi? Czyżby pańskiej matce stało się coś złego?

— Nie, nie. Z mamą wszystko w porządku. Przyszedłem cię odwiedzić.

— Co się panu stało w ramię?

— Nic, nic.

— Ale skąd pan wiedział, że tu jestem? — Słyszając w swoim głosie narastającą panikę, umilkła i zacisnęła mocno powieki; po chwili otworzyła oczy i siląc się na spokój, oznajmiła: — Nic nie rozumiem.

Brunetti podszedł bliżej. Zakonnica posłała mu gniewne spojrzenie i potrząsnęła ostrzegawczo głową; zignorował ją.

— Czego nie rozumiesz, Mario? — spytał.

— Nie wiem, skąd się tu wzięłam. Powiedziano mi, że potrafił mnie samochód, kiedy jechałam na rowerze, ale przecież ja od lat nie wsiadałam na rower. W domu opieki nie ma rowerów, a nawet gdyby były, wątpię, żebyśmy mogły na nich jeździć. Powiedziano mi, że miałam wypadek na Lido, a ja przecież nigdy nie byłam na Lido. Nigdy w życiu, signor Brunetti. — Jej głos wznosił się coraz wyżej.

— A pamiętasz, gdzie przebywałaś ostatnio?

Pytanie komisarza najwyraźniej ją zaskoczyło. Podniosła rękę do skroni tak jak tamtego dnia w jego gabinecie i tak jak tamtego dnia na jej twarzy odmalowało się zdumienie, kiedy nie wyczuła pod palcami kornetu. Potarła bandaż okalający jej głowę, usiłując zebrać myśli.

— Pamiętam, że byłam w domu opieki — rzekła.

— W tym, w którym przebywa moja matka?

— Oczywiście. Przecież tam pracuję.

— Chyba już dość pytań, signore — powiedziała siostra zakonna, podchodząc bliżej; możliwe, że powodował nią niepokój o Marię, której głos znów się łamał ze zdenerwowania. — Powinien pan już wyjść.

— Nie, proszę mu pozwolić zostać — poprosiła Maria.

— Najlepiej będzie, jeśli opowiem jej, co się stało — rzekł Brunetti, widząc, że zakonnica zamierza oponować.

Kobieta w habicie wbiła wzrok najpierw w niego, potem w pacjentkę.

Maria skinęła głową.

— Och, tak. Chciałabym się dowiedzieć, co mi się przydarzyło.

Zakonnica spojrzała na zegarek i despotycznym tonem osoby, która usiłuje wykorzystać każdą okazję, aby popisać się swoją ograniczoną władzą, oznajmiła:

— No dobrze, ale tylko pięć minut!

Brunetti liczył na to, że siostra wyjdzie z pokoju, ona jednak stanęła w nogach łóżka; najwyraźniej zamierzała dokładnie przysłuchiwać się rozmowie.

— Jechałaś na rowerze, kiedy potracił cię samochód — powiedział komisarz. — Miało to miejsce na Lido, gdzie pracowałaś w prywatnej klinice.

— Ależ to niemożliwe! — zaproponowała Maria. — Przecież ja nigdy nie byłam na Lido. Nigdy. — Na moment umilkła. — Przepraszam, signor Brunetti — rzekła po chwili. — Nie będę już panu przerywać. Proszę mówić dalej.

— Pracowałaś tam od kilku tygodni. Odkąd odeszłaś z domu opieki. Pewne małżeństwo pomogło ci znaleźć pracę i miejsce w pensjonacie.

— Pracę?

— Tak, w prywatnej klinice. Zatrudniłaś się w pralni.

Na chwilę Maria zamknęła oczy, po czym znów je otworzyła.

— Nic nie pamiętam — oznajmiła. — Ale co pan tu robi?

Brunetti miał wrażenie, jakby nagle przypomniała sobie, że jest on komisarzem policji.

— Przed kilkoma tygodniami przyszedł do mnie na komendę; chciałaś, żebym coś sprawdził.

— Co? — spytała skonsternowana, potrząsając głową.

— Chodziło o coś, co wydarzyło się w domu opieki San Leonardo.

— San Leonardo? Ani razu tam nie byłam. Widząc, jak Maria z całej siły zaciska dłonie, Brunetti

pomyślał, że nie ma sensu dłużej jej męczyć.

— Chyba rzeczywiście starczy na dziś. Może sama; przypomnisz sobie, co się wydarzyło. Na razie musisz odpoczywać i dużo jeść, żeby odzyskać siły.

Ileż to razy słyszał, jak Maria podobnymi słowami zwracała się do jego matki!

— Pięć minut minęło, signore — obwieściła zakonnica. Brunetti nie protestował.

Wyciągnął zdrową rękę i poklepał Marię po dłoni.

— Wszystko będzie dobrze — rzekł. — Najgorsze masz już za sobą. Odpoczywaj i wracaj do zdrowia.

Uśmiechnąwszy się, ruszył do drzwi, ale zanim do nich doszedł, Maria odezwała się do zakonnicy:

— Siostro, nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale gdyby była siostra tak uprzejma i przyniosła mi... — urwała zmieszana.

— Basen? — spytała zakonnica; nawet nie zniżyła głosu.

Maria skinęła głową, nie podnosząc wzroku. Zakonnica sapnęła gniewnie i ściągnęła z irytacją usta. Nie próbowała ukryć niezadowolenia. Podeszła do drzwi, otworzyła je i przystanęła, czekając na Brunettiego.

— Oj, nie, siostro, wołałabym nie zostawać sama — powiedziała cichym, strachliwym głosem Maria. — Czy ten pan może zostać ze mną do powrotu siostry?

Zakonnica rzuciła okiem na nią, potem na Brunettiego. Energicznym krokiem wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Samochód był duży i czarny — oznajmiła szybko Maria. — Nie znam się na markach. Wiem tylko, że specjalnie na mnie najechał. Widziałam go w lusterku; to nie był wypadek.

— A więc pamiętasz, co się stało? — spytał oszołomiony Brunetti.

Chciał podejść do łóżka, ale Maria go powstrzymała.

— Proszę się nie zbliżać. Nie chcę, aby siostra się zorientowała, żeśmy jeszcze rozmawiali.

— Dlaczego?

Tym razem to Maria ściągnęła gniewnie usta.

— Jest jedną z nich! Jeśli się dowiedzą, że wszystko pamiętam, zabiją mnie.

Brunetti popatrzył na nią i aż zamrugał oczami, zdumiony zmianą, jaka w niej zaszła. Maria zdawała się wręcz promieniować energią.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał.

— Przetrwać!

W następnej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wróciła zakonnica, niosąc odkryty basen. Minęła w milczeniu Brunettiego i zbliżyła się do łóżka. Na wszelki wypadek komisarz nawet się nie obejrzał; bał się, żeby niczego nie zdradzić spojrzeniem. Bez słowa wyszedł na korytarz, pozostawiając kobiety same.

Kiedy szedł w stronę oddziału psychiatrycznego, w pewnym momencie odniósł wrażenie, jakby posadzka się pod nim zakołysała. Niby wiedział, że to złudzenie, wynik zmęczenia, a jednak z zaciekawieniem zaczął się przypatrywać twarzom mijanych na korytarzu osób w nadziei, iż ujrzy w ich oczach niepokój lub strach — coś, co by oznaczało, że z nim jest wszystko w porządku, bo rzeczywiście nastąpiło trzęsienie ziemi. Gdy zdał sobie sprawę, że gotów jest czerpać otuchę z kataklizmu, przestraszył się nie na żarty; czym prędzej szedł na parter i zamówił w kafeterii kanapkę. Kanapki nie tknął, natomiast — choć nie lubił tego smaku — wypił szklankę nektaru morelowego, wiedząc, że napój dobrze mu zrobi; następnie poprosił o wodę i łyknął dwa proszki przeciwbólowe. Rozglądając się po kafeterii i widząc na większości obecnych bandażę, temblaki, szyny, a nawet gips, po raz pierwszy tego dnia poczuł się jak w domu.

Kiedy ponownie skierował się w stronę oddziału psychiatrycznego, czuł się znacznie lepiej, choć nadal był osłabiony. Przeszedł przez otwarty dziedziniec, minął radiologię i pchnął podwójne szklane drzwi. Nagle na drugim końcu korytarza zobaczył idącą ku niemu postać w długiej szacie. Przemknęło mu przez głowę, że może z wyczerpania ma majaki, gdyż widok ten wstrząsnął nim bardziej niż jakiegokolwiek ruchy tektoniczne. Był to Padre Pio we własnej osobie. Wysoką postać duchownego spowijał ciemny wełniany płaszcz — mimo sporej odległości komisarz widział każdy szczegół z halucynacyjną wręcz dokładnością — przytrzymywany pod szyją przez zapinkę wykonaną z osiemnastowiecznego austriackiego talara z podobizną Marii Teresy.

Nie wiadomo, który z mężczyzn był bardziej zdziwiony, ale ksiądz pierwszy doszedł do siebie.

— Dzień dobry, commissario — rzekł. — Niech zgadnę: chyba przyszliśmy odwiedzić tę samą osobę?

Brunetti dopiero po chwili odzyskał głos.

— Benedette Lerini? — spytał.

— Tak.

— Nie może się ksiądz z nią zobaczyć — oznajmił komisarz, nie kryjąc wrogości.

Na twarzy kapelana domów opieki wykwitł ten sam słodki uśmiech, z jakim powitał Brunettiego, gdy ten po raz pierwszy odwiedził go w siedzibie zakonu Świętego Krzyża.

— Ależ commissario, chyba nie rości pan sobie prawa do decydowania o tym, czy chora osoba, w dodatku bardzo potrzebująca duchowego wsparcia, może się widzieć ze swoim spowiednikiem?

No tak, Padre Pio był spowiednikiem Lerini. I mógł się oczywiście zasłaniać tajemnicą spowiedzi, gdyby Brunetti chciał go przesłuchać.

— W każdym razie za późno na jakiegokolwiek zakazy, commissario — dodał, zanim komisarz zdążył cokolwiek powiedzieć. — Właśnie widziałem się z tą biedną kobietą i wysłuchałem jej spowiedzi.

— I udzielił jej ksiądz duchowego wsparcia?

— Święte słowa. — Padre Pio wyszczerzył zęby, ale tym razem w jego uśmiechu nie było cienia słodyczy.

Brunetti poczuł w gardle gorycz, nie miało to jednak nic wspólnego z wypitym niedawno nektarem morelowym. Podobnie jak tabletki, które łykał, nie potrafiły zmniejszyć bólu w ramieniu, tak on sam nie potrafił powściągnąć fali wściekłości i obrzydzenia, które go zalały. Na przekór utrwalonemu od pokoleń nawykowi wyciągnął gwałtownie rękę i złapał księdza za płaszcz; zaciskając mocno palce na miękkiej tkaninie, doznał nieklamanej radości. Kiedy szarpnął materiał, ksiądz stracił równowagę i poleciał do przodu; przez moment ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

— Wiem o tobie — warknął komisarz.

Ksiądz uniósł gniewnie dłoń, odtrącając rękę Brunettiego. Następnie cofnął się i ruszył w kierunku drzwi. Po paru krokach przystanął; wrócił do komisarza, kołysząc głową z boku na bok niczym kobra.

— A my wiemy o tobie! — syknął.

Po chwili znikł za drzwiami.

Rozdział 22

Po wyjściu ze szpitala Brunetti stał przez chwilę na Campo Santi Giovanni e Paolo, nie mogąc się zdecydować, czy wrócić do domu i się przespać, czy spróbować wziąć się w garść i iść na komendę. Spojrzał na rusztowania przysłaniające fasadę kościoła i zobaczył, że są do połowy pogrążone w cieniu. Potem popatrzył na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że już minęło południe. Nie miał pojęcia, jakim cudem upłynęło tyle godzin, odkąd zjawił się w szpitalu; czyżby zdrzemnął się w kafeterii, oparłszy głowę o ścianę? Czas ten był już nie do odzyskania, podobnie jak dni stracone przez Marię Testę, gdy leżała nieprzytomna, i te wszystkie ukradzione jej lata, kiedy należała do zakonu.

Uznawszy, że woli wrócić na komendę, choćby dlatego, że ma tam znacznie bliżej niż do domu, ruszył przez plac. Ponieważ męczyło go pragnienie, a ból ręki znów uciążliwie dawał się we znaki, po drodze Brunetti wstąpił do baru; zamówił wodę mineralną i połknął jeszcze jedną tabletkę. Kiedy wreszcie dotarł na komendę, zdumiała go cisza panująca w holu; dopiero po chwili zrozumiał przyczynę: była środa — dzień, w którym Ufficio Stranieri nie przyjmuje petentów.

Nie miał ochoty pokonywać czterech kondygnacji schodów dzielących go od własnego gabinetu, pomyślał więc, że najlepiej od razu chwycić byka za rogi — czyli odbyć rozmowę z Pata. Drogę na pierwsze piętro, na którym urzędował vice-questore, pokonał tak lekko, że nie mógł się nadziwić, dlaczego nie chciało mu się wspinać wyżej. Pamiętał, że miał jakiś powód, ale nie potrafił sobie przypomnieć jaki. Przyszło mu do głowy, że zamiast wchodzić po schodach, przyjemniej byłoby nad nimi frunąć. Zaczął się zastanawiać, ile czasu zdołałby dzięki temu codziennie zaoszczędzić, ale nagle znalazł się przed właściwymi drzwiami i zapomniał o lataniu.

Signorina Elettra uniosła głowę nad klawiatury. Kiedy zobaczyła, w jakim jest stanie i że ma rękę na temblaku, wstała pośpiesznie.

— Commissario, co panu jest? — zapytała, podchodząc do niego. — Co się stało?

Przerażenie w jej głosie, a także przestrach malujący się na obliczu sprawiły, że Brunettiego ogarnęło autentyczne wzruszenie. Kobiety naprawdę wygrały los na loterii, że mogą tak otwarcie demonstrować uczucia — pomyślał. Troska, jaką Elettra mu okazywała, była niezwykle sympatyczna.

— Nic takiego, signorina. — Musiał się powstrzymać, żeby nie poklepać jej po ramieniu z wdzięczności, że tak się przejmuje jego stanem. — Czy vice-questore jest u siebie?

— Tak. Na pewno chce się pan z nim teraz widzieć?

— Och, tak, zdecydowanie.

— Może ma pan ochotę na filiżankę kawy, commissario — zapytała, pomagając mu zdjąć płaszcz.

Brunetti potrząsnął głową.

— Nie, nie. To bardzo uprzejme z pani strony, ale dziękuję, signorina. Chcę tylko uciąć z szefem pogawędkę.

Nawyk, wyłącznie nawyk, sprawił, że Brunetti zastukał do drzwi Patty. Kiedy wszedł do gabinetu, na twarzy komendanta, tak jak wcześniej na twarzy jego sekretarki, odmalowało się zaskoczenie; o ile jednak signorina Elettra patrzyła na komisarza z z troskaniem, Patta czynił to z wyraźną niechęcią.

— Co ci się znowu przytrafiło, Brunetti?

— Ktoś usiłował mnie zabić.

— Chyba nie bardzo się przykladał, skoro wciąż jesteś na chodzie.

— Mogę usiąść?

Patta potraktował to jako nieudolną próbę zwrócenia uwagi na swoje obrażenia; skinął od niechcenia głową, wskazując podwładnemu krzesło.

— O co chodzi? — zapytał.

— Ostatniej nocy w szpitalu... — zaczął komisarz.

— Wiem, co się wydarzyło w szpitalu — przerwał mu vice-questore. — Wariatka chciała zabić zakonnicę, bo uroiła sobie, że ta zamordowała jej ojca. — Umilkł, po czym dodał: — Dobrze, że tam byłeś i ją powstrzymałeś. — Była to pochwała, ale wypowiedziana tonem zdecydowanie wrogim.

Brunetti ze zdumieniem wysłuchał tej wersji wypadków, do której ktoś najwyraźniej zdołał już przekonać Pat- tę. Spodziewał się, że zostanie wymyślona jakaś historyjka tłumacząca zachowanie Benedetty Lerini, lecz nie spodziewał się aż tak bezczelnego kłamstwa.

— A może Lerini miała inny motyw, vice-questore?

— Jaki? — spytał podejrzliwie Patta.

— Może bała się, że była zakonnica zna jej tajemnice?

— A jakież to tajemnice może mieć taka kobieta?

— Czyli jaka, jeśli wolno spytać?

— Gorliwa katoliczka — odparł błyskawicznie vice- -questore. — Jedna z tych niewiast, które myślą wyłącznie o Kościele i Bogu. — Z tonu Patty nie wynikało, czy potępia, czy pochwała takie postępowanie.

Brunetti nic nie powiedział.

— No więc? — ponaglił komendant.

— Ojciec Benedetty Lerini nigdy nie chorował na serce.

Patta czekał, aż Brunetti jeszcze coś powie, ale ponieważ komisarz milczał, po chwili spytał:

— Co to niby ma znaczyć?

Brunetti nadal milczał.

— Uważasz, że córka zabiła ojca? — Patta odchylił się w fotelu, żeby lepiej dać wyraz swojemu niedowierzaniu. — Oszalałeś, Brunetti? Kobiety, które codziennie chodzą na mszę, nie mordują swoich ojców.

— Skąd pan wie, że codziennie chodzi na mszę? — spytał Brunetti, zdziwiony, że tak spokojnie potrafi rozmawiać z szefem; miał wrażenie, że unosi się gdzieś wysoko, gdzie znajdują się rozwiązania wszystkich tajemnic.

— A wiem! Bo dzwonił do mnie zarówno, jej lekarz, jak i przewodnik duchowy.

— Co panu powiedzieli?

— Lekarz wyjaśnił, że załamanie nerwowe Lerini jest niewątpliwie spóźnioną reakcją na śmierć ojca.

— A co powiedział... jak go pan określił... jej przewodnik duchowy?

— A ty jak byś go określił, co, Brunetti? A może w swojej wersji zdarzeń jemu też przypisujesz jakąś złowrogą rolę?

— Co powiedział?

— Że w pełni się zgadza z diagnozą psychiatry. I dodał, że nie zdziwiłby się, gdyby powodem ataku w szpitalu okazały się urojone podejrzenia wobec zakonnicy i obwinianie jej o śmierć ojca.

— A kiedy spytał go pan, skąd mu to przyszło do głowy, odparł, że niestety nie może tego wyjawić, prawda?

Tak, Brunetti zdecydowanie miał uczucie, że jest gdzie indziej, w innym świecie, gdzieś bardzo daleko, i z dużej odległości przysłuchuje się rozmowie prowadzonej przez siedzących przy biurku mężczyzn.

— Skąd wiesz? — zdumiał się Patta.

Brunetti wstał z miejsca.

— Och, vice-questore, chyba nie chce pan, żebym złamał tajemnicę spowiedzi? — Pogroził szefowi palcem, po czym nie czekając na jego reakcję, płynnym krokiem ruszył do wyjścia.

Signorina Elettra odsuwała się pośpiesznie od drzwi, kiedy wychodził, więc jej też pogroził palcem. Ale po chwili uśmiechnął się i wskazując na płaszcz, spytał:

— Pomoże mi pani?

— Oczywiście, commissario — odparła, podnosząc okrycie z krzesła.

Kiedy zarzuciła mu płaszcz na ramiona, Brunetti podziękował i skierował się do drzwi. Nagle zobaczył w progu Vianella, który zjawił się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd, zupełnie jak duch.

— Montisi z łodzią już czeka, commissario — oznajmił. Brunetti pamiętał, że wraz z sierżantem, który ujął go za zdrowe ramię, zszedł po schodach. Pamiętał też, że spytał Vianella, czy nigdy nie zastanawiał się nad tym, o ile przyjemniej byłoby przemieszczać się po komendzie, gdyby mogli fruwać. Jednakże resztę wypadków tego dnia spowijała gęsta mgła — uleciały w niebyt, a może tam, gdzie przebywały wspomnienia i przeżycia Marii Testy z okresu, gdy leżała pogrążona w śpiączce.

Rozdział 23

Za przyczynę zakażenia, jakie się wdało w ramię Brunetti, uznano nitki z jego tweedowej marynarki, które dostały się do rany, a których przez nieuwagę nie usunięto, kiedy go opatrywano. Oczywiście nie powiedziano mu tego w Ospedale Civile. Chirurg, który tam go badał, stwierdził, że przyczyną stanu zapalnego jest gronkowiec; rzecz zupełnie normalna przy tak poważnym obrażeniu. Ale zaprzyjaźniony z Brunettim lekarz, Giovanni Grimani, wyjawiał mu później, że na urazówce wybuchła afera w związku z tym zakażeniem i za karę przeniesiono do kuchni jednego z sanitariuszy. Grimani nie przyznał wprost, że winę ponosi głównie chirurg, który nie zbadał dokładnie rany, ale Brunetti i Paola sami to wywnioskowali z tonu młodego lekarza. Nastąpiło to jednak znacznie później, kiedy infekcja poczyniła tak poważne postępy, a zachowanie Brunettiego stało się tak dziwaczne, że trzeba było pośpiesznie go hospitalizować.

Ponieważ ojciec Paoli szczerze wspierał Ospedale Giustiniani, mającego komisarza zabrano właśnie tam i umieszczono w izolatce. Kiedy tylko personel dowiedział się o jego koligacjach rodzinnych, natychmiast otoczono go troskliwą opieką. Przez pierwsze dni, gdy na zmianę tracił i odyskiwał przytomność, a lekarze próbowali dobrać właściwy antybiotyk, nikt Brunettiemu nie mówił, skąd się wzięła infekcja; potem, kiedy za pomocą odpowiedniego leku zdołano ją zatrzymać, a następnie zlikwidować, komisarz nie zdradzał najmniejszego zainteresowania szukaniem winnego.

— Co za różnica? — powiedział do Grimaniego, psując w znacznej mierze jego zadowolenie z faktu, iż wykazał większą lojalność wobec przyjaciela niż swoich kolegów po fachu.

Przez cały czas pobytu w szpitalu, a w każdym razie w chwilach jasności umysłu, Brunetti upierał się, że to absurd trzymać go na oddziale, i gdy tylko stwierdzono, że rana ładnie się goi, i usunięto sączek, zażądał, aby go natychmiast wypisano. Paola pomogła mu się ubrać;

powiedziała, że na dworze jest już tak ciepło, iż nie potrzebuje swetra, ale na wszelki wypadek zarzuciła mu na ramiona marynarkę.

Kiedy osłabiony komisarz wraz z promienną Paolą, szczęśliwą, że wreszcie wyzdrowiał, wyszli na korytarz, natknęli się na Vianella.

— Dzień dobry, signora — rzekł na powitanie sierżant.

— Dzień dobry, sierżancie. Jak miło, że pan przyszedł! — zawołała Paola, udając zaskoczoną.

Brunetti uśmiechnął się na myśl o jej oszustwie; dałby sobie głowę uciąć, że uprzedziła Vianella, o której ma się zjawić, a on z kolei przykazał Montisiemu, by podpłynął łodzią policyjną pod szpital i czekał na pasażerów.

— Dobrze pan wygląda, commissario — powiedział Vianello do rekonwalescenta.

Już wcześniej, kiedy się ubierał, Brunetti spostrzegł ze zdziwieniem, o ile luźniejsze ma spodnie. Najwyraźniej podczas gorączki spalił sporo tłuszczu, którym obrósł przez zimę; brak apetytu pozwolił mu się pozbyć reszty nadwagi.

— Dzięki, Vianello — rzekł, nie wdając się w szczegóły, po czym spytał: — Co z nimi? Nie musiał tłumaczyć, o kogo mu chodzi.

— Znikły — odparł sierżant. — Obie.

— Gdzie się podziały?

— Benedettę Lerini zabrano do prywatnej kliniki.

— Gdzie dokładnie?

— W Rzymie. W każdym razie tak nam powiedziano.

— Sprawdziłeś?

— Signorina Elettra sprawdziła, że tam przebywa. — I zanim komisarz zdołał spytać, co to za klinika, dodał: — Podlega zakonowi Świętego Krzyża.

— A co z Marią Testą?

Brunetti nie był pewien, czy nie należało użyć jej zakonnego imienia. Skoro młoda kobieta postanowiła udawać, że nie pamięta faktu zrzucenia habitu, mogła przecież wrócić do dawnego życia. Miał jednak nadzieję, że tak się nie stało, i dlatego nie nazwał jej SuorTmma-colatą.

— Znikła.

— Co to znaczy znikła?

Paola, która zdążyła wysforować się do przodu, zwolniła kroku.

— Guido, nie możesz odłożyć tej rozmowy na później? — poprosiła, po czym znów ruszyła żwawo korytarzem, kierując się w stronę bocznego wyjścia, przed którym miała czekać łódź.

— Mów — nakazał komisarz Vianellowi, kiedy znów pozostali nieco z tyłu.

— Przez pierwsze kilka dni po tym, jak trafił pan do szpitala, wciąż jej pilnowaliśmy.

— Czy ktoś próbował się z nią zobaczyć?

— Tak, ten ksiądz. Ale powiedziałem mu, że nie wolno nam nikogo do niej dopuszczać.

Więc poszedł do Pat-

ty-

— I co?

— Patta zwlekał przez dzień, a potem kazał mi ją spytać, czy chce się widzieć z księdzem.

— Co powiedziała?

— Nic. W ogóle jej nie pytałem, tylko powiedziałem komendantowi, że odmówiła.

— I co potem?

Akurat dotarli do wyjścia ze szpitala. Paola czekała tuż za progiem, przytrzymując drzwi.

— Wiosna cię wita, Guido — powiedziała, kiedy Brunetti wyszedł z budynku.

I rzeczywiście. W ciągu dziesięciu dni, które spędził w szpitalu, wiosna za pomocą swoich czarów zdołała zawojować całe miasto. Powietrze pachniało roślinnością budzącą się do życia, dokoła rozlegały się godowe okrzyki ptaków, a na gałęzi forsycji, która przepchnęła się

przez kratę w ceglanym murze po drugiej stronie kanału, rozkwitały pierwsze pąki. Tak jak się Brunetti spodziewał, Montisi oczekiwał ich za sterem policyjnej łodzi, która kołysała się na wodzie przy schodkach wiodących do kanału. Skinął im na powitanie, po czym się skrzywił; komisarz podejrzewał jednak, że był to uśmiech.

— Buon giorno — mruknął pilot, pomagając Paoli wsiąść do łodzi.

Następnie podał rękę komisarzowi, który oślepiiony blaskiem słońca, o mało się nie potknął. Vianello zdjął cumę i wskoczył na pokład.

— I co potem? — spytał ponownie Brunetti, zanim jeszcze Montisi zdążył wyprowadzić łódź na Canale della Giudecca.

— Jedna z pielęgniarek wyjawiała Marii, że ksiądz chciał się z nią widzieć. Mnie zaś później powiedziała, że Maria zaniepokoiła się zainteresowaniem księdza i była wdzięczna, że go do niej nie dopuściliśmy.

Na prawo od łodzi przemknął ślizgacz, rozbryzgując wodę. Vianello uskoczył w bok, ale ani jedna kropla nie przeleciała nad wysoką burtą.

— A potem? — ponaglił go Brunetti.

— Zadzwoń do nas matka przełożona zakonu, do którego należała Maria, i oznajmiła, że chcą ją umieścić w jednej ze swoich klinik. I wtedy Maria znikła. Wprawdzie zdjęliśmy ochronę, ale z paroma chłopakami wciąż tam w nocy zaglądaliśmy, żeby mieć ją na oku.

— Kiedy znikła?

— Trzy dni temu. Kiedy po południu do pokoju weszła pielęgniarka, w środku nie było nikogo. Maria zabrała swoje ubranie i po prostu rozplynęła się w powietrzu.

— Co zrobiłeś?

— Zaczęliśmy pytać o nią w szpitalu, ale nikt nic nie widział. Znikła i już.

— A ksiądz?

— Ktoś z ich siedziby w Rzymie zatelefonował do Pat- ty nazajutrz po jej zniknięciu i spytał, czy to prawda, że nie dopuszczamy do chorej zakonnicy spowiednika. Vice- auestore, który jeszcze nie wiedział o ucieczce Marii ze szpitala, oczywiście się ugiął i obiecał, że osobiście dopilnuje, aby spowiednik mógł się z nią zobaczyć. Dopiero kiedy wezwał mnie do siebie, aby mi to zakomunikować, usłyszał, że nie wiemy, gdzie jest.

— jak zareagował?

Vianello zawahał się.

— Myślę, commissario, że poczuł ulgę. Ten telefon z Rzymu mocno go przestraszył. Mają na niego jakiegoś haka, dlatego zgodził się dopuścić do Marii księdza. Ale kiedy powiedziałem mu, że znikła, chyba naprawdę się ucieszył. Natychmiast zadzwonił do tego człowieka z Rzymu i oświadczył, że niestety nie wiemy, gdzie jest zbiegła zakonnica, po czym przekazał mi słuchawkę, żebym to potwierdził.

— Wiesz, kim jest ten człowiek, z którym rozmawiał?

— Nie. Wiem tylko, że Patta łączył się z Watykanem.

— Masz jakiś pomysł, dokąd Maria mogła się udać?

— Nie — odparł szybko Vianello.

— Dzwoniłeś do jej znajomego z Lido? Vittoria Sas- siego?

— Tak. To pierwsze, co zrobiłem. Powiedział, żebym się o nią nie martwił, ale nic więcej nie chciał mi zdradzić.

— Myślisz, że wie, gdzie ona jest? — spytał Brunetti, patrząc na Paolę, która stała przy sterze i rozmawiała z Montisim.

— Chyba musi wiedzieć — odparł po chwili Vianello. — jednakże nikomu nie ufa na tyle, żeby podzielić się tą informacją. Nawet nam.

Brunetti skinął głową, po czym odwrócił się od sierżanta i spojrzał na Bazylikę Świętego Marka, która właśnie wyłaniała się po lewej. Przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z Marią Testą i determinację w jej głosie; pomyślał, że słusznie postąpiła, decydując się na

ucieczkę. Wiedział, że jako policjant będzie musiał podjąć próbę odnalezienia Marii — w końcu była ważnym świadkiem — ale miał nadzieję, że to się nie uda ani jemu, ani nikomu innemu. Niech Bóg ma ją w opiece i da jej siłę, by mogła rozpocząć vita nuova.

Widząc, że mężczyźni skończyli rozmowę, Paola podeszła do nich. Ledwo stanęła naprzeciw męża, kiedy gwałtowny podmuch wiatru uderzył ją od tyłu, targając jej włosy i nawiewając je z obu stron twarzy niczym dwie blond fale. Kobieta roześmiała się, odgarnęła włosy obiema rękami i uniosła do góry; trzymając je tak, potrząsnęła głową z boku na bok jak pływak, który wynurza się z wody. Kiedy zobaczyła, jak mąż na nią patrzy, znów wybuchnęła śmiechem. Objął ją zdrowym ramieniem i przytulił do siebie.

— Tęskniłaś za mną? — spytał z miłością w oczach, w jednej chwili przeistaczając się z policjanta w zakochanego nastolatka.

— Usychałam z tęsknoty! Dzieci chodziły głodne, studenci tracili wykłady...

Vianello przeszedł na rufę, żeby im nie przeszkadzać.

— Co robiłaś przez te wszystkie dni? — spytał Brunetti, jakby nie wiedział, że większość czasu spędziła przy jego łóżku w szpitalu.

Nagle, wyczuwając drobną zmianę w nastroju Paoli, odwrócił ją do siebie twarzą.

— Co się stało?

— Nic. Nie chcę zawracać ci tym teraz głowy.

— Nie, Paolo, naprawdę chętnie cię posłucham. Powiedz, o co chodzi — poprosił.

Przez moment patrzyła mu prosto w oczy, po czym rzekła:

— Pamiętasz, że prosiłam o pomoc ojca?

— W sprawie Don Luciana?

— Tak.

— Ico?

— Skontaktował się ze znajomymi w Rzymie. I chyba znaleźli rozwiązanie,

— jakie?

Powiedziała mu.

Po drugim dzwonku drzwi plebanii otworzyła gospodyni, kobieta dobiegająca sześćdziesiątki, ale o gładkiej, połyskliwej cerze, jaką zwykle miewają zakonnice i stare panny, które do późnego wieku zachowały dziewiczy wianek.

— Tak? O co chodzi? — spytała.

Miała duże ciemne oczy i szerokie usta. Za młodu mogła być atrakcyjna, lecz albo nigdy nie przywiązywała wagi do wyglądu, albo zabrakło jej tego błysku, który jest niezbędny, aby uczynić dziewczynę rzeczywiście urodziwą; z czasem jej rysy zmiękły, stały się rozmyte i niewyraźne jak na poruszonej fotografii.

— Chciałbym się widzieć z Lucianem Benevento — rzekł Brunetti.

— Jest pan z naszej parafii? — spytała, wyraźnie zdziwiona, że posłużył się imieniem i nazwiskiem księdza, a nie jego tytułem.

— Tak — odparł po krótkim wahaniu; w końcu mieszkał na obszarze, który ksiądz uważał za swoją parafię.

— Proszę przejść do gabinetu, zaraz zawołam Don Luciana.

Brunetti wszedł i zamknąwszy za sobą drzwi, ruszył za kobietą po marmurowej posadzce. Gospodyni wprowadziła go do niedużego pomieszczenia, sama zaś udała się na poszukiwanie księdza.

W gabinecie stały obok siebie dwa fotele, które pewnie zsunięto razem po to, aby stworzyć ów intymny nastrój niezbędny przy spowiedzi. Ściany ozdobiono małym krucyfiksem i obrazem Czarnej Madonny z Polski, a na niskim stoliku położono egzemplarze „Famiglia Christiana” oraz formularze, które wystarczyło wypełnić, jeśli ktoś miał ochotę wesprzeć

finansowo wydawnictwo Primavera Missionaria. Brunetti zignorował pisma, święte symbole, nawet fotele. Stał na środku pomieszczenia i czekał, skupiony, na pojawienie się księdza.

Drzwi otworzyły się po kilku minutach i do pokoju wszedł wysoki, chudy mężczyzna. Z kącików ciemnoszarych oczu rozchodziły się liczne kurze łapki świadczące o wesołym usposobieniu. Usta miał szerokie, uśmiech serdeczny, dodający otuchy i budzący zaufanie. Podszedł do Brunettiego, wyciągając dłoń jak do drogiego brata.

— Luciano Benevento? — zapytał komisarz, trzymając obie ręce opuszczone wzdłuż ciała.

— Don Luciano Benevento — poprawił go gospodarz; nie przestawał się uśmiechać.

— Przyszedłem powiadomić was o przeniesieniu. — Brunetti celowo nie nazywał rozmówcy księdzem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, o co chodzi. — Benevento, zdezorientowany, potrząsnął głową. — O jakim przeniesieniu pan mówi?

Brunetti wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki podłużną białą kopertę.

Ksiądz wziął ją odruchowo; były na niej wypisane jego imię i nazwisko, a także — co stwierdził z zadowoleniem — tytuł. Otworzył kopertę, zerknął na stojącego w milczeniu gościa, po czym wyciągnął ze środka kartkę papieru. Odsunawszy ją nieco od siebie, zapoznał się z treścią. Następnie spojrzał na Brunettiego, potem znów na kartkę i ponownie ją przeczytał.

— Nic nie rozumiem — rzekł, opuszczając rękę, w której trzymał list.

— Mam wrażenie, że wszystko jest jasne.

— Nie. Nie mogą mnie przenieść ot tak. Powinni spytać o zgodę, wszystko ze mną ustalić, zanim wydadzą decyzję. Powinni się liczyć...

— Myślę, że nie zamierzają.

Benevento nie krył zdumienia.

— Jak to? Powinni się liczyć z moim zdaniem! Jestem księdzem od dwudziestu trzech lat. Nie mogą mi zrobić czegoś takiego! — Machnął gniewnie kartką w powietrze. — Nie napisali, do której parafii mnie przenoszą. Ani nawet do jakiej prowincji! — Podsunął kartkę Brunettiemu. — Niech pan zobaczy! Napisali tylko, że zostają przeniesiony. Może się okazać, że do Neapolu albo, nie daj Boże, na Sycylię!

Brunetti, który nie tylko znał treść listu, ale wiedział znacznie więcej, nie odrywał oczu od twarzy księdza.

— Muszę wiedzieć, co to za parafia, jacy mieszkają tam ludzie — kontynuował Benevento. — Chyba nie wyobrażają sobie, że tak po prostu się podporządkuję? Zadzwoń zaraz do patriarchy. Poskarżę się i zażądam, żeby cofnięto decyzję. Nie mogą przecież wysłać mnie do pierwszej lepszej parafii, nie po tym wszystkim, co uczyniłem dla naszego Kościoła.

— To nie jest parafia — oznajmił spokojnie Brunetti.

— Słucham?

— To nie jest parafia — powtórzył komisarz.

— Jak to? Więc...?

— Tak jak powiedziałem, to nie jest przeniesienie do innej parafii.

— Bzdura! — oburzył się Benevento. — Jeśli mnie przenoszą, to tylko do nowej parafii. Jestem księdzem, moim zadaniem jest troszczyć się o wiernych.

Brunetti nie zareagował.

— Co pan za jeden? — zapytał ksiądz, sprowokowany jego milczeniem. — Co pan wie o tej sprawie?

— Jestem mieszkańcem tej parafii — odparł komisarz. — Ojcem dziewczynki, która chodzi do was na lekcje religii.

— Której dziewczynki?

— Po prostu jednej z uczennic — rzekł Brunetti, nie widząc powodu, dla którego miałby zdradzać dane swojej córki.

— Co to ma wspólnego z tym pismem? — spytał Benevento, coraz bardziej wzburzony.

— Bardzo wiele.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! Kim pan w ogóle jest? Po co pan tu przeszedł?

— Przeszedłem, żeby dostarczyć list — wyjaśnił spokojnie Brunetti. — A także wytłumaczyć, dokąd was przenoszą.

— Dlaczego patriarcha miałby zlecić to zadanie komuś takiemu jak pan? — Głos księdza ociekał sarkazmem.

— Bo mu zagrożono.

— Zagrożono? — powtórzył Benevento, po raz pierwszy z lękiem spoglądając na gościa; coraz mniej przypominał uśmiechniętego, zadowolonego księdza, który tak niedawno wszedł do tego pokoju. — Czym?

— Ujawnieniem zeznań Alidy Bontempi, Serafiny Renato i Luany Serry — odparł Brunetti, wymieniając imiona i nazwiska trzech dziewcząt, których rodzice poskarżyli się na Don Luciana biskupowi Treviso.

Głowa księdza odskoczyła do tyłu, zupełnie jakby Brunetti trzykrotnie go spoliczkował.

— Nie wiem, o czym... — zaczął, ale widząc minę rozmówcy, umilkł. Po chwili jednak uśmiechnął się z wyższością. — Przedkłada pan oskarżenia rozhysterizowanych dzierlatek nad słowo księdza?

Brunetti nie odpowiedział.

— Zamierza pan tu stać i twierdzić, że wierzy w te brednie? — spytał ze złością duchowny.

— Naprawdę sądzi pan, że ktoś, kto poświęcił się służbie bożej, mógłby postępować tak, jak one mówią?

Zrozumiawszy, że gość nie zamierza podejmować dyskusji, Benevento z gniewem trzepnął listem o udo i podszedł do drzwi. Otworzył je, po czym gwałtownie zatrzaskał i znów odwrócił się twarzą do Brunettiego.

— To gdzie niby mają mnie wysłać? — spytał.

— Na Asinarę.

— Gdzie?

— Na Asinarę — powtórzył Brunetti, pewien, że nawet ksiądz wie, iż jest to nazwa wyspy na Morzu Tyrreńskim, na której mieści się zakład karny dla najgroźniejszych przestępców.

— Przecież to więzienie! Nie mogą mnie tam posłać! — Postąpił naprzód dwa kroki i zatrzymał się przed Brunettim, wbił w niego oczy. — Nic nie zrobiłem! Nie jestem przestępcą!

Komisarz wytrzymał spojrzenie, nie odzywając się słowem.

— Nie jestem przestępcą! — zawołał ponownie Benevento. — Nie mogą mnie tam zamknąć! Nie mogą mnie wsadzić do więzienia bez procesu i bez wyroku tylko dlatego, że jakieś dziewczyny coś sobie ubzdurały!

— Ałe mogą wysłać jako kapelana.

— Co? jako kapelana?

— Tak. Więziennego kapelana, którego zadaniem jest troszczyć się o dusze grzeszników.

— Tam są zbrodniarze, sami niebezpieczni faceci! — Benevento daremnie usiłował powściągnąć wzburzenie.

— No właśnie.

— Co właśnie?

— Sami faceci. Na Asinarze nie ma nastolatek.

Benevento potoczył półprzymtomnym wzrokiem po pokoju, jakby szukał kogoś, komu mógłby się poskarżyć na krzywdę, jaką chcą mu wyrządzić źli ludzie.

— Nie mogą mi tego zrobić! Nie mogą! — krzyczał. — Wyjadę stąd! Poszukam sprawiedliwości w Rzymie!

— Wyjedziecie pierwszego dnia przyszłego miesiąca — oznajmił z niezmaconym spokojem Brunetti. — Sekretariat patriarchy przyśle łódź, a także podstawy samochód, który dowiezie was do Civitavecchia; kierowca dopilnuje, żebyście wsiedli na kuter, który raz w tygodniu kursuje na wyspę. Do tego czasu nie wolno wam opuszczać plebanii; jeśli wyjdziecie za próg, zostaniecie aresztowani.

— Aresztowani? Za co?

Brunetti zignorował pytanie.

— Macie dwa dni — rzekł.

— A jeśli nie zechcę jechać? — spytał Benevento tonem urażonej niewinności, a ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, po chwili powtórzył: — A jeśli nie zechcę jechać?

— Wtedy rodzice tych dziewcząt otrzymają anonimowe informacje, gdzie obecnie przebywa Luciano Benevento. I czym się zajmuje.

Te słowa wyraźnie przestraszyły księdza.

— I co zrobią? — W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

— Jeśli los się do was uśmiechnie, zawiadomią policję.

— Co to znaczy, jeśli los się do mnie uśmiechnie?

— Dokładnie to, co powiedziałem. — Przez chwilę Brunetti milczał. — Serafina Reato się powiesiła. Ponad rok usiłowała przekonać wszystkich, że mówi prawdę, ale jej nie wierzono. Przed śmiercią zostawiła list, w którym napisała, dlaczego postanowiła ze sobą skończyć. Teraz już nikt nie twierdzi, że kłamała.

Ksiądz wytrzeszczył oczy, potem zasznurował mocno usta. Nawet nie zauważył, że koperta wysunęła mu się z dłoni.

— Kim pan jest? — spytał gościa.

— Macie dwa dni — powtórzył Brunetti, po czym przestąpiwszy nad leżącą na podłodze kartką i kopertą, podszedł do drzwi.

Bolały go ręce, które cały czas trzymał zaciśnięte w pięści. Wychodząc, nie obejrzał się za siebie. I nie trzasnął drzwiami.

Po opuszczeniu plebanii skręcił w pierwszą wąską calle, która wiodła do Canal Grande. Kiedy doszedł już na sam brzeg, stanął i przez chwilę patrzył na budynki po drugiej stronie. Nieco na prawo wznosił się palazzo, w którym mieszkała jego pierwsza dziewczyna; tuż obok ten, w którym kiedyś zatrzymał się Byron. Kanałem płynęły łodzie, równie ociężałe jak jego myśli.

Nie cieszył się z łatwego zwycięstwa; kiedy zastanawiał się nad duchownym i jego nieszczęśliwym, zwichrowanym życiem, odczuwał tylko głęboki smutek. Luciana Beneventa należało odizolować, żeby nie mógł więcej szkodzić, i to się udało, przynajmniej na razie, dzięki władzy i znajomościom hrabiego Orazio. Potem komisarz zaczął rozmyślać o drugim księdzu, znacznie potężniejszym, znacznie bardziej niebezpiecznym, i groźbie, która kryła się w jego słowach.

Nagle na powierzchni kanału, tuż poniżej stóp Brunetti, wylądowały dwie mewy o czarnych łebkach. Wylądowały z takim pluskiem, że kropelki wody ochlapały komisarzowi buty. Popiskując głośno, walczyły zaciekle o kawałek chleba; ciągnęły go dziobami, każda w swoją stronę. Wreszcie jedna połknęła zdobycz, a wtedy obie się uspokoiły i od tej chwili zgodnie unosiły obok siebie na wodzie.

Brunetti nie ruszał się z miejsca przez dobry kwadrans. Dopiero kiedy mógł swobodnie zginać i prostować palce, schował ręce do kieszeni marynarki, pożegnał mewy, po czym wolnym krokiem cofnął się w górę tej samej calle, którą przyszedł, i skierował w stronę domu.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE
1998
2006 (seria kieszonkowa)
ŚMIERĆ NA OBCZYŻNIE
1999
STRÓJ NA ŚMIERĆ
1999
ŚMIERĆ I SĄD 1999
ACQUA ALTA 1999
CICHO, WE ŚNIE 2001
SZLACHETNY BLASK
2002
ZGUBNE ŚRODKI
2003
2007 (seria kieszonkowa)
ZNAJOMI NA STANOWISKACH
2004
2008 (seria kieszonkowa)
MORZE NIESZCZĘŚĆ
2005
2007 (seria kieszonkowa)
PERFIDNA GRA
2006 (seria kieszonkowa)
SŁOWO OFICERA
2007 (seria kieszonkowa)
FAŁSZYWY DOWÓD
2008 (seria kieszonkowa)
KREW Z KAMIENIA
2009 (seria kieszonkowa)

Opracowanie redakcyjne Mirosław Grabowski

Korekta Beata Wyrzykowska

Projekt okładki Tomasz Lec

Zamówienia prosimy kierować: - telefonicznie: 0 800 42 10 40 (linia bezpłatna) faksem: 0

prefiks 12 430 00 96 (czynnym całą dobę) - e-mailem: nsb@wl.net.pl - księgarnia

internetowa: www.noirsurblanc.pl

Printed in Poland Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., 2009 ul. Frascati 18, 00-483

Warszawa

Skład i łamanie DK

Druk i oprawa Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź

1 Thirn. Edward Porębowicz.